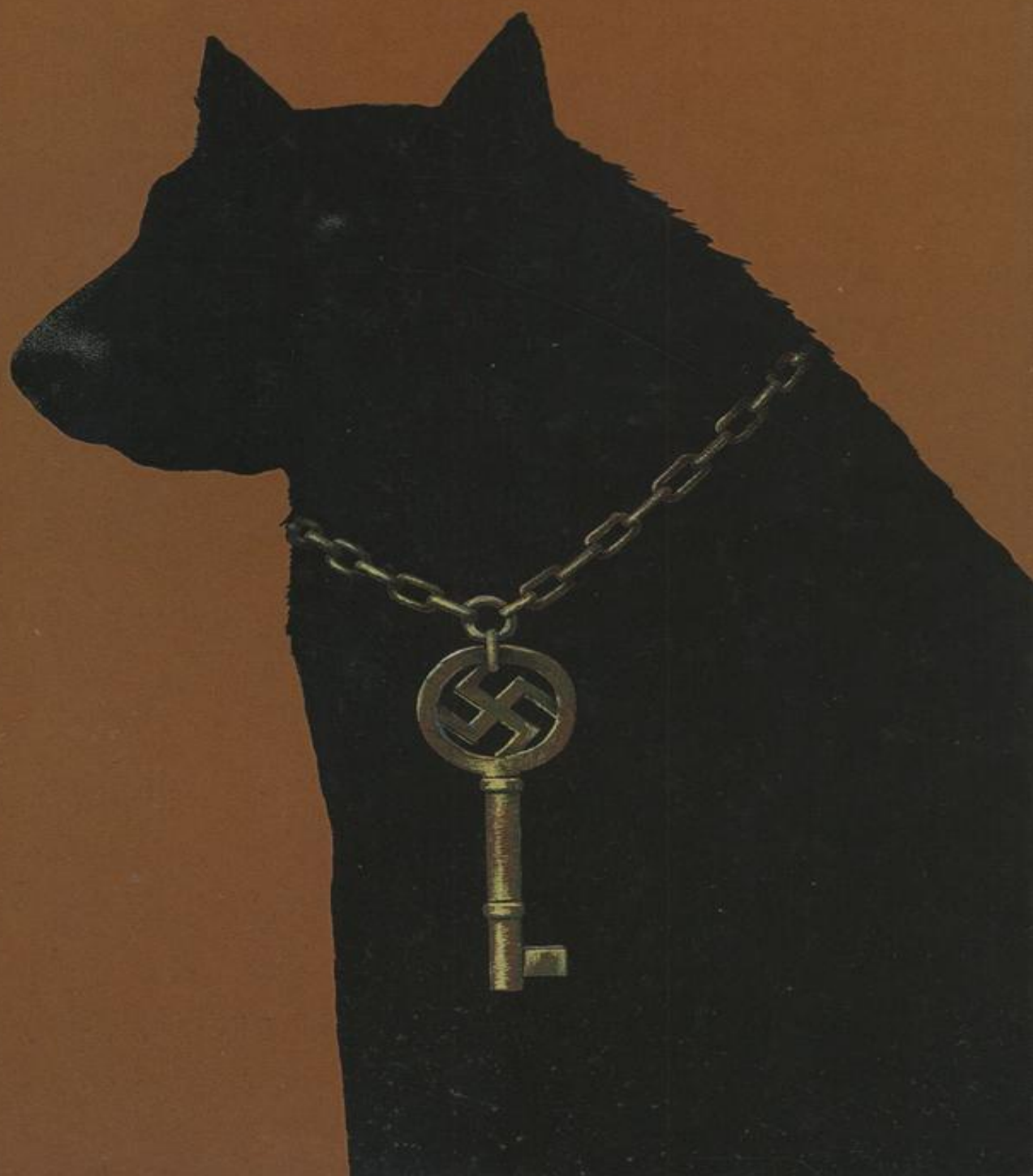


Don DeLillo

Pies Łańcuchowy



Don DeLillo

PIES ŁAŃCUCHOWY

Z angielskiego przełożyła
Halina Cieplińska

Spis treści

Strona tytułowa

Dedykacja

Wprowadzenie

I - Kosmiczna erotyka

1 2 3 4

II - Radial Matrix

1 2 3 4 5 6

III - Marathon Mines

1 2 3 4 5 6

Dla Eydie i Phila

Zwyczajnych ludzi tutaj się nie widuje. Nie spotka się ich po zmroku, nie chodzą tymi ulicami, pod daszkami starych magazynów. Dlatego ty się tu znalazłeś, oczywiście. Wiatr zawiewa od strony rzeki, wzniesając tumany kurzu nad tymi terenami przeznaczonymi na rozbiórkę. Niedaleko nadbrzeży lumpy palą ogień w zardzewiałych bębnach po ropie. Widać tych ludzi zbitych w gromadki, okutanych w stare, zdobyte gdzieś kurtki czy swetry albo w jedne i w drugie. Przy magazynach stoją ciężarówki, w niektórych mężczyźni palą w mroku papierosy, czekając, aż z barów przy Canal Street nadejdą homoseksualiści. Wydłużasz krok, ale nie po to, by uciec przed zimnem. Lubisz ten wiatr, od którego się sztywnieje. Skręcasz za róg i na chwilę wstępujesz w powiew, czując, jak kształt ud zarysowuje się pod przyjemnie opiętym materiałem sukienki. Na pustych placach stłuczone szkło pobłyskuje jak biała mika. Dzisiaj wieczorem rzeka zalatuje piżmem.

Kierując się na wschód, dostrzegasz na murze budynku namalowane sprayem cztery litery. Jak warknięcie kundla. ANGW. Wydają się jednak znajome, wypalają dziurę w czasie. Nadpływa coś z przeszłości odległej o ponad dwadzieścia lat. Pobyt w Salzburgu. Kuzyni, zabawy, muzeum. Cztery litery wyryte na ceremonialnej halabardzie. Objaśnienie ojca: *Alles nach Gottes Willen*.

Od tamtego czasu broń utraciła swą boskość. Broń utraciła religijny wymiar. A dzieci wyrosły i stwierdziły, że zawędrowały naprawdę osobliwie daleko. Czujesz, że to zdarzy się za chwilę, tylko jeszcze jeden skręt za róg, a tam czyjaś obecność, ciche targowanie się, które nie ma nic wspólnego z towarami ani usługami, tylko z tym, kim naprawdę jesteś. Zabłąkane nocą dusze układają się o warunki. Z każdym twoim krokiem wzrasta mroczne uniesienie.

Wszystko zgodnie z wolą Boga. Boga Ciała. Boga Szminki i Jedwabiu. Boga Nylonu, Zapachu i Cienia.

Młody człowiek prowadził nie oznakowany samochód na północ od rzeki Hudson. Na siedzeniu obok drzemał jego towarzysz. Skręcając na zachód w stronę rzeki, Del Bravo spodziewał się konkretnego widoku. Stert skrzyń i tekturowych pudeł. Rusztowania obrastającego fronton starego budynku. Ciężarówek i koparek. Grupek lumpów wokół ognia. Wiedział

z doświadczenia, że zobaczy taki widok.

Nie spodziewał się ujrzeć kobiety. Szła tamtędy, poruszała się z wdziękiem. Miała długie ciemnoblonde włosy, z odległości dwudziestu metrów i mniejszej widział, jaka jest atrakcyjna. Czarny płaszcz miała rozpięty, widać było jaskrawoczerwoną sukienkę.

Żadna przytomna profesjonalistka nie patrolowałyby wyludnionych terenów. Naprawdę wpadała w oko. Jeżeli w ogóle tym się trudniła, to nie pracowała na ulicy. Sztuka nie zarejestrowana. Biały wieżowiec na którejś ze wschodnich pięćdziesiątych ulic. Dla Del Brava, który zwolnił, wydawała się zgrzytem na tle krajobrazu. Oczywiście, że jej widok tutaj był miły, lecz zarazem odrobinę niepokojący – nie pasowała do scenerii.

Kiedy minęła samochód, obserwował we wstecznym lusterku, jak tym swoim eleganckim, seksownym, dziarskim krokiem zbliża się do zawalonego gruzem placu. Stuprocentowa profesjonalistka – pomyślał. Radio zaskrzeczało. Przyszło mu do głowy, że objedzie kwartał i złapie ją na drugim końcu ulicy. Nie miał nic lepszego do roboty, a chciał jeszcze raz na nią spojrzeć.

– Gannett, obudź się.

– Co się dzieje?

– Przygotuj się, G.G. Chcę, byś na coś popatrzył.

– A gdzie jesteśmy?

– Poczekaj, tylko jeszcze tu skręczę.

– Chyba coś mi się śniło.

– Gdzie, u diabła, ona jest? – powiedział Del Bravo.

– Śniły mi się skały. Takie wielkie na brzegu morza. Ogromne, wielkie skały. Byłem tam i nie byłem.

Ulica ziała pustką. Del Bravo posuwał się powolutku naprzód. Nikogo nie było widać. A przecież bardzo szybko okrążył kwartał. Szła w takim tempie, że akurat by się znalazła mniej więcej na tym odcinku.

Ognia nikt nie doglądał. Przedtem stało wokół niego kilku mężczyzn. Teraz ogień nadal się palił, ale nie było nikogo. Wydało mu się to prawie sprzecznością.

W reflektorach pojawił się kurz, w dość gęstych kłębach. Brał się chyba z pierwszego piętra rusztowania, gdzieś pośrodku budynku. Chyba znowu sprzeczność. Przed kilkoma minutami nie było pyłu. Teraz jest. Budynek powinien być pusty. Robotnicy poszli do domu.

– Byłeś tam, ale cię nie było.

– Tak mi się czasem śni – odparł Gannett.

– Chcę zajrzeć do tego domu.

– Robby, po co?

– Podaj latarkę.

Ruszył wąskim przejściem między szkieletem budynku a drugim domem od strony wschodniej. Zobaczył, że okna z tyłu są tak samo zabite deskami jak od frontu. Wrócił i zaczął dokładniej się przyglądać rusztowaniu od ulicy. W oczach i ustach czuł kurz. Gannett obserwował go z przedniego siedzenia, pociągając nosem.

– Chyba nie będziesz się tam wspinać, co? Nie chce mi się wysiadać i cię podtrzymywać.

– Obaj wiemy, że podtrzymywać możesz sobie jedno.

– Robby, czego tam szukasz? Może mnie to zainteresuje?

– Muszę tylko dosięgnąć tej podpory i będę dobry.

W windował się po skrzyżowanych prętach i belkach aż na wysokość pierwszego piętra, jakieś sześć metrów nad ziemię. Było tam nie zabite okno służące do wyrzucania z budynku jego zawartości. Del Bravo skierował do środka snop światła. Stosy związanych desek podłogowych. Duże bryły gipsu. Ścian nie było. Rury rozmontowano. Słyszał dolatujący z dołu głos Gannetta.

– Podłoga niepewna.

Kiedy wchodził przez okno, snop latarki, przenikając chmury pyłu gipsowego, wyłowił kobiecą postać. Z kabury przewieszanej przez ramię pod szmatławą kurtką wyciągnął krótką trzydziestkęósemkę, jednocześnie tańcząc snopem światła po podłodze. Powoli posuwał się naprzód, uważając na wystające gwoździe, a w ogóle skupiony na tym, by przeniknąć klimat, ducha tego miejsca, nie nazwane odczucie. Leżała na plecach, wyraźnie widoczna w szarej mgiełce, głowę miała przekręconą na bok. Nadal płynęła z niej krew, gdzieś z tułowia, spod żeber. Wzniesiony kurz, sposób przekręcenia głowy i stan odzieży wskazywały, że odbyła się tu walka. Oczywiście, krótka.

Obszedł trupa w poszukiwaniu broni. W nozdrzach miał pełno pyłu gipsowego i z drewna. Czuł jednak także zapach perfum i potu. Dostrzegł rozmazany tusz i pęknięcia w grubej warstwie pudru na twarzy. Ani śladu tętna. Krew płynęła. Wrócił do okna.

– Wezwij posiłki, G.G.

– Co tam mamy?

– Trupa. Jednego. Kobiety.

Obszedł teren dookoła, przestępując leżące przedmioty, by nie zmie-

nić ich położenia. Odłożył broń i przykucnął przy ciele. Słyszał, jak Gannett wspina się po rusztowaniu. W trakcie zajścia płaszcz zsunął się kobiecie z ramienia, a sukienka z tego czerwonego lśniącego materiału przekręciła się na lewy bok. Po prawej stronie rozerwano jej biustonosz. Del Bravo zauważył, że ma grube wkładki.

Kłęcząc na czworakach, skierował światło na skórę pod biustonoszem, dostrzegł ciemną szczecinkę niedawno golonych włosów. Nie dotykając ciała, przesunął snop światła powoli wzdłuż rąk, twarzy, linii włosów, szyi i nóg.

W oknie pojawił się zadyszany Gannett, mrużąc przekleństwa. Del Bravo oświetlił mu drogę i patrzył, jak jego partner posuwa się naprzód przygarbiony, chociaż do sufitu było cztery i pół metra. W końcu Gannett przykucnął obok niego.

– Co tu mamy?

– Kobieta z zaburzeniami hormonalnymi albo... uważaj, nie za blisko.

– Myślisz, że to nóż?

– Tak, zdecydowanie nóż.

– Nie widzę tu wielu ciosów. Widzę tylko jedną ranę.

– Albo to mężczyzna z dziwnym zamiłowaniem do przebieranek – dookończył Del Bravo.

– Poświeć pod włosami.

– Niczego nie dotykajmy.

– Widzę jedno pchnięcie, ale skąd tyle krwi?

– Technika idzie naprzód.

– Więc według ciebie ile zadano ciosów?

– Nie płacą mi za liczenie ran.

– Nienawidzę tej mokrej roboty.

– Widziałeś wielu zadźganych, co?

– Na ogół trafia mi się tak, że to kobiety mordują nożem. Już nawet nie wiem, ile razy wchodziłem, a tu na kanapie siedzi kobieta, jakby lekko zasnana, na podłodze w kuchni zaś leży konkubin cały podźgany nożem. Kobiecie głowa się kiwa. Może to tak je męczy. To dźganie nożem je męczy. Masz ochotę przykryć je kocem i zgasić radio.

– Chyba słyhać kogoś na zewnątrz – zauważył Del Bravo.

– Nie wiem dlaczego, ale ja zawsze trafiam na trupa w kuchni. Zawsze w kuchni.

– Biedacy lubią być blisko jedzenia.

– Ale poważnie, widzisz tu jedną ranę?

- Nie lubią się oddalać od jedzenia, nawet w czasie walki na noże.
- Jeżeli nawet to jedno pchnięcie, to musiało coś poważnie uszkodzić.
- Bez pudła. Na tym bym zakończył.
- Ale tyle krwi – upierał się Gannett.
- I to królewskiej.
- Królewskiej?
- Nie dotykaj, G.G.
- No, dobra, króla ciot.

Jakieś pół godziny później Del Bravo stał na chodniku i chuchał w dłonie. Był w sztywnym żółtym kapeluszu, który woził na tylnym siedzeniu. W pobliżu stał ambulans, dwa nie oznakowane samochody i dwa policyjne. Kręcili się faceci od odcisków palców i fotografowie. Podjechała karetka policyjna. Po chwili wysiadł z niej umundurowany sierżant, zobaczył Del Brava i podszedł.

- Ruszaj stąd, koleś, to miejsce przestępstwa.
- Co?
- Na ten teren nie ma wstępu.

Del Bravo głęboko westchnął, wyjął swoją blachę i przypiął do kurtki.

- Co to się teraz dzieje, wszyscy chodzą w przebraniu.
- Wiem, sierżancie.

– No więc jak ludzie mają wiedzieć, którzy to policjanci? Cały czas tylko ta przebieranka. Nawet policja siebie nie rozpoznaje. Ćpuny, podprowadzaczki samochodów, brody, kapelusze. Ślepiec z psem może się nagle odwrócić i cię zastrzelić. Kiedyś poznawało się po ubraniu. Ale już nie te czasy.

– Teraz rozpoznaje się po organach płciowych – skonstatował Del Bravo.

Podszedł do nich Gannett. Ręce splecione miał na piersi, z ust unosiła się para.

- Nie zauważyliśmy schodów – powiedział.
- O jakich schodach mówisz?

– Tu była kiedyś restauracja. Po zachodniej ścianie budynku biegną na górę do kuchni zewnętrzne schody służbowe. Nie obszedłeś domu od zachodu?

- Nie, obszedłem od wschodu – odparł Del Bravo.

– Nieważne, ale ofiarę wpakowano tamtymi schodami. My wchodzimy po rusztowaniu. Oni wprowadzili faceta schodami i przez drzwi. Na szczycie schodów są tam drzwi, Robby. Nie były zamknięte.

- Sprawdziłem od tyłu. Sprawdziłem od wschodu, frontu i od tyłu.
- Trzy na cztery – stwierdził sierżant.

Gannett cały czas miał ramiona skrzyżowane na piersi. Wsunął dłonie pod pachy.

- Dobrze by było znaleźć się teraz na Florydzie.
- Idź jeszcze pokimać sobie. Może ci się przyśni.
- No, to wybrzeże.
- Śnią mu się skały – wyjaśnił Del Bravo sierżantowi.
- Skały nad brzegiem morza.

Sierżant czekał na ciąg dalszy.

- Jestem tam, ale jakby mnie nie było – rzekł Gannett.

I

Kosmiczna erotyka

W wieku sześćdziesięciu sześciu lat Lightborne zaczął brać na spacerzy laskę. Podpierając się nią, wędrował po Zachodnim Broadwayu i dzielnicy galerii w SoHo. Tego wiosennego wieczoru, już na samym początku spaceru, zaczęła mu klapać podeszwa prawego buta – nosił tanie moka-syny. Podkopało to w pewnym stopniu jego przekonanie, że spacerując z laską, zrobi odpowiednie wrażenie.

Ostrożnie ruszył z powrotem, stąpając na prawy obcas. Wszedł do budynku jak wykutego z żelaza, wjechał na czwarte piętro samoobsługową windą towarową – przewiewnym urządzeniem, którego się bał i nie cierpiał. Na ogromnych metalowych drzwiach prowadzących na jego poddasze widniał napis namalowany czerwoną farbą:

KOSMICZNA EROTYKA GALERIA LIGHTBORNE'A

Przeszedł przez galerię i wkroczył do oddzielonej ścianą części mieszkalnej poddasza. Meble były ciemne, ciężkie, zdobione spiralnymi motywami. Stół w głębi stał krzywo. Pod przednie nogi biurka wsunięte były pudełka zapalek, żeby mebel się nie kiwał. Z jednej z szuflad Lightborne wyciągnął małą buteleczkę Superkleju Elmera i zaczął przyklejać podeszwę prawego buta.

O ósmej trzydzieści miało przyjść około dwudziestu osób. Stanowiły trzon jego klienteli, miał im pokazać kilka nowości. Oczekiwał tylko jednej nowej twarzy. Miała przyjść Moll Robbins, dziennikarka planująca serię artykułów na temat seksu jako dużego biznesu.

Reszta to byli kolekcjonerzy, reprezentanci kolekcjonerów oraz – co nieuniknione – zakłopotani dyletanci urzeczeni nowością. Lightborne nie miał nic przeciwko tym ostatnim. Uważali go za ekscentrycznego uczo-nego, źródło wiedzy erotycznej, i zawsze wszędzie zapraszali, obdarowu-jąc prezentami.

Skończył kleić podeszwę i specjalnymi nożyczkami przystrzygł sobie bokobrody. Następnie zaczął szcnotkować włosy, zaczesując je niemal w

kucyk. Miały srebrzysty odcień, o żółtawym zabarwieniu czy też odbarwieniu. Lubił nosić długie. W końcu włożył sznurkowy krawat i sztrukturalną marynarkę z paskiem. Nie dlatego, żeby musiał się przejmować swoim wyglądem. Przecież te spotkania w galerii zawsze były nieoficjalne. Kolekcjonerzy woleli, żeby miały taki charakter. Podawał im wink w papierowych kubkach.

Moll Robbins przyszła pierwsza. Miała na sobie dżinsy i za duży sweter. Była wysoką, szczupłą kobietą, która jakby się leniwie skradała. Na prawym ramieniu wisiała na pasku duża skórzana teczka.

Lightborne oprowadził ją po galerii, która nie była zwykłym, pomieszczeniem o zimnych kątach prostych i przemysłnych małych skosach, tylko przypominała mocno naruszony zębem czasu sklep z antykami. Na stolikach pełno było przedmiotów z brązu i porcelany, stert rysunków i grafik, książek, płaskorzeźb w drewnie, wazonów i filizanek. Na kilku postumentach stały bardziej interesujące eksponaty, a na ścianach wisiały obrazy olejne i powiększone fotografie fasad świątyń hinduistycznych oraz fallusów z Pompejów. Pod ścianami stały skrzynie z rysunkami, kolejnymi grafikami i zdjęciami oraz kilka szklanych kasetek pełnych pierścionków, bransolet, sznurów paciorków.

Moll Robbins wędrowała niepewnie wśród tego wszystkiego, raz podnosząc pokrywkę porcelanowego imbryka (oczywiście, z chińskim cesarzem i jego konkubiną), raz zerkając na monetę pod szkłem (Grecja, mężczyzna figluje).

– Robi niewinne wrażenie, prawda?

– Jest nieruchomy – wyjaśnił Lightborne.

– Nieruchomy?

– Ruch, działanie, ileś klatek na sekundę. Taka jest nasza epoka, czy to dobrze, czy źle. To tutaj wydaje się trochę nieudolne. Po prostu tkwi. Tylko masa i ciężar ciała.

– Samo ciążenie.

– Oczywiście. Pełny erotyzm jest tylko w tym, co ma zdolność poruszania się. Kobieta, która zakłada nogę na nogę, doprowadza mężczyzn do szaleństwa. Porusza się, rozumiesz? Ruch, działanie, zmiana pozycji. Bez tego dzisiaj erotyzm nie jest pełny.

– Coś w tym musi być.

Kiedy już wszyscy się zeszli, Lightborne zamknął wielkie drzwi i zaczął krążyć. Moll zdjęła sweter i zawiesiła go na wzwiedzionym członku gipsowego wikarego, dostrzegając, że Lightborne większość czasu spędza

dza u boku wypielegnowanego i schludnie ubranego mężczyzny tuż po trzydziestce, w typie biznesmena, młodego potentata, który uwielbia rzucać szorstkie polecenia swoim podwładnym.

Rozmawiała z kilkoma osobami, które robiły delikatne uniki – nie okazywały otwarcie niechęci do rozmów o swoim zainteresowaniu erotyzmem, lecz nie mogły się skoncentrować na tym temacie. Jakby dokąś pędziły, oszołomione własną wizją, wysoce ryzykowną grą, aż w tajemniczy sposób rozmazały się im kontury.

Lightborne przedstawił ją mężczyźnie, z którym rozmawiał. Nazywał się Glen Selvy. Potem odciągnęli go inni goście.

– Panie Selvy, co sprawiło, że pan się tym interesuje?

– A co sprawia, że ktoś interesuje się seksem?

– Nie wszyscy jesteśmy kolekcjonerami – stwierdziła.

– To forma rozrywki. Linia, wdzięk, symetria. Piękno ludzkiego ciała.

I tak dalej, i tak dalej.

– Wydaje pan dużo pieniędzy jako kolekcjoner?

– Sporo.

– Musi pan niezłe znać się na sztuce.

– Ukończyłem specjalny kurs.

– Ja wiem dostatecznie dużo, by się zorientować, że lepsze rzeczy Lightborne trzyma w ukryciu.

– A co może mi pani o nim opowiedzieć, czego sam by nie chciał mi zdradzić?

Uśmiechnął się i odszedł. Później, kiedy większość gości już wyszła, Lightborne rozmawiał z Moll w części mieszkalnej. Odpowiadał na wszystkie jej pytania, wyjaśnił, że wszedł w ten interes w tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym roku, kiedy to znalazł się w Kairze zupełnie bez środków do życia. Udało mu się wtedy wejść w posiadanie pierścionka przedstawiającego egipskiego boga płodności, w stanie wysokiego podniecenia. Sprzedał ten pierścionek za ładną sumkę byłemu hitlerowcowi, a potem dowiedział się, że ostatecznie trafił na palec króla Faruka. Nawijając jeden kontakt za drugim, podróżował po Ameryce Środkowej, Japonii, Środkowym Wschodzie i Europie i korzystając z tej światowej sieci, kupował, sprzedawał i wymieniał.

– A pana znajomy Selvy? Jestem ciekawa, bo nie wygląda na kolekcjonera. Jakie ma zbiory?

– Nie mogę nic powiedzieć.

– Nie rozumiem.

– Niektórzy przychodzą tu oglądać. Niektórzy kupować. Niektórzy kupować dla innych.

– Wysłani na zwiad.

– Właśnie.

– Żeby kupować dla jakiejś osoby czy grupy osób, która lub które nie chcą zdradzać świata swojej tożsamości.

– Gramatycznie to raczej zagmatwane, ale poza tym całkiem proste – stwierdził Lightborne.

– A wie pan, dla kogo kupuje Selvy?

– Prawdę mówiąc, tylko podejrzewam.

– Dla kogoś, o kim może słyszałam?

– Selvy zajmuje się tym dopiero jakieś trzy miesiące. Ale całkiem nieźle sobie radzi. Ma podstawy.

– To już wszystko, co pan o nim powie?

– Panno Robbins, to interes, w którym aż huczy od plotek. Czasem dochodzą mnie różne słyuchy. Taki-to-a-taki odkrył statuetkę z brązu w jakiejś odpieczętowanej krypcie kościoła na Krecie. Hermafrodyty – rzecz grecko-rzymska. Słyszę to i owo. W powietrzu pełno jest wibracji. Czasami trafia się element prawdy. Często okazuje się, że to tylko powiew nocnego wiatru.

Glen Selvy wyrzął zza krawędzi ściany, żeby powiedzieć dobranoc. Lightborne zaprosił go na kawę, która grzała się na płytce w kącie pokoju. Gość zerknął na zegarek i usiadł w ogromnym zakurczonym fotelu.

– Mój człowiek w Gwatemali donosi, że wróci z podróży z wyborynami drobiazgami.

– Dobrze by było – stwierdził Selvy.

– Własnoręcznie wykopał je z grobów.

– Odkrył więcej tych grobów, prawda?

– Dżungla to gęstwina – rzucił tajemniczo Lightborne.

– Mój szef twierdzi, że ten pana prekolumbijski towar to podróbki. Chce pan usłyszeć, co on ma do powiedzenia o wykonaniu?

– Niech mu pan powie o tej podróży.

– Ta podróż to co innego.

– Co innego – powtórzył Lightborne.

Nalał trzy filiżanki kawy. Moll odniosła wrażenie, że w głosie i zachowaniu Selvy'ego pojawiła się nuta lekceważenia. Reagował odrobinę automatycznie. Możliwe, że głęboko go to wszystko znudziło.

– Tymczasem mogę pokazać panu kobietę z ośmiornicą.

– Innym razem.

– To porcelanowa ozdoba na stół.

– Teraz poważnie: Co pan tu zadołował? Jeżeli nie, to wychodzę.

– Mówi pan poważnie czy się przesłyszałem?

– Nie przesłyszał się pan.

– Mówiłem tej młodej damie, że krążą pogłoski. Jaką odgrywają rolę w tym interesie? Pół roku temu, na przykład, słyszałem o przedmiocie, który mógłby zainteresować każdego, niewykluczone, że włącznie z pańskim pracodawcą. Osobliwe tylko jest to, że po raz pierwszy słyszałem o tym jakieś trzydzieści lat temu, najpierw w Kairze i Aleksandrii, gdzie lista moich znajomości była barwna i zróżnicowana, a potem tego samego roku w Paryżu, dokąd się przeprowadziłem. Przedmiot, o którym mówię, to kopia filmowa. A dokładnie mówiąc, oryginalna taśma.

Lightborne zaproponował cukier. Bez słowa.

– Mówiłem tej młodej damie, że ruch, prosta zdolność zmiany pozycji to ważny walor erotyczny. Prawdopodobnie o tej jedynej i największej różnicy pomiędzy starym a nowym stylem w sztuce erotycznej stanowi film. Obraz, który się porusza. A więc film jest sztuką.

– Jak najbardziej – powiedziała Moll.

– Zalicza się go do tej samej kategorii co malarstwo, rzeźba i tak dalej.

– Oczywiście.

– No więc dobrze – ciągnął Lightborne. – Przez kilka miesięcy słyszałem różne rzeczy o tym niezwykłym filmie. Pogłoski od ludzi z branży. Kolekcjonerów, pośredników, agentów. To świat, który frymarczy plotką. Co zrobić? Ale potem hałas ucichł, właściwie pomruk. I chyba nikt nawet tego nie zauważył. Bo w zasadzie pogłoska była całkiem niewiarygodna. Prawdopodobnie nikt nie brał jej poważnie. No i cisza przez trzydzieści lat. Ani słowa na ten temat. Aż nagle pół roku temu cała sprawa odżywa. Słyszę o niej od trzech osób, całkiem niezależnie. Tę samą pogłoskę. Film istnieje. Nie zmontowana taśma. Jeden egzemplarz. Oryginał. Kręcony w Berlinie, w kwietniu tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku.

Lightborne pokiwał głową, by podkreślić wagę opowieści. Podszedł do lodówki i wyciągnął pudełko krakersów Grahama. Poczęstował gości. Nie skorzystali. Z powrotem usiadł.

– W bunkrze – dokończył.

Wyjął krakersa z pudełka i umoczył w kawie.

– Proszę dokładniej – powiedziała Moll.
– W bunkrze pod Kancelarią Rzeszy.
– I kogo widać na tej taśmie?
– Nie jest to całkiem jasne. Ale najwyraźniej chodzi o seks. To sfilmowana orgia. Rozumiem, że odbyła się w tych podziemnych pomieszczeniach.

Selvy popatrzył w sufit.

– Osobiście w to nie wierzę – ciągnął Lightborne. – Jestem głównym sceptykiem w tej sprawie. Historia brzmi nieprawdopodobnie. Pogłoska, która odżyła, brzmi dokładnie tak samo jak tamta sprzed trzydziestu lat, mimo że upłynęło tyle czasu. A te kilka osób, którym wydaje się prawdziwa, potrafi obudować ją istotnymi faktami historycznymi. Ja przypadkiem też jestem znawcą tego okresu.

Robbins i Selvy patrzyli, jak rozmokła dolna część krakersa w dłoni Lightborne'a odpada i ląduje w filiżance. Wziął łyżeczkę, wybrał brązową papkę i zjadł.

– W każdym razie pomyślałem sobie, że może przydałoby się prześledzić sprawę, na ile się da, przy sprzyjającym szczęściu może aż do samego źródła. Ostatecznie pewna osoba z branży, ktoś, komu ufam, skontaktowała mnie z kimś i doszło do spotkania. Ten ktoś nie zdradził mi swojego nazwiska, ale ja nawet nie pytałem. Mężczyzna po trzydziestce, lekki cudzoziemski akcent. Nerwowy, bardzo niespokojny. Twierdził, że wie, gdzie się znajduje taśma. Mówił, że nigdy nie zrobiono jej kopii. Gwarantował to. Mówił, że długość kwalifikuje film jako pełnometrażowy. Potem popadł w zadumę. Widzę jego twarz. Spektakl – mówił – odbył się w najbardziej osobliwej i niesamowitej scenerii i nie byłbym rozczarowany, widząc, kto brał w nim udział. Nie chciał jednak odpowiedzieć na pytanie, czy sam widział ten film, czy opiera się na pogłosce.

Lightborne zamieszał kawę.

– Umówiliśmy się, że będę działał jako agent handlowy. Mam swoje kontakty, znam mniej więcej rynek. Poza tym obaj byliśmy zdania, że przy obecnym poziomie eksploatacji tematu seksu z pewnością bez kłopotu znajdą się wpływowe i bogate grupy, które absolutnie zachwyci szansa walki o prawa dystrybucji czegoś na tyle osobliwego. Tylko pomyślcie. Fragment szczytowej dekadencji tego stulecia.

– I to ruchomy – zauważyła Moll.

Lightborne odchylił się i założył nogę na nogę, filiżankę na spodku opierając o brzuch.

– No więc – ciągnął – ja, drobny agent handlujący erotycznymi drobiazgami, czasami dobrej jakości, czasami takiej sobie, nagle mam okazję zostać pośrednikiem w jakiejś monumentalnej pornograficznej aferze. Zaczynam wysuwać czujki, wysyłać zawołowane sygnały w jedną część kraju, w drugą, do tego faceta w Dallas, do drugiego w Sztokholmie. Zaczyna się coś dziać, na rynku robi się gorąco i nagle mój człowiek znika. Nie mam pojęcia, jak go odnaleźć. Upierał się, że to on zawsze będzie się ze mną kontaktował. Dzwonię więc po ludziach, dopytuję się, krążę przy naszym miejscu spotkań. W końcu od faceta, który nas na początku skontaktował, słyszę, że X nie żyje. Nie tylko nie żyje, ale go zamordowano. Nie tylko go zamordowano, ale zgładzono w dziwnych, bardzo dziwnych okolicznościach.

– Co znaczy dziwnych?

– Miał na sobie damskie ubranie.

Selvy spojrział na Moll Robbins, jednocześnie dając Lightborne'owi znaki, żeby zamilkł.

– Co ma pani w tej teczce?

– Nikona F2 – odparła.

– Zostanie w niej, dobrze?

– Nie wiem, ma pan całkiem ładny profil, panie Selvy. Mógłby całkiem dobrze wyglądać gdzieś na końcu tej historii. Byłby przerywnikiem w druku.

– Albo pozostanie w teczce, albo pani wyjdzie.

– Mam w niej też magnetofon Sony – powiedziała.

– Proszę wyjąć. Chciałbym go zobaczyć.

– Panie Lightborne, to pana mieszkanie. Pan mnie tu zaprosił. Nie robiąc żadnych zastrzeżeń.

Selvy chwycił z podłogi skórzaną teczkę, otworzył ją, wyjął magnetofon, przekręcił go, wysunął kasetkę na baterie, otworzył, wyjął cztery baterijki i położył na stoliku obok.

– Całkiem sprawnie – odezwała się. – Musi pan majstrować w domu.

– Nie będzie słów, nie będzie zdjęć.

– Wie pan, nie było to konieczne. Nie mam zamiaru nagrywać pana nudnego głosu, jeżeli pan sobie tego nie życzy.

Lightborne zareagował na to wszystko tak, że ruszył z filiżanką i spodkiem do zlewu i umył je. Wracając, wyciągnął w stronę Moll pudełko z krakersami. Tym razem się poczęstowała. Przełamała skrzętnie ciasteczko na pół i dopiero wtedy ugryzła kawałeczek.

– Po tym, jak sprawy wzięły tak przygnębiający obrót – odezwał się Lightborne – cała historia przyschła i zapanowała cisza. Ale chciałem panu naszkicować tło, ponieważ wczoraj doszedł moich uszu leciusieńki szept. Jeżeli sprawy znów przybiorą interesujący obrót, to pański pracodawca chyba powinien być o tym poinformowany.

– Oczywiście, na pewno.

– A pani, panno Robbins, będzie musiała wybaczyć gadatliwemu staruchowi.

– Ale to było interesujące, naprawdę.

– Gdzie pani pracuje? – spytał Selvy.

– W „Psie Łańcuchowym” – odparła.

Zawahał się.

– Kiedyś był to organ niezadowolonych.

– Tak, byliśmy całkiem radykalni.

– Teraz obraliście bezpieczny kurs środkowy.

– Nie powiedziałabym, że bezpieczny.

– Jesteście częścią ciągle rozrastającego się środka.

– Bez przerwy mówimy „kurwa”.

– Właśnie o to mi chodziło.

– Właśnie o to panu chodziło? Nie zdawałam sobie sprawy, że właśnie o to panu chodzi. Nie wiedziałam, że właśnie o coś panu chodzi.

Selvy wstał, pożegnał się z Lightborne’em, skinął głową Moll Robbins i trzasnął jednocześnie obcasami. Kobieta poszła za nim aż do pomieszczenia, w którym była galeria, zdjęła z twardego akcesorium zawieszony sweter i wróciła do gospodarza, by podziękować za poświęcony jej czas. Patrzył, jak wkłada z powrotem baterie do magnetofonu.

– Ciekawe... – odezwała się.

– Tak?

– Ciekawe, czy on zawsze tak się śpieszy. Zupełnie jakby miał zdążyć na samolot. Czy pociąg do domu.

– Glen nie należy do ludzi, którzy lubią posiedzieć sobie i pogadać.

– A gdybym tak dowiedziała się, dla kogo on robi zakupy i do jakiego stopnia to ktoś interesujący i ważny, i wykorzystała tę informację w jednym z artykułów, to chyba niespecjalnie by się to panu przysłużyło?

– Ale też niespecjalnie by mi zaszkodziło – odparł Lightborne. – Kolekcjoner, dla którego Glen pracuje, nie okazał wielkiego zainteresowania moim towarem. Glen twierdzi, że niedługo całkiem może ze mnie zrezygnować.

Przeszli do galerii, Lightborne odwrócił się, by zgasić światło. Patrzył na Moll z odległości jakichś dziesięciu metrów.

– Wspomniała pani o samolotach i pociągach.

– Tak sobie głośno myślałam – odparła.

– Gdyby pani miała się udać w tę samą stronę co Glen, to pewnie wołałaby pani lecieć samolotem. Chociaż jeżeli nie lubi pani latać, to można też pojechać pociągiem.

– Krótkie loty nawet znoszę. Ale ponadgodzinne już mnie niecierpliwia.

– Chyba jakoś by pani wytrzymała.

– Pociągiem też się świetnie podróżuje.

– Ale trzy i pół godziny w pociągu już mogą odrobinę zmęczyć.

– Pewnie ma pan rację.

– Ale Penn Station... Gdyby stary dworzec nadal istniał. Wtedy nawet byłoby warto sobie po nim pospacerować. Przepiękna architektura.

– Zastanawiałam się też... – zaczęła.

– Nad czym?

– Jaki strój byłby mi potrzebny.

– Mogłoby tam być odrobinę cieplej.

– Mówi pan: odrobinę cieplej.

Zgasło ostatnie światło, Moll stała w mroku na progu, zupełnie nie widząc Lightborne'a.

– Rozumie się, że to tylko domysły.

– Przecież nie jest pan meteorologiem – powiedziała.

– Wiem tylko tyle, ile Bóg chce, bym wiedział.

Kiedy wyszła, Lightborne zamknął drzwi na zamek i wrócił do części mieszkalnej. Tam zdjął marynarkę, sznurkowy krawat i koszulę. Podszedł do umywalki, wyciągnął z szafki maszynkę do golenia, ściągnął nakrywkę z pianki do golenia Gillette. Spostrzegł, że obręb pojemnika lekko zardzewiał od środka. Nazajutrz rano miał spotkanie, pomyślał więc, że goląc się teraz, zaoszczędzi trochę czasu.

Moll Robbins złapała taksówkę na Houston Street i już po dwudziestu minutach dzwoniła ze swojego mieszkania przy jednej z ulic West Seventies do swojej redaktor naczelnej Grace Delaney.

– Czy nadal mamy biuro w Waszyngtonie?

– Nazywa się Jerry Burke.

– Jaki do niego numer?

Odłożyła słuchawkę i ponownie wykręciła numer.

– To Jerry Burke?

– Kto mówi?

– Podobno ma pan niesamowite dojścia do korytarzy władzy.

– Która jest godzina?

– Jerry, mówi Moll Robbins z Nowego Jorku. Nie znamy się, o ile pamiętam, ale może byś mi pomógł.

– Piszesz recenzje filmowe.

– Od czasu do czasu, zgadza się, ale teraz chodzi mi o coś zupełnie innego. Chciałabym, żebyś mi pomógł kogoś wytropić.

– Strasznie nasadziłaś o tym nowym *King Kongu*.

– Nie wątpię, Jerry, ale posłuchaj: szukam faceta nazwiskiem Glen Selvy. Biały, tuż po trzydziestce, metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, prawdopodobnie ze sfer rządowych. Musi istnieć jakiś gigantyczny spis tych trutni rządowych, w którym można go znaleźć. Gdybyś mógł tam zerknąć albo się rozpytać czy coś w tym rodzaju, na zawsze pozostanę twoją dłużniczką. W granicach rozsądku, oczywiście.

– Metr osiemdziesiąt pięć?

– Pomyślałam, że to może być ważne.

– Ale po co mi jego wzrost?

– To detektywistyczna robota – odparła. – Chodzi o wszystkie jego dane.

Glen Selvy jechał z lotniska do swojego mieszkania mieszczącego się w trzypiętrowym budynku w dzielnicy zamieszkałej w przeważającej części przez czarnych, położonej nieopodal Navy Yard. Mieszkał tu od kilku miesięcy, lecz jego lokum wyglądało, jakby dopiero się wprowadził. Było w poważnym stopniu nieumeblowane. Przy łóżku leżało kilka nie rozpakowanych pudeł. Stojąca lampa nadal miała przewód zwinięty w zgrabny pęk przy podstawie.

Odpowiadała mu ta atmosfera tymczasowości. W pewien sposób korzystnie obniżała poczucie odpowiedzialności. Jeżeli zawsze miało się dziesięć minut do odjazdu, to nikt od ciebie nie oczekiwał trzymania się tych samych powściągliwych zasad, jakich przestrzegali inni.

Zdjął marynarkę od garnituru, pod którą miał małą kaburę z lekkim coltem Cobrą kaliber 38. Magnum Smith&Wesson, kaliber 41, z sześciocalową lufą i robioną na zamówienie kolbą trzymał w pudle przy łóżku.

Nazajutrz późnym wieczorem Moll odebrała telefon od Jerry'ego Burke'a.

– Przejrzałem kilka spisów. Bez rezultatu. Potem przypomniała mi się Fioletowa Księga. *Polityka i stanowiska wspierające*.

Mnóstwo stanowisk rządowych. Opisów. Nazwisk beneficjentów.

– Doskonale – odezwała się.

– Ale twojego faceta tam nie ma.

– Cholera.

– Trafiłem jednak również na dodatek do biuletynu senackiego, w którym jest coś takiego jak *Współpracownicy Komisji Kongresowych*, gdzie pełno nazwisk, a przy każdym kod alfabetyczny odnoszący się do strony takiej-to-a-takiej. No i właśnie na tej małej liście znalazłem Howarda Glana Selvy'ego. Według liter kodu należy do personelu senatora Lloyda Percivala.

– Jeny, fantastycznie!

– Jest kimś w rodzaju doradcy rządowego niższej rangi.

– Zdaje się, że przez ostatnie dni sporo było o Percivalu w wiadomościach?

– Tak, od pewnego czasu, ale odbywa się to na zamkniętych posiedzeniach komisji. Bada on coś, co się nazywa BZK/BO. To rzekomo ramię koordynujące cały system amerykańskiego wywiadu, a ściślej mówiąc, jawne operacje rządowe i budżetowe. Do czego Percival chce się dokończyć, brak jakichkolwiek przecieków.

– Tajne przesłuchania?

– Codziennie – odparł.

– Co to był za skrót?

– Jaki skrót?

– BZK/BO.

– Niewiele osób w Waszyngtonie potrafiłoby odpowiedzieć na to pytanie.

– Pewnie niewiele osób na świecie.

– Biuro Zarządzania Kadrami, Biuro Obrachunkowe.

– Musi być w tym coś złego, jeżeli tak się nazywa.

– W przeciwnym razie po co Percival by się w to angażował?

– To prawy charakter?

– Nieważne – odparł Burke. – Chciałbym wiedzieć, dlaczego interesuje cię ten typ Selvy.

– Bo naprawdę jest uroczy – odparła.

2

Glen Selvy w garniturze z kamizelką przechadzał się powoli półkilometrową ścieżką wysypaną żużlem. Wszędzie pełno było ptaków, które krążyły nad głową albo automatycznie podskakiwały w trawie.

Jakieś trzydzieści metrów dalej czarna limuzyna skręciła w cichą uliczkę biegnącą wzdłuż boiska. Selvy ruszył w tamtą stronę, patrząc, jak otwierają się tylne drzwi samochodu. Nagle myśli jego zabłądziły do jakiegoś pokoju z łóżkiem, na którym naga kobieta – nieznajoma – siedziała okrakiem na poduszce, i zobaczył, jak uprawia z nią seks, ciało zwarte z ciałem, seks bezwzględny, brutalny, bum, bum, bum.

Lomax miał słabość do limuzyn, co Selvy'emu nie przeszkadzało, zwłaszcza że sam jeździł ciasną toyotą. Bezpiecznie było założyć, że do samochodu nie jest przydzielony szofer, że będzie to ktoś, kogo Lomax zna. Może uważano, że pozostawanie niewidzialnym już nie ma wielkiego znaczenia. Albo że w takim mieście jak Waszyngton limuzyna już nie rzuca się w oczy. A może był tam sam Lomax. Styl osobisty. Odejście od przyjętych form.

Lomax był krępy, włosy miał modnie ostrzyżone, lekko siwiejące na skroniach. Lubił poklepywać, przyglądać i delikatnie głaskać się po włosach, chociaż nigdy mu się nie mierzwiły. Dziś był ubrany do gry w golfa, jak zauważył Selvy. O tylne drzwi oparta była jego torba z kijami.

– Dowiedziałem się czegoś wczoraj – powiedział Selvy. – Lightborne znał Christopha Ludecke'a. Spotkali się kilka razy, zanim Ludecke'a zabito.

– W związku z czym?

– Ludecke twierdził, że ma dostęp do jakiegoś filmu, do którego prawa bardzo chciałby mieć cały świat obscenicznego biznesu. Więc Lightborne cały był napalony, żeby zostać pośrednikiem.

– Pomoc z niespodziewanej strony – zauważył Lomax.

– No tak, od Lightborne'a. Komu przyszło do głowy, że Lightborne będzie miał z tym powiązania? To wyjaśnia całą sprawę.

– Tak?

– No, związek senatora z Christophem Ludeckem. Teraz wiemy. Tak

czy inaczej, wiedział, że Ludecke miał tę taśmę. Tak czy inaczej numer jego telefonu, czy jeden z jego numerów, najtrudniejszy do zdobycia, ale mimo to zdobyty, znalazł się w notesie Ludecke'a. To absolutnie najważniejszy fakt, świadczący o jego zaangażowaniu. Percival chciał mieć ten film w swojej kolekcji.

– Zbiera filmy?

– Ten byłby pierwszy.

– A co w nim takiego specjalnego? – spytał Lomax.

– To autentyczna nazistowska orgia seksualna.

– Cudowne.

– Podobno sfilmowana w bunkrze, w którym Hitler spędził ostatnie dni życia.

– Wspaniale – zachwycił się Lomax. – Po prostu wspaniale.

W pobliżu drogi wił się w dal na wschód strumień. W parku grupa skośnookich młodych wykonywała stylowe ruchy tai-chi, układ ćwiczeń, które do pewnego stopnia przypominały wojskowe. Tempo było niezmiennie, płynne i chociaż ćwiczenia wykonywało osiem postaci, trudno było się dopatrzeć jakiegoś zakłócenia rytmu. Jakby spowolnionym ruchem każdy z mężczyzn wyrzucał przed siebie jedno ramię, jednocześnie cofając drugie, zgięte w łokciu, obie dłonie wyprostowane, palce złączone, jak gdyby ramiona były umocowaną na zawiasach bronią, a dłonie nie naturalnymi zakończeniami, lecz szpiczastymi końcówkami. Ruch i przeciwruch. Przednia noga się zgina, tylna rozciąga. Aktywne, bierne. Pchnięcie i pociągnięcie. Nadleciał wietrzyk, lżejsze gałęzie drzew uniosły się lekko, a liście zakołysały w podmuchu powietrza. Osiem postaci wykonało powolny obrót i lotosowy wykop. Na końcu pasma wiązków znów pokazał się strumień, szybszy na tym odcinku, płynął w słońcu.

– Mamy aż za wiele wpływów, by użyć ich przeciwko senatorowi.

– Nie układam taktyki – powiedział Lomax.

– Możemy wykorzystać przeciwko niemu tę kolekcję obscenów. Jego zainteresowanie tym filmem to już tylko dodatkowe podkręcenie nożem.

– Ja prowadzę taktykę. Ale jej nie wymyślam. Zbieram jedynie fakty.

– Wiemy, że on ma przedmioty, które kiedyś należały do Goeringa.

– Ludzie zadają mi pytania. Ja montuję odpowiedzi.

– Oprócz innych znakomitości – powiedział Selvy.

– Kiedy nadejdzie czas, to nadejdzie. Jeżeli będzie naciskał z tym dochodzeniem, powiemy mu, co wiemy i jak to chcemy wykorzystać. Jego okrąg się wścieknie. Wyobraź sobie media. Warta ponad milion dolarów

sztuka o wymowie seksualnej.

– On nie ma przeciwko nam żadnego ruchu.

– Ale ja nie wymyślam taktyki – oświadczył Lomax. – Tylko zbieram informacje.

– A kto wymyśla taktykę? Powiedz o tym taktykowi. Na Percivala mamy wszystko, czego nam potrzeba. Tymczasem wciąż przewalam papiery w jego biurze.

– Podwójny kamuflaż – stwierdził Lomax.

Oficjalnie Selvy był recenzentem. Czytał dla senatora Percivala. Jednocześnie miał z nim tajną umowę. Nikt w jego biurze nie wiedział, że Selvy nie został przyjęty po to, by usprawnić przepływ dokumentów, lecz jako agent do skupowania dzieł sztuki.

– Ale nie powinienesz nazywać tego obscenami – zauważył Lomax.

– A nazwałem to obscenami?

– Przed chwilą nazwałeś to kolekcją obscenów.

– Rozumiem, że widziałeś zdjęcia.

– To interesujące zdjęcia – rzekł Lomax. – Coraz lepiej ci idzie.

– Pośpieszmy się tym razem.

– Ludzkie ciało to nic wstydliwego. W tej kolekcji jest kilka miłych niespodzianek. Kilka naprawdę ładnych rzeczy. Powiedziałbym, że facet ma gust. Nie nazywaj tego obscenami. A tak to nazwałeś.

Trzy setery irlandzkie biegły przez pole graniczące z Reservoir Road, wpadając na siebie, kiedy jeden z nich nagle zmieniał kierunek. Grupa uczennic grała w hokeja na trawie. Ubrane były w wyszukane kostiumy, ich śmiech i piski dolatywały do limuzyny przez szczególnie czysty odcinek przestrzeni, obszar, którego nic nie zakłócało, tak że do słuchającego docierały w naturalnym brzmieniu jako radosne dźwięki ożywionej zabawy.

– Znaleźliśmy tę kobietę – powiedział Lomax.

– Gdzie jest?

– Podróżuje.

– Gdzie?

– W starym kraju.

Była pora kwitnienia wiśni.

Waszyngton wpływał przygnębiająco na stan ducha Moll. Przygniatały ją budynki instytucji rządowych. Spoczywający na nich wielki ciężar historii, czy coś w tym rodzaju. Wycieczki z przewodnikiem. Podręczniki

szkolne. Ostatnia niedziela letnich wakacji. Niedobrze się czuję, mamó.

Była w sandałkach z rzemyków, luźnej bawełnianej sukience przewiązanej szarfą na biodrach – stroju, który nosiła, kiedy chciała wyglądać zwodniczo. Na przykład, kiedy umawiała się na spotkanie z mężczyzną, który mógłby jej się nie podobać. Uważała siebie za atrakcyjną, chociaż nie całkiem w takim sensie. Ubieranie się w taki czy inny sposób było formą chronienia jej własnego ja, w oczekiwaniu na rozwój sytuacji.

Jej kasztanowe włosy, kręcone, wijące się, karbowane, dziś wyglądały jeszcze bardziej elektryzująco, niczym podgrzewane w wysokiej temperaturze. Być może pod wpływem wilgoci ułożyły się wręcz w wyszukaną fryzurę.

Jakby ostrożnie się skradając korytarzem w skrzydle Senatu, sunęła za grupą reporterów, którzy usiłowali nadążyć za Lloydem Percivalem. Senator, który wciąż miał na twarzy pomarańczowy makijaż po wystąpieniu w telewizji, odpowiadał tylko na wybrane pytania, a i na te lakonicznie, półgębkiem. Miał sześćdziesiątkę, był potężnym mężczyzną, zaczynał tyć, robił wrażenie uginającego się pod brzemieniem, nad workami skóry mrugały zmęczone oczka.

Skreślił w prawo, przeszedł koło ogromnego mahoniowego zegara z wojowniczym orłem na szczycie, znów skreślił w stronę schodów, a wtedy jakby na niewidoczny sygnał reporterzy przestali gonić za nim i rozpięchli się, pozostawiając Moll samą w pościgu wprost do windy zarezerwowanej dla senatorów i personelu, potem przez następny korytarz, skręcił za róg, w odległości około dwóch metrów za senatorem, żeby był świadom jej obecności.

- O co chodzi?
- Moll Robbins.
- Prasa czy rozgłośnia?
- Magazyn „Pies Łańcuchowy”.
- „Pies Łańcuchowy” – powtórzył.
- Tak.
- Nadal funkcjonujecie?
- Z trudem.
- Lokaje i psy łańcuchowe kapitalizmu.
- Ktoś pamięta – powiedziała.

Otworzył duże drzwi, zajrzał do środka, obejrzał się na Moll, podniósł głowę, zawahał się, wzruszył ramionami i rzucił:

- No, proszę wchodzić, do diabła.

Zobaczyła olbrzymią ozdobną męską toaletę. Nikogo w niej nie było. Nieskazitelne kafelki, błyszcząca armatura. Lekki zapach balsamu jodłowo-limonowego. Percival pochylił się nad umywalką.

– Muszę zmyć ten makijaż.

– Widziałam – odezwała się.

– Co? Wystąpienie?

Poczekala, aż uniesie głowę, żeby mógł słyszeć pomimo szumu wody.

– Ten facet wydawał się skołowany.

– Kto? Prowadzący?

Czekała, aż znowu uniesie głowę.

– Tak.

– Zawsze jest skołowany. Ten facet to tylko image. Nie potrafi mówić o czymś takim jak BZK/BO. To zlepek drobnych elektronicznych punkików, nic więcej. Ten facet jest taki rodzinny, że powinien prezentować wiadomości w salonowej scenografii, w kapciach, z fajką, siedząc przed trzaskającym ogniem na kominku.

Moll wzięła ręcznik z półki i włożyła mu do wyciągniętej dłoni.

– Powinni nająć milutką starszą panią, żeby podawała mu na tacy biuletyn katastrof, razem z rodzynkowymi ciasteczkami i gorącą czekoladą.

– Wie pan, w „Psie Łańcuchowym” myśleliśmy, żeby zrobić coś innego.

– Ciekawe, do jakiego stopnia to byłoby inne.

W czasie rozmowy Moll miała niewyraźne wrażenie, że Dzieje Się Coś Ważnego, wręcz słyszała, jak opisuje to znajomym: „A więc jesteśmy w tej senackiej męskiej toalecie, on ma głowę w umywalce z florenckiego marmuru, a ja sprawdzam, czy na pisuarach są emblematy stanów, na przykład stan Delaware sika tutaj, a tam Kansas...”

Na końcu długiego rzędu kabin spłukano klozet. Drzwi się otworzyły i wyszedł starszy czarny mężczyzna, zapinając sobie spodnie. Moll patrzyła, jak się zbliża.

– Jak pan się dzisiaj ma, senatorze?

– Na tyle dobrze, na ile można w takich okolicznościach, Tyrell.

– Znam to uczucie – zauważył tamten.

Wyjął szczotkę z białej marynarki i przesunął ją w powietrzu za barkami i plecami Percivala, dopiero teraz – przynajmniej otwarcie – dostrzegając Moll. Było to spojrzenie połączone z wyniosłym wzruszeniem ramion, które mówiło: „Nie wiem, co pani tu robi, ale na pewno to nieodpowiednie miejsce”.

Korytarzem senator szedł, zachowując bardziej rozsądne tempo.

– Chcielibyśmy podejść do tego swobodniej – powiedziała.

– To znaczy pokazać mnie w bardziej ludzkim wymiarze.

– Powszechnie wiadomo, że czas wolny spędza pan przeważnie w swoim domu w Georgetown. Może tam moglibyśmy porozmawiać.

– Mam doradców, którzy sprawdzają takie osoby jak pani. Dlaczego pani nie sprawdzono?

– Zrobi pan to, senatorze?

– „Pies Łańcuchowy”... Jezu, nie wiem.

– Mamy problemy typu ściśle finansowego. Nie wpływa wiele skarg dotyczących treści czy układu.

– Zamieszczacie goliznę?

– Czasami.

– Kobiecą czy męską?

– Kobiecą.

– Włosy łonowe?

– Płyny w aerozolu.

Dochodzili do drzwi prowadzących na ulicę.

– Miło usłyszeć, że stare wartości jeszcze nie wyginęły – powiedział. Stali, mrużąc oczy w słońcu.

– Nie chcę rozmawiać o przesłuchaniach za zamkniętymi drzwiami.

– Naprawdę zupełnie mnie to nie interesuje. Chcę porozmawiać o pana innych zajęciach, senatorze. O ulubionej lekturze, rodzinie, o tym, co pan myśli na temat współczesnego życia. O pana hobby, rozrywkach, przyjemnościach.

Wzięła taksówkę na lotnisko. Jakąś minutę wcześniej, nim samolot potoczył się na pas, by czekać na pozwolenie startu, Glen Selvy przesunął się w jej stronę między rzędami siedzeń i popatrzywszy znacząco, skinął głową. Wrócił jakiś kwadrans po starcie, powiedział, że z tyłu samolotu jest rząd pustych foteli, i zaprosił ją, by razem tam usiedli.

Odpowiedziała mu w sposób najbardziej niechętny, jaki miała w swoim repertuarze, dokonała autopsji wzrokiem, ale ostatecznie poszła.

– Często podróżuje pani do Waszyngtonu?

– W Centrum Kennedy’ego odbyła się galowa premiera filmu. Piszę recenzje. A pan do Nowego Jorku, zobaczyć się z Lightborne’em?

– Może jakoś mi się uda z nim widzieć. Tak.

– To miły stary bufon.

Drzemała przez ostatnie dziesięć minut lotu. Kiedy samolot usiadł na pasie, aż podskoczyła, nagle wyrwana ze snu, i chwyciła leżącą na poręczy rękę Selvy'ego. Patrzył na nią wzrokiem pozbawionym wyrazu, sprawiając wrażenie, jakby przez cały czas, gdy spała, w ten sposób ją obserwował, co wydało jej się przyjemne.

Wzięli razem taksówkę, która długo posuwała się w korku, w końcu więc do śródmieścia dotarli już o zmroku. Moll zaproponowała, żeby odnaleźli klub jazzowy, do którego chodziła przed laty, gdzieś w zastygłej scenerii Wschodniej Trzeciej Ulicy. Okazało się, że klubu od dawna nie ma, ale za rogiem znaleźli knajpę i weszli na drinka.

Selvy zdjął krawat i marynarkę, podwinął rękawy. Zaczął popijać jima beama. Najpierw upił odrobinę z samego wierzchu, a następnie po sportowemu wychylił resztę jednym haustem. Grymas i rumieniec zadowolenia stężały. Moll zaczęła od szkockiej z wodą. Poczowała się jednak winna z powodu tej wody, przerzuciła się więc na kostki lodu.

Przez chwilę rozmawiali o napojach, jakie pijali w przeróżnych miejscach na świecie. Siedzący obok mężczyzna, z bandażem na głowie, stwierdził, że jest zbyt pijany, by sam pójść do domu. Oznaczało to, że będą musieli go odprowadzić. Powiedział, że taki kodeks obowiązuje w Barze Tropikalnym Frankiego. Pochodził z Dominikany. Dodał, że jest mu wszystko jedno, czy odprowadzą go do domu, czy zabiorą do siebie, byleby go odprowadzili. Powiedział, że wie, kto zabił Trujillo.

– Uznaję kodeksy – odezwał się Selvy.

Wyszli poszukać taksówki. Mężczyzna z bandażem na głowie wpadł wprost na otyłą kobietę. Uderzyła go w usta. Rozejrzał się w poszukiwaniu czegoś, jakiegoś narzędzia. Zobaczył rower, chwycił go, ale w ciemnościach nie zauważył, że rower jest przymocowany łańcuchem do ogrodzenia. Ruszył na kobietę z zamiarem staranowania jej lub rzucenia w nią rowerem. Szarpnęło nim z powrotem do ogrodzenia, upadł na rower, a ręce dostały mu się między szprychy.

Moll wzięła Selvy'ego za ramię i poprowadziła wzdłuż sznura samochodów, czekając, aż zmieni się światło. Na końcu znaleźli taksówkę. Wsiedli i ruszyli na północ, a następnie na wschód. Selvy wysadził ją przed jej domem i odjechał – w dal.

Nazajutrz wcześniej rano stanął przed jej drzwiami. Wkroczył do środka, z obojętnym wyrazem twarzy, i rozejrzał się po mieszkaniu.

– Witam w Falconhurst – powiedziała.

Brązowe ściany. Ekspres do kawy. Posrebrzany telefon. Akrylowa drabinka. Czarny bufet. Kulisty telewizor. Biały plastikowy saksofon.

– Ściany są brązowe.

– Zastanawiałam się nad mulatowymi.

– Czekoladowymi.

– Ale w końcu powiedziałam sobie, co mi szkodzi.

– Poprzedni lokator był gejem, prawda?

– To on tak pomalował ściany – wyjaśniła.

– Na drabince powinny stać kwiaty.

– Ja zabijam kwiaty.

– Należysz do takich?

– Więdną w moich ramionach.

Miała na sobie długą koszulę nocną w dwukolorowe pasy, przypominającą koszulkę do gry w rugby. Na stopy wsunęła tenisówki z rozwiązanymi sznurowadłami. Koszula podkreślała jej wzrost w sposób jej zdaniem interesujący. Patrzyła, jak Selvy otwiera lodówkę i wyjmuje butelkę coca-coli, którą opróżnia dwoma szybkimi łykami. Był nie ogolony, wyglądał więc trochę groźnie. Stał tyłem do lodówki, z rękami splecionymi na piersiach, i patrzył na nią.

Uprzytomniła sobie, że on nie przypomina mężczyzny, którego po raz pierwszy zobaczyła w Kosmicznej Erotyce, czyli szorstkiego w obejściu młodego kierownika. Po przepitej nocy robił wrażenie dziwnie bladego, miał w sobie jakąś bezwzględność. Wyglądało to niemal na zawodowstwo, na umiejętność sugerowania, że pod makijażem czai się ciemna siła. Wyczuła to, kiedy pili w Barze Tropikalnym Frankiego, ale późniejsze rezultaty były jeszcze bardziej wymowne – ta jego szczupłość, narzucająca się kanciastość usposobienia, rodzaj prostolinijności, z którymi nie stykała się w dni mające przeciętny przebieg.

Howard Glen Selvy. Doradca rządowy niższej rangi. Asystent asystenta.

Mała sypialnia wychodziła na pusty plac, który mógłby być śmieciarskim ogrodem zen. Kiedy uklękła przy łóżku, Selvy, który znalazł się z tyłu, wsunął ręce pod jej długą koszulę i przeciągając nimi po łydkach, podsuwał skraj coraz wyżej. Moll wyprostowała się, podniosła z kolan, a on podsunął koszulę jeszcze wyżej. Kiedy zadzwonił telefon, jego ręce powędrowały do ud i bioder, potem przesunęły się na brzuch i piersi, przedramiona ścisnęły jej żebra i uniosły całą lekko w górę. Skrzyżowała ręce, by ściągnąć koszulę przez głowę, telefon ciągle dzwonił, i usiadła

na środku łóżka, patrząc, jak on się rozbiera, co robił z niezwykłą sprawnością, jakby wykonywał ćwiczenie, które pewnego dnia może ocalić mu życie.

Kochali się z jakąś determinacją, ogarnięci jedną myślą. On był szczupły i zwinny. Ona uprzytomniła sobie, że drapie go po barkach, że współgra z jego ciałem w sposób nadzwyczaj intensywny. Zaczął lekko się pocić, głębiej oddychać, drapał nie ogoloną brodą jej twarz i szyję. Zdjęła lewą rękę z jego lędźwi, wyciągnęła za siebie i zaczęła nią pukać w mosięzną ramę wezglowia, uderzając kłykciami w rytm oddechu Selvy'ego, a potem również swojego, bo od pewnej chwili wydawane przez nich dźwięki zaczęły się zlewać.

Splątali się w kulę. Zwarli w uścisku pełnym wysiłku. Kim jest ten sukсын? – pomyślała.

Siedziała naga w aneksie jadalnym, z nogami wyciągniętymi na starej ławce kościelnej lub może jej części. Selvy stał oparty o półki z książkami, ubrany w długie kalesony, i pił następną colę. Kiedy się rozbierał, nie zauważyła, że ma długie kalesony – najwyraźniej zdjął je razem ze spodniami i dlatego nie było ich widać. Bardzo jej się podobał, gdy stał tak oparty, z głową odrzuconą do tyłu, popijając napój z butelki, w tej archaicznej bieliźnie, niczym angielski lansjer w wigilię bitwy pod Bałkławą. Zjadła następną łyżeczkę jogurtu, zerkając na telefon, który znów zaczął dzwonić.

– To z biura?

– Tak – odparła.

– Co chcesz robić?

– Zagrać w tenisa.

– Wspaniale.

– Prócz tego, że to niemożliwe, chyba że będziemy czekać kilka godzin w kolejce albo zapiszemy się do prywatnego klubu, albo nagle strasznie się wzbogacimy i zbudujemy własny kort na dachu.

– To idiotyczne.

– Wiesz, gdzie możemy zagrać?

– Wczoraj w nocy, kiedy wysadziłem cię przed domem, jechaliśmy potem koło jakichś kortów w takiej odległej części Central Park, ze trzydzieści metrów od ulicy, a nie możesz tam zaparkować. Pójdziemy pieszo. Stąd nie jest to trudne. Nie ma problemu.

– Zwariowałaś?

– Masz drugą rakietę?

– Przecież w Central Park nie gra się w tenisa, po prostu wychodząc z domu i skręcając w lewo.

– No co ty, ubieraj się.

Wygrzebała łyżeczką resztki jogurtu z kubka, który trzymała między udami, i poszła do sypialni coś na siebie włożyć. Słyszała, jak Selvy wykręca numer telefonu. Kiedy się ubrała, czekał pod drzwiami sypialni. Wszedł i zaczął się ubierać, a ona zadzwoniła do redakcji do swojej szefowej, Grace Delaney.

– Kiedy dzwoniłaś, nie mogłam odebrać.

– Najwyraźniej.

– Percival, zdaje się, jest chętny. Myślę też, że porozmawia ze mną w swoim domu w Georgetown, gdzie raczej na pewno musi mieć tę kolekcję.

– Chyba nie uważasz, że cię do niej dopuści.

– Moim zdaniem dopuści, Grace.

– Odłóż marzenia – zaśpiewała – na kiedy indziej.

– Zrobi to na pewno, rozmawiałam z nim i doszliśmy do porozumienia.

– Co tam szepczesz?

– Poszliśmy razem do męskiej toalety.

– Oszczędź mi szczegółów.

– To może do zobaczenia.

– Kto jest u ciebie, że musisz szeptać?

– Opiekuję się chorym przyjacielem.

– A co mu jest? Ma trypra?

– Z tobą, Grace, zawsze miło się gada.

Z rakietami w rękach szli przez park w kierunku północno-wschodnim. Selvy wskazał na przerwę między drzewami za placem zabaw dla dzieci. Widać było dwa korty, oba puste.

– Zaprawiłeś się kiedyś sake?

– Pewnie – odparł.

– Ja kiedyś chyba w jednym z tych superszybkich pociągów do Kioto, o mało się nie wykończyłam.

– Holenderskim dżinem też można się wykończyć.

– A gdzie ci się to zdarzyło?

– Byłem na Grand Prix w Zandvoort.

– Grand Prix chyba w siatkówce.

- O co ci chodzi?
- Popatrz – rzuciła.
- To nie są korty tenisowe.
- To boiska do siatkówki – odparła.

Postanowili jednak, że zagrają. Siatka wisiała wysoko, głównie więc tylko odbierali dolne piłki, ścinali i tańczyli na ugiętych kolanach, posługując się w ten sposób dziwną angielszczyzną ciała. Przyglądała im się mała dziewczynka, siedząc na szczycie pobliskiej zjeżdżalni. W końcu zaczął się ustalać pewien zwariowany rytm. Grający zyskali wyczucie. Podobała im się gra z zachowaniem ograniczeń i zaczęli się bardziej przykładać do zdobywania punktów.

Moll zbiegła ze wzgórzka za zbłąkaną piłką serwową, a kiedy wróciła na boisko, zobaczyła, że jakieś czterdzieści metrów dalej Selvy z rakieta w ręce sunie przez trawnik do zaparkowanej na nim czarnej limuzyny. Otworzyły się tylne drzwi i wsiadł. Widziała, jak samochód, chybotając, zjeżdża z krawężnika z powrotem na drogę, skręca w lewo, nabiera szybkości, mija pagórek i znika.

Mała dziewczynka też na to patrzyła, stojąc na szczycie zjeżdżalni, mając szersze pole widzenia. Moll spojrzała na nią i wzruszyła ramionami. Dziewczynka wskazującym palcem śledziła trasę samochodu. W końcu opuściła rękę, zjechała błyszczącą rynną i poszła w stronę grupy rodziców i dzieci.

Moll stała przez chwilę, badając wzrokiem okolicę, z dwiema piłkami tenisowymi w jednej ręce i z rakieta w drugiej. Jedno z dzieci zapiszczało w zabawie, a kiedy Moll się odwróciła w tę stronę, zobaczyła, że wybrukowaną alejką pomiędzy dwoma rzędami ławek idzie w jej stronę Selvy. Był jeszcze z pięćdziesiąt metrów od niej, kiedy powiedziała cicho:

- Zapomniałeś rakiety.

Znów siedziała na ławce kościelnej, tym razem w długich kalesonach Selvy'ego. Wyszedł z łazienki, jeszcze trochę mokry, owinięty ręcznikiem w pasie, i uśmiechnął się na widok Moll w jego bieliźnie.

- Przed chwilą używałam tego ręcznika.
- Nie szkodzi – odparł.
- Weź czysty.
- Nie trzeba. Tak jest mi dobrze.

Usiadł przy stole naprzeciw niej, zdrapując paznokciem kciuka etykietkę na postawionej przez nią butelce wild turkey.

– Możemy dać początek grupie o nowych możliwościach. Noszenie nawzajem swoich ubrań.

– Prawdopodobnie to już się stało.

– Poznawanie nawzajem swoich uczuć dzięki wymienianiu się ubraniami. Widzę, jak to się rozwija. Wielkie zjazdy na boiskach baseballowych i w salach koncertowych. Kiedy ktoś chce wstąpić do tego ruchu, musi wypełnić formularz uwzględniający rozmiar ubrań. Musimy to jakoś nazwać.

Przechylił się przez stół i nalał jej ze dwa centymetry burbona do szklanki, którą trzymała na kolanach. Potem napełnił swoją, wyjął z lodówki plastry zimnego mięsa i z powrotem usiadł.

– Odzieżowa Wymiana Osobowości – powiedziała.

– Chcesz musztardy?

– OWO.

– Masz niewłaściwy zawód – stwierdził. – Powinnaś się zajmować promocją, handlem.

– Mój ojciec był specem od reklamy.

– To widać.

– Chodzi ci o to mieszkanie? Ale naprawdę wcale nie jestem tak bardzo nastawiona na konsumpcję ani na konkretne firmy. Po prostu miałam taki okres jakiś rok temu. Kupiłam dużo błyskotek i może tego żałuję. Ale mój ojciec, jeśli już o nim mowa, był autorem kampanii malutkich pralek Maytag. Dzięki niej zyskał nieśmiertelność.

– Chyba mi to umknęło.

– Pierz małego we własnej Maytag.

– Zdecydowanie mi umknęło.

– Bez przerwy się spieraliśmy. To było straszne. Uważałam go za najniższy gatunek robaka w tym całym chorym społeczeństwie. Mieszkałam wtedy z Pennerem. Z ojcem widywałam się dwa razy do roku i zawsze wdawaliśmy się w wielkie awantury o społeczeństwie konsumpcyjnym, rewolucji i tym wszystkim. Pamiętam, że jakoś wtedy zobaczyłam *Zabriske Point* z tą końcową sceną eksplozji domu, kiedy te wszystkie kolorowe produkty w zwolnionym tempie wylatują w powietrze. Boże, to mi załatwiło wszystko. To było szczytowe osiągnięcie tamtego roku, nie pamiętam, który to był. Próbowałam namówić starego Teda Robbinsa, żeby to zobaczył, po prostu złośliwie, z takiej drobnej złośliwości, żeby zobaczył, jak te wszystkie paczki detergentów, zup w proszku, pałeczek do czyszczenia uszu, ołówek do oczu i ten cały wielki dom robią bum.

– Kto to jest Penner?

– Pamiętasz Gary’ego Pennera? Specjalistę od wyburzeń, który jeździł po całym kraju i wysadzał domy w powietrze? Bomba na Telefon.

– Tak – odparł Selvy.

– Budził strach w całym kraju. Ostro poszukiwało go FBI. Stał się ukrytą obsesją J. Edgara. Mieszkałam z Pennerem ponad pół roku. „Pies Łańcuchowy” wtedy rozkwitał. Mniej więcej raz w miesiącu drukowaliśmy oświadczenia Pennera, kiedy znów załatwi jakiś bank czy inny obiekt w jakimś mieście. Właściwie to ja pisałam te oświadczenia. Oj, niesamowicie wtedy było. Niesamowite czasy. A Penner to był najdziwniejszy skurwiel. Cały opatulony materiałami wybuchowymi, wprost nieprawdopodobne. A do tego był to najpodlejszy drań, na jakiego można trafić.

– Ale ty lubisz podłych drani.

– Tak, na szczęście lubię podłych drani.

– Co go w końcu dopadło?

– Zastrzeliła go jakaś kobieta. W motelu w Arizonie. Jakiś rok po naszym rozstaniu. W „Psie Łańcuchowym” ukazał się nekrolog w czarnej ramce.

Selvy’emu zbierało się na kichanie, wstał więc od jedzenia, zerwał z siebie ręcznik, którym był okręcony w pasie, i w samą porę przyłożył go sobie do nosa. Po chwili rzucił ręcznikiem w stronę otwartych drzwi łazienki. Popatrzyli na siebie. Wychyliła burbona, pozostawiając na dnie tylko kilka kropelek. Wsunęła kciuk za gumkę długich kalesonów, rozciągnęła ją, odciągając od brzucha, i wlała do środka resztkę alkoholu. Patrzyła na pełną zainteresowania, mimowolną reakcję Selvy’ego. Potem wstała, odstawiła szklaneczkę na stół i ruszyła do sypialni, muskając go w przelocie.

Kiedy się obudziła, był wczesny wieczór. Padał lekki deszcz. Wydawało się, jakby wisiał w powietrzu. Poczowała, że jest jej chłodno, sięgnęła więc do podłogi po pościel i narzutę. Zaczęła ostrożnie okrywać Selvy’ego, uważając, by go nie obudzić, gdy nagle się zorientowała, że on się jej przygląda. Ugryzła go w ramię i polizowała brodawki. Poruszył się, ułożył wygodnie i zamknął oczy, a ona pocałowała go w powieki, brwi i przeciągnęła opuszkami palców po jego torsie.

– Wiem, czyja to była limuzyna – odezwała się.

Leżał twarzą do sufitu, z zamkniętymi oczami.

– Prawda, że senatora Percivala?

Za jego lewym uchem natrafiła palcem na kosmyk włosów.

– Glen, wiem, że dla niego pracujesz. To zachłanny kolekcjoner do-
sadnej sztuki. Wyszukujesz dla niego rzeczy i załatwiasz sprawy zakupu.

Jej ręka na jego torsie unosiła się i opadała, w rytm równego oddechu.

– Przecież nie może robić tego sam. Ty więc dla niego to robisz, pew-
nie pod jego dyktando i pod przykrywką działań administracyjnych. Po-
słuchaj, w końcu może wykorzystamy osobę 'Percivala w serii artyku-
łów, którą przygotowuję, a może nie, ale jeżeli możesz mi pomóc dobrać
się do jego kolekcji, to wspaniale, fantastycznie. A jeżeli nie, to zrozu-
miem. Może samej mi się to uda.

Patrzyła, jak on otwiera oczy.

– Znam nawet twoje imię – powiedziała.

Zanim zorientowała się, co się dzieje, już klęczał między jej nogami i
przyciągał ją do siebie, trzymając za biodra, wyginając w łuk i gładko w
nią wchodząc, wsuwając się głębiej, przyciągając rękami jej ciało moc-
niej do siebie. Z głową na poduszce, miednicą mocno wysuniętą poza
łóżko, kolanami w górze patrzyła, jak on się krzywi, jak uderza, a potem
musiała zamknąć oczy i zaniechać świata widzialnego, aby móc wejść w
rejon granicznej próżni, gdy jego paznokcie wczepiały się w jej biodra.

Kiedy po raz drugi się obudziła, był środek nocy. Na wpół śniła o róż-
nych sprawach, widziała przesuwaną się serię obrazów, zasypiała i
znów się budziła. Wciąż wyobrażała sobie Selvy'ego w wojskowej sce-
nerii, na ogół w barakach. Stoi w białych bawełnianych szortach bokser-
skich, wokół szyi ma okręcony psi ogon. Może pomieszał jej się z Mont-
gomerym Cliftem w *Stąd do wieczności*. Potem widziała, jak w białych
szortach robi pompki. Widziała, jak siedzi na pryczy i śliną pucuje buty.
Widziała, jak biegnie wokół bieżni, z karabinem na ramieniu, a pot za-
czyna mu plamić połowy mundur.

Nie musiała się odwracać w jego stronę ani sięgać ręką przez łóżko,
żeby się przekonać, że już go tam nie ma.

Kiedy pociąg przejeżdża przez Harlem, ludzie, którzy codziennie nie odbywają tej podróży, zazwyczaj milkną. Milczenie ich jest nie tyle skutkiem szoku czy przygnębienia, ile czystej fascynacji. Przyjemności oglądania ruin. Zachwytu oka, które widzi pouczające widoki. Są tak interesujące, tak paraliżująco barwne, zwłaszcza z pewnej odległości, i co chwila inne.

Selvy wysiadł na stacji Bronxville i pojechał taksówką Palmer Road. Skręcili w lewo na kładkę, by wjechać w spokojną ulicę w tańszej części dzielnicy. Mieszkała tu Klara Ludecke, w małym ładnym domu.

Nie dysponował dokładnymi danymi. Podróżowała po Europie. Dlaczego i gdzie? Nie miał zamiaru interesować się sprawami marginalnymi, takimi jak morderstwo dokonane na jej mężu, istotne były jedynie powiązania nieżyjącego z senatorem oraz ich reperkusje.

Twarz miała prawie okrągłą, a jednak ładną. Była raczej korpulentna, miała ze trzydzieści lat, mówiła z akcentem miłym dla ucha nawet w przypadku pewnych słów, przez które przebrnięcie dawało jeszcze dziwniejsze efekty. Poprowadziła go do ciemnego salonu i usiadła wyprostowana na krześle, wyczekująco splatając ręce na kolanach.

– Pani Ludecke, wyjeżdżała pani.

– Do Aachen, w Niemczech Zachodnich.

– Tam urodził się pani mąż.

– Tak, chyba w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku.

– Dlaczego wyjechała pani akurat w tym czasie? Właśnie zamordowano pani męża. Raz rozmawiała pani z policją i zaraz potem zniknęła.

– Mój mąż nadal ma tam krewnych. Chciałam z nimi się zobaczyć. Musi pan zrozumieć, że potrzebowałam bliskości osób, które go kochały. Nie potrafiłam sama się z tym wszystkim uporać.

– Wróciła pani. Dlaczego?

Wykonała zamaszysty ruch ręką, który miał wskazywać na dom, dobytek, sprawy prawne, sprawy nieaktualne.

– Nie zostanie pani tutaj?

– To byłoby niemożliwe.

– Wraca pani do Niemiec?

– Nie wiem. Może tak w końcu zrobię. Jest tam przynajmniej rodzina męża. Jego ojciec zmarł ponad pół roku temu, ale pozostało jeszcze rodzęństwo, które jest dla mnie bardzo dobre. No i matka Christophy.

– Mąż pani projektował systemy, prawda?

– Nie jest pan jednym z tych policjantów, z którymi rozmawiałam, kiedy to się stało?

– Nie – odparł.

– A kim pan jest?

Przy pasku miał urządzenie, które nazywało się miernikiem natężenia pola. Zdjął je, wyciągnął krótką antenę i dostroił miernik na odpowiednią częstotliwość. Patrząc na wskazówkę, dokonał pomiaru północnej części pokoju. Zdjął z półki *Almanach Świata 1961*. W wąskiej szparce między grzbietem a oprawą znajdował się mały przyrząd do podsłuchu. Selvy wyjął tranzystor z obwodu oscylatora. Spojrzał na Klarę Ludecke. Nie była pewna, czy ma się zdziwić, czy rozgniewać.

Wyjął portfel i pokazał jej komplet listów uwierzytelniających, które świadczyły o jego powiązaniach z czymś, co się nazywało Siły Uderzeniowe Stanów Zjednoczonych, Sprawy Wewnętrzne.

– Jednostka do specjalnych dochodzeń.

– Co takiego specjalnego mnie dotyczy?

– Pani Ludecke, pani mąż nie zakończył życia w okolicznościach, które nazwałbym normalnymi.

– A kiedy to morderstwo bywa normalne?

– Oprócz tego, że morderstwo, to związane z nim szczegóły były niezwyczajne.

– Chyba raczej należałoby je nazwać nienormalnymi.

– To tylko kwestia doboru słowa.

– Nienormalnymi – obstawała przy swoim.

– No tak.

– Każdy by to przyznał. Groteskowa śmierć. Interesujące też, że nie wspomniał pan ani słowem o ludziach, którzy go zabili. Okoliczności tak nienormalne, że ten drobny szczegół został całkiem pominięty.

– Nie, nie o to chodzi.

– Być może w swoim specjalnym dochodzeniu nie uwzględnił pan tego aspektu przestępstwa. Nie interesuje to pana? Dla specjalistów to zbyt typowe. Nudzi pana ta kwestia?

– Chciałbym porozmawiać na temat znajomych.

– Naprawdę by pan chciał?
– W związku ze swoją pracą mąż pani bywał od czasu do czasu w Waszyngtonie.

– Zgadza się. W Waszyngtonie i okolicach.

– Zwłaszcza w Waszyngtonie.

– Tego bym nie powiedziała, nie.

– Według pierwotnego dochodzenia prowadzonego przez policję...

– Przez policję... – zachnęła się. – Policja o niczym nie ma pojęcia. Zna się tylko na morderstwach na tle seksualnym. Tylko w jednostce do specjalnych dochodzeń wiedzą, co jest ważne, a co nie. Wiedzą, gdzie zaglądać. Jak głęboko, jak płytko. Policja. Ona tylko robi zdjęcia ciała, obrysowuje kredą kontury na podłodze. Sprawdza w kartotekach zbrojców i zabójców zbrojców. To policji wystarczy. W tym zakresie ma takie doświadczenie. Czemu więc miałabym narzekać?

Klara Ludecke podniosła wzrok do poziomu jego spojrzenia.

– Do jakiego stopnia specjalne może to być dochodzenie, jeżeli nie spytał pan nawet o Radial Matrix? – zakończyła.

Selvy wziął do ręki plastikowy krążek ze stojącego przed nim stolika, przycisk do papierów, z pięknym trójwymiarowym widokiem falujących wzgórz, i przez chwilę mu się przyglądał. Potem patrzył, jak kobieta wstaje z krzesła, przechodzi przez ciemny salon i równie ciemny korytarz, otwiera frontowe drzwi, trzyma je i nie zdejmuje wzroku ze ściany naprzeciwko, kiedy on, mijając ją, wychodzi w słońce.

Tego samego dnia w jakiś czas później zjeżdżał z Lloydem Percivalem windą na peron metra na Kapitol.

– Kiedy masz być u Lightborne’a?

– Jutro wieczorem – odparł Selvy. – Będzie aukcja.

– Czego? Znowu towar z Gwatemali?

– Najwyraźniej.

– Ostatnio widzujemy tylko naprężone fiuty. Czego bym nie oddał za jednego miękkiego jak gąbka. Mogłoby to być coś całkiem nowego. Jezu Betlejemski, gdzie się podziała estetyka? Spytaj Lightborne’a. Subtelność, złożoność, prosty wdzięk. On pokazuje nam same graty.

– Wie, co robi, senatorze.

– Właśnie słyszałem od znajomych z Amsterdamu, że ktoś ma gipso-polistyrenową kopię tego Berniniego, która zawsze mi się podobała.

– „Ekstazy Świętej Teresy”.

- Zgadza się. To rzeźba jakiegoś Holendra.
- Lightborne ma jego pastora.
- Jakiego pastora?
- Pastora z wyprężonym fiutem, senatorze.
- Właściwie to nie musiałem pytać.
- Właściwie nie.

– Właściwie to ten Holender uniósł habit świętej Teresy aż po uda i rozstawił jej kolana, nie zmieniając pierwotnego ustawienia stóp. Do diabła, przecież to nic nowego. Tylko to wszystko podkreślił. Jej ekstaza zawsze miała charakter erotyczny.

Byli ostatnimi, którzy stanęli na małym elektrycznym urządzeniu przewozowym. Ruszyło natychmiast.

- Bernini mógłby nie wyrazić zgody.
- Nie kręć, Glen.
- Że nie wspomnę już o świętej Teresie.
- Jesteś pruderyjny?
- Możliwe.
- Interesujący facet. Interesujący z ciebie facet.
- A co z aniołem?
- Zmienił ułożenie grota, ale nieznacznie.
- Żeby miało bardziej falliczny wyraz.
- To marginalny efekt – zauważył Percival.
- Sacrum i profanum.
- Specjalna forma erotyzmu, prawda? Zawsze na mnie działała.

Stwórcę raduje to, że niewielu z nas jest zdolnych dostrzec takie atrakcje.

Wysiedli z metra i pojechali windą na trzecie piętro Dirksen Building.

– Ten magazyn chce przedstawić mój ludzki wizerunek.

– Jaki magazyn?

– „Pies Łańcuchowy”.

– Proszę trzymać się od nich z daleka – powiedział Selvy. – To oczywiście nie moja działka.

– Dlaczego?

– Wykończą pana.

– Skąd wiesz?

– Polują na sprawy kontrowersyjne. Są bliscy upadku, potrzebują sensacji. Nawet jeśli wydrukują to, co przyrzekną, osaczą pana opisami autopsji, zdjęciami ran, pytaniami, kto zabił Browna, kto zabił Smitha, kto Jonesa. Obracają się w sferze fantazji.

Szli korytarzem w stronę gabinetu senatora.

– To oczywiście nie jest pana działka.

– Oczywiście, że nie – odparł Selvy.

– Pańskie obowiązki ograniczają się do ściśle administracyjnych.

– Redaktorka magazynu jest zagrożona na stanowisku. To Grace Delaney. Pijaczka. Kiedyś cały swój czas poświęcała na zbieranie na kaucję dla Panther, którym miało co stawać.

Lightborne pochylił się do przodu, krzywiąc twarz tuż przed lustrem, by sprawdzić, czy między zębami nie pozostały resztki grzanki z serem, zjedzonej na kolację. Odkręcił zimną wodę, zmoczył palec wskazujący i kilkakrotnie przesunął nim po zaciśniętych zębach.

Uporządkował część galerii, by ustawić krzesła i ławkę, ostatecznie postanawiając, że nie będzie ciągnął tam fotela. Obszedł pomieszczenie, zapalając światła. W kieszeni marynarki znalazł lekko pogniecionego papierosa Tareyton King, zdmuchnął z niego kilka razy mikroskopijne kłaczki i zaczął szukać zapalaki, trzymając papierosa pomiędzy kciukiem a palcem serdecznym, którego to gestu nauczył się od pewnego utytułowanego Anglika, gdy robił z nim interesy. Zapalek jednak nigdzie nie było, w końcu więc włączył elektryczny palnik i czekał, aż się nagrzej. Wtedy przyszli pierwsi goście mający wziąć udział w licytacji.

Ostatecznie kiedy Lightborne kończył przygotowania, w galerii siedziało jedenaście osób. Glen Selvy wziął krzesło z części mieszkalnej i usiadł pod ścianą, trochę z dala od pozostałych. Lightborne pokazał wyrzeźbioną w drewnie figurkę symbolizującą płodność. Zwrócił uwagę na jej charakterystyczne elementy, poinformował, z jakiego pochodzi okresu, jak dokładnie została wykonana, gdzie ją znaleziono i w jaki sposób. Jedynym licytującym był mocno opalony mężczyzna nazwiskiem Wetzel.

Na licytację została również wystawiona miedziana statuetka o lesbijskiej wymowie. Po podniecającej licytacji, w której uczestniczyły prócz Wetzla jeszcze trzy osoby, wszedł on w posiadanie satyra z brązu, kiedyś własności Fulgencio Batisty, jak twierdził Lightborne.

Wepchnął do tej części galerii, w której odbywała się aukcja, kufer na kółkach. Rozpiął pasy, ogromnym kluczem otworzył go, po czym przy pomocy dwóch mężczyzn siedzących z przodu wyciągnął metrowy fallus z kamienia pochodzenia wulkanicznego. Fallus sterczał w górę, wyrastając z podstawy, którą tworzyły dwa jądra większe od kul do gry w krę-

gle.

Ekspонат był w wielu miejscach odłupany, dziobowaty i odbarwiony. Miał swój charakter. Lightborne zaprosił licytujących, aby mu się bliżej przyjrzel, co też większość z nich zrobiła. Następnie wygłosił krótką charakterystykę eksponatu i otworzył licytację.

– Ten przedmiot jest tak samo prekolumbijski jak wyżymaczka Oldenburg – zauważył Wetzel.

– Kto powiedział, że to prekolumbijskie? Mówiłem, że wykopano to z grobu w dżungli. Kto określił datę?

– Jakiś pański człowiek wyrzeźbił to cholerstwo u siebie na podwórku.

– Zna takie groby, o jakich nikt inny nie ma pojęcia – oświadczył Lightborne. – Znajdują się w największej gęstwinie. Można tam dotrzeć tylko pieszo, wycinając sobie drogę maczetą.

– Wycinając drogę – powtórzył Wetzel.

– Miał tu być profesor Shatsky, żeby potwierdzić autentyczność eksponatu. Najwyraźniej się spóźnia.

– Shatsky.

– Z Muzeum Żydowskiego.

– A co, u diabła, Muzeum Żydowskie wie o fiutach z Gwatemali? Ten fiut nie jest nawet obrzezany.

Lightborne wykonał uspokajający gest.

– Tylko wolnego z tym anglosaskim szowinizmem – rzekł.

Godzinę później było już po wszystkim. Pełna kłapa. Lightborne nalał sobie do szklaneczki kanadyjskiej whisky i powoli ją sączył. Wyjął pudełko ciasteczek z prawoślazem i od razu zjadł całe trzy, splukując je drobnymi łydkami żyta.

Na stolikach w galerii stały butelki shasta i winka. Na popielniczce wciąż się żarzyło czyjeś cygaro. Lightborne wyjął z kieszeni pogniecionego tareytona i przypalił go od cierpkiego cygara. Zamknął drzwi, zgasił światła i wszedł za przepierzenie.

Nad umywalką wisiała sześćdziesięciowatowa żarówka, lekko się kołysząc w powiewie dolatującym od otwartego okna. Lightborne nalał sobie jeszcze trochę żyta i usiadł przy telefonie. Wykręcił numer telefonistki, którą poprosił o połączenie go z Dallas – rozmowa R z przywołaniem.

Po jakimś czasie uzyskał połączenie z Richiem Armbristerem, znanym jako cudowne dziecko porno, dwudziestodwuletnim mistrzem dystrybucji i marketingu, mieszkającym i pracującym w zabarykadowanym

magazynie w centrum Dallas.

Armbrister miał pieczę nad labiryntem stu pięćdziesięciu korporacji, które oprócz innej działalności i holdingów prowadziły w całym kraju sieć księgarń, sklepików przy szosach i lokalików peep show. Poza tym salony masażu i studia spotkań nago na południu Stanów i w zachodniej Kanadzie, punkty zbytu akcesoriów skórzanych i przyrządów mechanicznych na zachód od Missisipi. Ponadto sex shopy, bary topless, salony bilardowe topless na południu i południowym zachodzie Stanów oraz agencję wynajmu samochodów z szoferami płci żeńskiej topless. Rzadko brał urlop i nie miał hobby.

– Ach, Lightborne, co słyhać? Zawsze sprawia mi przyjemność rozmowa ze światłą osobą, w przeciwieństwie do tych przygłupów, którzy dla mnie pracują.

– Rozumiem, że robi się coraz ciasniej, Richie. To znaczy od strony prawnej, jeśli chodzi o udane poszukiwania.

– Nigdy mnie nie znajdą. Zbyt wiele tu fruwa papieru. Bądź pewien, że mam świetną kryjówkę. Firmy holdingowe w czterech stanach. Na osoby podstawione. Ja jako osoba nie istnieję, nie ma mnie nigdzie na piśmie. Ukryty jestem za tymi wszystkimi papierami.

– Prawne fasady, wspaniale.

– Tak się mówi – powiedział Armbrister swoim piskliwym głosem bliskim załamania.

– Pamiętasz ten interes, o którym rozmawialiśmy kilka miesięcy temu?

– Jasne.

– Znów się nakręcił – ciągnął Lightborne. – Miałem zachęcający telefon.

– To znaczy zachęcił ciebie.

– Może to bez znaczenia.

– Nadal mnie to interesuje. Filmy pełnometrażowe. Premiery. Do tego mnie dotychczas nie dopuszczono. Jakiś pech. Seria drobnych wypadków. Wiesz, zorganizowana przestępczość. Mafia. Prowadzą pełnometrażowe.

– To może być bez znaczenia, Richie.

– Ale znów się robi gorąco.

– Tylko ciepło. Realnie mówiąc, tylko ciepło.

– Lightborne, czego ci potrzeba?

– Muszę pokazać trochę pieniędzy.

– Wszystkie mam zainwestowane w gotówkę.

Lightborne zrozumiał, że ma się zaśmiać, i z trudem wydobył z siebie rechot.

– Wiesz, kupiłem samolot – oświadczył Richie. – Lecę do Europy w interesach. Rozwaliliśmy całą część pasażerską i zrobiliśmy ją od nowa. Jest duży, trzydzieści jeden miejsc, DC-9. Może w drodze powrotnej zatrzymam się w Nowym Jorku. Porozmawiamy poważnie o tej sprawie.

– Dobrze znam Europę – powiedział Lightborne bez specjalnego przekonania.

– Najpierw lecimy do Anglii, żeby się rozejrzeć od strony teatru. Potem do Hamburga czy Sztokholmu, zapomniałem gdzie. Żeby złapać orientację, jeśli chodzi o sklepy, czy uda nam się tam rozciągnąć naszą gumową linię. Potem może do Amsterdamu po akcesoria krępujące, zorientować się w ich poziomie.

Lightborne nagle poczuł się wyczerpany i jedynym jego marzeniem było położyć się na swojej pryczy i zasnąć. Wpatrywał się w mrok, kiwając głową w rytm głosu na drugim końcu. Usłyszał jakąś uwagę, krótką, pełną oczekiwania ciszę, a potem doleciał go płynący przez kontynent wariacki śmiech Richiego.

– Ha, ha – przy pierwszej sposobności zaśmiał się sam Lightborne.

Nazajutrz wszedł do kolejowego baru w pobliżu Chinatown. Spóźnił się kilka minut, więc ciężko dyszał, idąc przez salę. Usiadł przy barze obok Selvy'ego.

– Rozmawialiśmy o długości, przypomina sobie pan?

– Tak – odparł Selvy.

– Będzie go to interesowało?

– O, tak, na pewno.

– Proszę mu powiedzieć, że może być aktualne.

– Powiem.

– Proszę mu powiedzieć, żeby zapomniał o porażkach w przeszłości.

– Jest aktualne. Powiem mu.

– Proszę mu powiedzieć, że nieistotna jest ta sprawa towaru z dżungli.

– To zupełnie co innego – stwierdził Selvy.

– Oczywiście, to nadal rzecz nieznaną. To nadal kwestia prawdopodobieństwa.

– Kiedy ostatnio o tym rozmawialiśmy, to głównie pan był sceptycznie nastawiony.

Lightborne zamówił zupę i bezwiednie przesuwiał krawędzią pudełka

zapalek pod paznokciami.

– Powszechnie wiadomo, że w esesmańskich pomieszczeniach w bunkrze bez przerwy zmieniały się kobiety – powiedział. – Wiadomo, że przewijały się tam setki osób. Była to skomplikowana operacja, to rządzenie krajem z podziemia, to znaczy tym, co jeszcze z tego kraju pozostało.

– Chce pan powiedzieć, że przy takiej liczbie ludzi mogły się wydarzać różne rzeczy.

– Ale z drugiej strony, jeżeli chodzi o samego starego, to znów patrzę na to bardzo sceptycznie.

– O Hitlera?

– Był zbyt słaby, żeby brać udział w czymś takim. Był częściowo sparaliżowany, przeważnie na środkach uśmierzających. W ostatnich dniach czuł się zdecydowanie niedobrze. A Ewa Braun. Ewa Braun na pewno nie była kandydatką do uprawiania seksu zbiorowego. Nie ten typ. Oczywiście, lubiła film. Kiedyś pracowała u jakiegoś fotografa. Ma to jednak niewielkie znaczenie.

– Bardzo niewielkie – przyznał Selvy.

– Ale najpierw była Geli Raubal. Jego siostrzenica. Podobno zmusił ją, by pozowała do nieprzyzwoitych obrazów. Różnych zbliżeń i tak dalej.

– Kto malował te obrazy?

– On sam – odparł Lightborne.

– Hitler?

– Tak więc zainteresowanie pornografią istniało. Wiadomo, że przez cały czas kręcono dla niego filmy w Berlinie i Obersalzburgu, czasem dwa dziennie. Ci hitlerowcy mieli słabość do filmu. Kręcili wszystko. Nawet egzekucje. Na jego osobistą prośbę. Dla epoki hitlerowskiej film był podstawą. Mit, marzenia, pamięć. Niektórzy twierdzą, że lubił też sprośne filmy. Nawet hollywoodzkie, z dziewczynami o długich nogach.

– Robi pan z tego całą sprawę. Atakuje.

– Może to być bez znaczenia.

– Zna się pan na tej epoce.

– Powiedziałem to?

– O ile sobie przypominam, to chyba tak.

– Widzi pan, on nie przestaje fascynować. Podobnie jak cała epoka hitlerowska. Ludzie nigdy nie mają dość. Jeżeli mówi się o hitlerowcach, to od razu też o erotyzmie. O przemocy, rytuałach, skórze, długich bu-

tach. Tych wszystkich mundurach i przyborach. Wie pan o tym, że on bił pejczem swoją siostrzenicę?

– Hitler?

– Podobno pejczem na byka.

Lightborne rozkruszył solonego krakersa i wrzucił do zupy pomidorowej.

– Nie powiem już, że patrzę na to sceptycznie, ale bardzo sceptycznie.

– Chodzi panu o to, czy w ogóle ten film istnieje, czy o to, kto w nim się pojawia? O rangę i tak dalej?

– Chodzi mi o to i o to. I jeszcze o jedno: o szanse komercyjne takiego filmu. Czy można mu nadać rangę dokumentu? Czy naprawdę istnieje zapotrzebowanie na coś takiego? Czy w pornografii chodzi ludziom o coś takiego? Może to ma zbyt historyczny charakter? A może to rzeczywiście jest dokument. Sam zadaję sobie to pytanie. Czego chcą ludzie? Czy jest w tym spora doza fantazji? Czy taki materiał pomoże ludziom osiągać lepszej jakości orgazm?

Selvy nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

– Podoba mi się pana laska.

– No, ktoś zwrócił na nią uwagę. Jest pan pierwszy. Dotychczas nikt jej nie dostrzegł. A nieźle za nią zapłaciłem. To afrykańskie drewno. Rączka w kształcie małpy, może pan zauważył.

– Ładna laska, bardzo ładna.

Lightborne poprosił o rachunek, odnotowując zarazem, że przed jego towarzyszem stoi tylko kawa.

– Niech pan nie czuje się zobowiązany – powiedział Selvy. – To on płaci.

– I myśli pan, że go to zainteresuje?

– Na pewno będzie zainteresowany. Już jest.

Ustalony przebieg podróży. Taksówka, lotnisko, samolot, lotnisko, samochód. Przemieszczał się tak obok innych ludzi, siedział w samolotach na siedzeniach przy przejściu, stał na skraju kolejek, dyskretnie uważny, ostatni wsiadał, pierwszy wysiadał. Znalazł miejsce, gdzie mógł zaparkować przy Potomac Avenue, i ruszył do domu, okrążając dwóch chłopaków, którzy bawili się na schodach przed jego mieszkaniem.

– Hej, pan jest właścicielem?

– Nie.

– To skąd pan jest?

- Hej, ty biały.
- Co pan tu robi?
- Hej, biały.
- To skąd pan jest?

Wziął prysznic i czekał, aż minie czas. Nieważne było to czekanie. Miał gdzieś być o piętnastej. Nikt, kto go znał czy z kim mógł czasem porozmawiać, nigdy by się nie domyślił, jakiego rodzaju sprawami się zajmuje. Rozgrywały się na uboczu normalnego życia. Dlatego też zupełnie nie miało znaczenia to, gdzie mieszka. Nie robiło to różnicy, było po prostu zabarwieniem prawdziwego życia, pustymi rozmyślaniami, rutyną, rzemiosłem, utrzymywaniem się na krawędzi w przygotowaniu do... nie wiedział, do czego. W przygotowaniu do czego?

Żył w godzinach wolnych. Stworzył sobie własne pole operacyjne, działań na zewnątrz było niewiele, a polityki nie było wcale. Okresowo zgłaszał się w budynku przy Drukami Rządowej, gdzie poddawano go wywiadowi technicznemu, czyli testowi na wykrywanie kłamstw.

Czytał. Czytał dla swojego szefa. W jego spojrzeniu na świat nie było cynizmu. Nie czuł się zbrukany swoim zawodem. Prowadził życie wykalkulowane. Wolał, by sprowadzało się do nie umeblowanych pokoi.

Kiedy stał tego popołudnia o trzeciej przed restauracją Palacio de Mexico przy M Street, podjechała jego limuzyna i powoli otworzyły się tylne drzwi. Na przednim siedzeniu przy kierowcy siedział dorosły bernardyn, a po tylnym gramoliły się trzy szczeniaki. Lomax wcisnął się na jedno z osobnych miejsc i wskazał Selvy'emu sąsiednie.

- Wziąłem je, żeby się wybiegały – powiedział Lomax.
- I nadal to robią.
- Takie psy potrzebują ruchu. To szaleństwo chować je w mieście. Może gdzieś kupię kawałek ziemi.
- W okręgu Fairfax.

Lomax wziął na kolana jednego szczeniaka i zaczął głaskać go po karku. Samochód minął Biuro Zarządzania.

- Spotkałem się z Klarą Ludecke – powiedział Selvy.
- I?
- Zastanawia się, dlaczego została wdową.
- To naturalne.
- Też tak pomyślałem. To naturalne, że zaczęła zadawać pytania.
- Ma kontakt z Percivalem?
- Wątpię.

- Masz jakieś informacje, co robiła w Niemczech?
- Mówi, że była u krewnych.
- Ja słyszałem coś innego – zauważył Lomax.

Samochód jechał w kierunku zachodnim, ostro skręcając przed wjazdem na Key Bridge. Zapadła głęboka cisza.

- Dlaczego wspomniała o Radial Matrix? – spytał Selvy.

Lomax przeniósł szczeniaka z powrotem na tylne siedzenie.

- Bo wspominała, prawda?
- Tak, mówiła coś o Radial Matrix.

Lomax wyjął z kieszeni pudełeczko pastylek na gardło i wziął jedną do ust. Samochód jechał na południe, autostradą Lee, numer 29. Lomax przesiadł się na tylne siedzenie i zaczął się bawić ze szczeniakami, pozwalając, by mu łąziły po głowie i karku. Dorosły pies siedział na przednim siedzeniu, patrząc przed siebie.

– Ta naturalna ciekawość tej pani rodzi pytanie – odezwał się Selvy. – Nie do mnie należy to osądzać, ale ostatnio nad tym się zastanawiałem.

- Chwilka tutaj może zwalić z nóg jak szarżujący łoś.
- Kto zabił Ludecke’a?
- Przyglądam się Percivalowi – powiedział Lomax.

Selvy pomyślał, że to kompletne kretyństwo. Patrzył, jak Lomax usiłuje się uwolnić od baraszkujących szczeniaków.

– Senator jest po prostu modnym kolekcjonerem obscenów. Jego podniety są ściśle zastępcze. Dla kogoś takiego morderstwo to zbyt mocna rzecz, nawet takie na zamówienie.

- Pozostań przy Percivalu.

– Ten kierunek śledztwa niczego nowego już nie wniesie. Chciał mieć film z Berlina. Wiedział, że ma go Ludecke. To wszystko.

– Ja jednak przyglądam się Percivalowi – upierał się Lomax. – I nie nazywaj tego obscenami. Wciąż to powtarzasz.

Selvy spojrział przez okno na drewniany dom, plastikowy basen na trawniku i jakieś pół sągu drewna opałowego pod frontowym gankiem.

– Istnieje niewielka szansa, że jakieś czasopismo napisze coś o kolekcji senatora.

- Chryste – jęknął Lomax.
- To dla nas byłoby korzystne.
- Może i prawda.
- A więc?
- Odezwę się.

– A tymczasem... – powiedział Selvy.

– A tymczasem jedź do Nowego Jorku.

Limuzyna wjechała na stację benzynową, a następnie przepruła przez szosę i skierowała się z powrotem do Waszyngtonu.

– Właśnie stamtąd wróciłem – oświadczył Selvy.

Obaj wiedzieli, że nie jest to skarga, tylko niebezpośrednia forma wyrażenia zgody, gotowość Selvy'ego do wpasowania się w układ i doprowadzenia sprawy do ostatecznego rozwikłania.

Przez resztę drogi Lomax siedział rozwalony na rozkładanym siedzeniu i rozmawiał z psami.

Biuro redakcji było pomieszczeniem jasnym, zagraconym, sporych rozmiarów, z nieczynnym kominkiem. Za biurkiem z drzewa tekowego siedziała Grace Delaney, stopniowo przesuując się na krześle do okna, które miała za sobą. Moll argumentowała, gestykulując i starając się, by syreny samochodów policyjnych na Drugiej Alei nie wybiły jej z wątku. Mężczyźni z bronią. Tego elementu w całej sytuacji nikt nie był w stanie zmienić. Czowała, że traci zainteresowanie Delaney na rzecz rozgrywającej się za oknem sceny.

– To wszystko, Grace. Finis. Das Ende. Mogę być w Georgetown, zanim na róże opadnie rosa, czy coś w tym rodzaju.

Biura „Psa Łańcuchowego” mieściły się w trzech miejscach: w bliźniaku z brązowego piaskowca w dzielnicy East Side, w pomieszczeniach wynajętych w biurowcu po przeciwnej stronie miasta i w czymś mieszkaniu przy Sunnyside, w Queens.

Ta redakcja mieściła się, oczywiście, w budynku z brązowego piaskowca. Na najwyższym piętrze, od tyłu, okna wychodziły na południe, na bożodrzewy i małe ogrody. Grace Delaney była starannie ubraną, szczupłą i kanciastą kobietą, której twarz i ręce często się łuszczyły. Teraz stała przodem do okna, tyłem do Moll, która siedziała na szafce z alkoholem, czekając, aż Grace coś powie.

– W porządku. Na poziomie osobistym. To nie należy do rzeczy, które mnie podkręcają.

– A co byś chciała? Nagi tors w jego zamrażarce?

– To nie jest sprawa polityczna. Nie ma powiązań.

– Mylisz się, Grace.

– Możliwe, ale udowodnij to.

– Wśród swojego personelu ma człowieka, który lata po całym kraju i kupuje te rupiecie. To oznacza dolary na podróż plus pensję tego faceta.

– To słońce jest takie przyjemne.

– Oczywiście, idą na to pieniądze podatników.

– Nudzisz mnie, Moll.

– Seks jest nudny?

- Chyba brak mi tu spisku.
- Na przykład?
- Uczucia, że to wredna kombinacja.
- Hm, Percival bada sprawę tej operacji BZK/BO. Może to jest tą wredną kombinacją.
- O to chodzi, brakuje mi wrażenia, że jest w tym coś paradoksalnego. Okręciła się na krześle i zwróciła twarzą do Moll.
- Nasze śledztwo w sprawie Percivala powinno przynieść to samo, co w końcu przyniesie jego dochodzenie w sprawie BZK/BO. Brakuje mi tu symetrii.
- Grace, przecież nie tkamy perskich dywanów.
- Delaney wyjęła z biurka srebrną piersiówkę i pociągnęła dwa szybkie łyki, bezwiednie potrząsając głową.
- Knowania są naszym tematem przewodnim. Przecież wiesz o tym, do cholery. Koneksje, powiązania, tajne związki. W serii artykułów, które piszesz, wszystko polega na tym, że to jest skomplikowany wielki interes wiążący nie tylko handlarzy obscenami, mafię, policję i sądy, lecz także wysoce szacowne elementy świata biznesu, głównie handlu nieruchomościami. Wszyscy łączą się w świadomej zgodzie na łamanie prawa. A może nic o tym nie wiesz.
- Wiem.
- Jeżeli bliżej się przyjrzeć sprawie, to Percival nie ma z tym nic wspólnego. Jest kolekcjonerem sztuki, o inklinacjach erotycznych. Ja to rozumiem, jeżeli w ogóle rozumiem, jako coś zabawnego.
- Co mam powiedzieć?
- Dla mnie nie jest to najbardziej istotne.
- Mówisz mi więc, bym się tym nie zajmowała.
- Brakuje mi powiązań.
- Chodzi o ostatnią rozmowę z tym mężczyzną.
- Nie dopuści cię do swojej kolekcji.
- Mogę do niej dotrzeć bez niego.
- Jak?
- Przez tajemnicze źródło.
- Bliskie senatora?
- Dostatecznie bliskie.
- Mam wątpliwości.
- Daj mi się tym zająć.
- Jesteś trzepnięta – rzuciła Delaney.

Powiedziała to matowym głosem, jakby intymnym tonem, dzięki czemu niekiedy zniewagi brzmiały w jej ustach jak czułe słowa. Często pomrukiwała sprośności. Swoim starannie przykrojonym stylem, otoczona zdjęciami, rozkładówkami, zgniecionymi kubeczkami plastikowymi, czubatymi popielniczkami, celofanowymi mobilami, książkami i porozrzucanymi czasopismami, potrafiła robić wrażenie, że w sercu tej kryjówki panuje rygor. Moll patrzyła, jak zwilża sobie tonikiem nadgarstki i spód dłoni i powoli, sennie zaczyna go wcierać. Znana była z tego nawet w Sunnyside. W ten sposób zwalniała ludzi.

Wczesnym popołudniem Moll przywołała taksówkę, która zawiozła ją do domu, przejeżdżając koło Little Carnegie, gdzie grano specjalny program z Chaplinem. W mieszkaniu zastała Selvy'ego, ale postanowiła nie pytać, jak dostał się do środka. W złym guście takie pytania. Obraza ich ambiwalentnych stosunków.

Kiedy ściągała sweter przez głowę, zatrzeszczał. Naelektryzowany. W opuszkach palców poczuła prąd. Kiedy Selvy dotknął jej, podskoczyła. Razem padli na łóżko. Łagodne wstrząsy ustały, dwa ciała przypominały wkrótce zapętlone jedno. Zaczęła potrząsać głową, wolna, rozebrana, siedząc na nim okrakiem, czując mieszaninę rozsiewanych zapachów.

Wpili się w siebie wzrokiem. Zwiadowczym spojrzeniem. Poczuli, że on ma władzę, wolę, były niemal namacalne, jak niezachwiana decyzja gracza w karty, poczuła wściekłą pewność jego zwycięstwa.

Przesunęła palcem po jego ustach. Uniósł ją, napierając biodrami tak wysoko, że opadła w przód, opierając ręce po obu stronach jego głowy. I już tak pozostali, powoli zmierzając do końca, bez nowych wybuchów i szaleństw. Kołysała się nad nim na czworakach, oblizując wyschnięte w suchym powietrzu usta.

Podparty na łokciu patrzył, jak ona wychodzi z pokoju. Wróciła z puszką piwa, którą wypili na spólkę.

- Masz chód zawodnika trzeciej bazy.
- Chodzę na ugiętych kolanach – powiedziała.
- Jakbyś całe życie spędziła za blisko bazy wyjściowej, oczekując, że pałkarz zetnie piłkę, ale zawsze podejrzliwa, gotowa rzucić się w jedną czy drugą stronę.
- Podejrzliwa z jakiego powodu?
- Że wybije ją dalej.
- Tyle na temat tego, jak chodzę. Jak zawodnik trzeciej bazy. A co na temat mojego ciała?

- Dobrze ręce – stwierdził. – Prężne piersi. Jak u zawodnika drugiej bazy.
- Coś mi się przypomniało.
- Nie zaplączą ci się, kiedy się okręcisz, by rzucić piłkę z jednej bazy do drugiej.
- Idziemy do kina. Właśnie sobie to uprzytomniłam. W Little Carnegie grają Chaplina. Mamy cztery i pół minuty.

Dyktator w mundurze.

W obu klapach dwa krzyżyki. Duże nakrycie głowy, czapka z daszkiem, również z insygniami. Nosi buty do kolan.

Najsłynniejsze wąsy świata.

Dyktator zwraca się do tłumów. Wygłasza zawężłone tyrady. Językowo to podgrupa niemieckiego. Mikrofony niosą echem.

W opowieści występują: niewielki fryzjer i ładna dziewczyna.

Niemowlę moczy się na rękę dyktatora. Grupy szturmowe maszerują i śpiewają.

Dyktator siedzi na biurku, w lewej ręce trzyma duży globus. W klasycznej pozie filozofa. Spojrzenie ma dalekie. Czuje bezmiar romantyzmu w zdobyczy i podboju.

Scena uroczysta.

Do muzyki z „Lohengrina” dyktator wykonuje niesamowity taniec, przerzucając globus, balon raz w jedną, raz w drugą stronę, z radością padając na plecy.

Dyktator płacze, krótko.

Tymczasem fryzjer przygląda się jego/swojemu odbiciu, które pojawia się na czaszce łysego.

Dyktator wita w swoim kraju tyrana-rywala. Ten przybywa dwuwymiarowym pociągiem. Przywódcy salutują sobie przez wiele klatek.

Dochodzą do wniosku, że prerogatywy dyktatury łatwiej jest ustalić, kiedy jest tylko jeden dyktator.

W pałacu odbywa się bal. Dyktator i jego rywal jedzą truskawki i musztardę. Podpisują traktat. Zespalają się.

Dyktator płynie polować na kaczki i wypada z łódki.

Pomyłona tożsamość.

Fryzjer czy neotramp, który jest sobowtórem dyktatora, obejmuje dowództwo – w większym czy mniejszym stopniu – i zwraca się do tłumów.

Burleska, wcielenie się w rolę.

W pobliskiej restauracji Moll powiedziała:

– Najśmieszniejsze jest to, że pamiętam ten film jako niemy, a przecież nie jest. Nawet zapomniałam to przemówienie na końcu. Niesamowite. Ale chyba silniejsza jest pamięć obrazu. Powiem ci, czego nigdy, przenigdy nie zapomnę, jeśli chodzi o film.

– Czego?

– Z kim oglądałam dany film.

– Z kim oglądałaś dany film.

– Nigdy nie zapominam, z kim byłam na danym filmie, niezależnie od tego, ile lat minęło od tego czasu. Jesteś więc wyryty w moim mózgu na tej półkuli, która rejestruje chodzenie do kina. Ty i Charlie Chaplin jesteście na zawsze związani. Charlie powiedział, że w bardziej zaawansowanym okresie wojny ani po niej nigdy by nie nakręcił *Dyktatora*, bo już wiedział, do czego był zdolny hitleryzm. Innymi słowy, to trochę naiwne. Powiedział też coś dziwnego... że dyktator jest komediantem. Ale Charlie tak w moim umyśle wiąże się z filmem niemym, że całkiem zapomniałam, iż to film dźwiękowy. Przecież na pewno taki był dziesięć, dwanaście lat temu. Może odrobinę dawniej. Może piętnaście.

– Przestali mówić i jedz.

– Czasem się zapędzam.

– Troszeczkę.

Przy deserze powiedziała:

– Chodźmy popić w miasto.

– Poważnie popić.

– Do naszej pierwszej knajpy. Na ostre picie. Para robotników portowych rusza w miasto.

– Zapomniałem, jak się nazywała.

– Tropikalny Bar Frankiego.

– Odnajdziemy go?

– Wystarczy spytać taksówkarza. To znany bar.

– A ten facet z bandażem na głowie...

– Który chciał rzucić rowerem w tę grubą kobietę.

– Wszystko się przypomina – powiedział.

– Koloryt lokalny. Dobra rozmowa. Porywająca muzyka. Choroba.

Byli tam jeszcze o drugiej nad ranem. Po przeciwnej stronie baru siedziało dwóch mężczyzn i starsza kobieta. Na stopniu prowadzącym do toalety rozwalił się inny mężczyzna, mamrocząc coś o tym, że jego gospodarz pracuje dla FBI. Nie tylko w jego mieszkaniu, ale też wszędzie,

dokąd chodził, FBI umieszczało kamery i podsłuch. Wyprzedzało go, przewidując każdy jego krok, czy to w dzień, czy w nocy.

– Zalałaś się kiedyś absyntem?

– Nie, to mnie ominęło – odparła Moll.

– Poważnie rozstraja zmysły.

– Kilka lat temu miałam okres picia obrzydliwego wina z korzeniami. Zaczęło się w Zermatt, a potem zbyt długo i w zbyt wielu miejscach sobie na to pozwalałam.

– Ale nie pobije to caribou – stwierdził Selvy.

– Tak, jest pyszne. Ale trudno mówić o nim, jednocześnie wspominając bellini, które aż się rozplęwa, zwłaszcza jeżeli pije się je, leżąc na własnym tarasie w Portofino, z widokiem na zatokę.

– Caribou nic nie przebije.

– To nudne – stwierdziła. – Głupi sposób prowadzenia rozmowy.

– Jesteś w Quebec City. Wyobraź to sobie. Dwadzieścia dwa stopnie Celsjusza poniżej zera. Dookoła biegają ludzie. Jest karnawał. Ktoś podaje ci szklankę czystego alkoholu z winem. Wypijasz to. Po trzech dniach twojego trupa wypływa odśnieżarka.

– To do niczego. Głupie i do niczego.

Na części ściany widniały olbrzymie plamy, jakby od pękniętych rur. W barze śmierdziało. W podłodze były pęknięcia i wyrzuszenia pod różnymi nieoczekiwanymi kątami i różnej wysokości. Część ściany za barem pokrywało nie dokończone malowidło przedstawiające palmy.

– Skąd jesteś? – spytała Moll.

– Skąd pochodzę?

– Skąd pochodzisz, skąd jesteś teraz, w ogóle. A może należysz do ludzi, którzy uważają się za osoby bez korzeni – bez przeszłości, bez rodziny, bez więzów, bez zobowiązań. Jesteś takim człowiekiem, który uważa się za osobę bez korzeni.

– A tobie podoba się taki człowiek.

– Prawda, podoba mi się taki człowiek.

– Bo tacy bywają podłymi draniami – powiedział.

– A ja lubię podłych drani.

– Bywają bardzo, bardzo podli.

– I to mnie pociąga. Zgadza się.

Barman był Latynosem o okropnej cerze. Miał podwójnie podwinięte mankiety. Wydawało się, że ten postawny mężczyzna chodzi na palcach i głowa mu się kiwa. Oświetlenie sali było przyćmione.

– Arak – rzuciła. – Kiedyś załatwiłam się arakiem. Gdzie to było?
– Na Cyprze.
– Zgadza się, na Cyprze. Chociaż nie sądzę, bym była na Cyprze. Więc nie zgadza się. Zdecydowanie się mylisz, Selvy.
– Nie było to na Cyprze i nie był to arak. To było ouzo, na Krecie.
– Tak, przyznaję, że byłam na Krecie.
– I było to ouzo, nie arak. W życiu nie wypijaś ani kropli araku.
– Nie lubię ouzo. Czemu więc miałabym nim się załatwić?
– Bo myślałaś, że to arak – ciągnął. – A to nie był arak. I w ogóle nie była to Kreta. To było na Malcie.
– To było mleko słodowe. Czekoladowe mleko słodowe.
– Zgadza się. W porządku. W końcu coś sensownego.
– Czy zobaczę kolekcję?
– Nie ma mowy – odparł uprzejmym tonem.
– Jest w Georgetown?
– Daj spokój.
– Zobaczysz się ze mną. Wiem, że zobaczysz się ze mną. Czy udzieli mi prawdziwego wywiadu, czy nie, to już całkiem inna sprawa. Ale nic by mnie to nie obchodziło, gdybym wiedziała, że kolekcja znajduje się w jego domu w Georgetown. Rozumiesz, zależy mi tylko na tym, by do niej dotrzeć. Więc jest w Georgetown? Chciałabym wiedzieć, że mam połowę szansy.

Selvy pił polską wódkę. Opróżnił kieliszek i przesunął go na skraj baru. Mężczyzna, który siedział na stopniu niedaleko toalety, nie przestał mówić o FBI. Widział kamery i urządzenia do podsłuchu. Były wszędzie, gdziekolwiek się znalazł. Gdyby poszedł do innego baru za rogiem, też by tam były. Gdyby wszedł do autobusu, również by widział pluskwy podsłuchu, małe kamery pod siedzeniami i wzdłuż metalowych obramowań okien. Ludzie mówili mu, że ma delirium tremens. Ale delirium tremens ma się wtedy, gdy widzi się szczury, ptaki i owady. On zaś widział małe kamery. Malutkie nadajniki. Były wszędzie.

Barman napełnił kieliszek Selvy'ego. Stara kobieta siedząca na drugim końcu baru zaczęła się sprzeczać z jednym z towarzyszących jej mężczyzn. Najwyraźniej był to jej syn. Barman zwrócił się do Moll.

– Proszę łowcę głów zombie – zamówiła. – Znów mi się to przypomina. Ten bar hotelowy gdzieś tam... na holenderskich Wyspach Podwietrznych. Gdzie są holenderskie Wyspy Podwietrzne? Miesza się papaję, nektar z brzoskwiń, odrobinę ciemnego rumu, jeszcze odrobinę

ciemnego rumu, odrobinę jasnego rumu, trochę soku z limony, struganego lodu i chyba odrobinę miodu. Potem ociupinkę gorzkiej.

Pierwsze trzy strzały powaliły barmana i zmiotły wszystkie szklanki i kieliszki. Moll poczuła, że rzuca ją na podłogę. Rozległa się druga seria, trójstopniowy huk, drobne trzaski wszędzie dookoła, przedmioty fruwają, ona widzi, jak ręka Selvy'ego podnosi się z biodra i trzyma broń. Stało się to wcześniej, może dwie sekundy wcześniej, lecz dopiero teraz zostało zarejestrowane, to, że leje się na nią krew, też dopiero teraz zarejestrowała, gdzieś z barowego blatu. Przyłgnęła do kanciastego połączenia baru z podłogą, wbijała się w to całym ciałem, uprzytamniając sobie, że wszędzie dookoła tłucze się szkło i że stara kobieta krzyczy.

Selvy przyjął pozycję głową do przodu, wyciągnął się, żeby nie być zbyt łatwym celem. Zauważył, że wylot lufy rozbłyska. Trzymając broń w ręce, przesunął opuszek palca na spust i nacisnął, do tyłu, nieśpiesznie, wypuścił powietrze z płuc, ale nie całkiem, teraz wstrzymał oddech, bo broń wystrzeliła, po czym odetchnął swobodnie.

Baczenie się przyglądał, czy na chodniku jest jakiś ruch. Jeden uzbrojony, Selvy miał prawie pewność, strzelał krótkimi seriami. Na chwilę stracił orientację, gdzie się znajduje mężczyzna, aż nagle zdał sobie sprawę, że stoi w progu, usiłując się zorientować, co się dzieje w środku. AR-18. Lufa groźnie się podnosi. Ten sukinsyn ma ochraniacze na uszach i okulary strzelnicze. Myśli, że jest na strzelnicy.

W odpowiedzi na serię Selvy wystrzelił dwa razy. Całe pomieszczenie aż się trzęsło od huku, padających kul, fruwającego szkła. Mężczyzna, który siedział na stopniu, teraz czołgał się, jęcząc, z jednym ramieniem bezwładnym, a za nim ciągnęła się strużka krwi. Bandyta już wybiegł za próg, prawdopodobnie postrzelony. Właściwie Selvy był tego niemal pewny.

Wstał na nogi i przestąpił nad czołgającym się. Słyszał, jak odjeżdża samochód. Stara kobieta wymierzyła mu cios, na co on zdzielił ją łokciem tak, że znalazła się na podłodze. Nadal huczało mu w głowie, ale na ulicy panował spokój. Nawet nie sprawdził, czy są ślady krwi. Było to rzeczywiście zagadnienie czysto akademickie, czy postrzelił tamtego. Nie jego sprawa. Szczegół techniczny.

Wsunął z powrotem swój rewolwer kaliber 38 do kabury na szelkach. Moll wyszła przed bar. Miała komiczny wyraz twarzy. Zdawała się bardziej zaskoczona tym, że Selvy ma broń, niż całą resztą – prysznicem strzałów z broni automatycznej, tym, że są zabici i ranni.

– Widziałam go – powiedziała. – Na koniec podniosłam wzrok. Co on miał na sobie? Wyglądał bardzo dziwnie. Stał tam, usiłując przyjrzeć się sali. Miał coś na uszach i na twarzy.

– Ciemne okulary. Okulary do strzelania, od których odbijają się odłamki. I ochraniacze na uszy, od hałasu.

– Kto to był? Tam są zabici. Co, do diabła, się stało?

– Chyba nie potrafi się posługiwać tą bronią. Lufę odrzucało mu w górę. Ta broń ma przed tym zabezpieczenie.

– Ale kto to był, do cholery? Co się stało?

– Prawy łokieć trzymał pod niewłaściwym kątem. Był skierowany całkiem w dół. A kiedy strzela się z tej broni, powinien być w poziomie, równoległe do ziemi.

– Jezu, przestań – jęknęła. – Powiesz mi, co się stało?

Sweter i spódnicę miała poplamione krwią barmana.

Stała, drżąc. Uśmiechnął się do niej krzywo i potrząsnął głową, żałując, że zupełnie nie potrafi wyjaśnić całej sprawy.

Z jakichś drzwi wyszła dwójka dzieciaków i podeszła do Selvy'ego, który stał przed zniszczonym frontonem Tropikalnego Baru Frankiego.

– Widzieliśmy wszystko.

– Ile nam pan da za złożenie zeznań?

– Panie, ubijmy interes.

– To był Patty Hearst z karabinem maszynowym.

– Nie, stary, to był Stevie Wonder. Widziałeś, co miał na uszach? Strzelał w rytm muzyki.

II

Radial Matrix

1

Zaparkowała na samym końcu ślepej ulicy, wychodzącej na Rock Creek. Był ciepły wieczór, nieopodal na boisku goniły się dzieci. Dom był z czerwonej cegły, dość duży, przylegał (jakie to dziwne – pomyślała) do zwykłego drewnianego domu, który zupełnie tu nie pasował. Jakie to dziwne i interesujące. Podeszła pod dom z cegły, zobaczyła, że kołatka u drzwi ma kształt orła i jest z brązu.

Lloyd Percival robił pochlebne uwagi. Pamiętał, co miała na sobie, kiedy widzieli się poprzednim razem w korytarzach jednego ze skrzydeł budynku Senatu. Uznał też, że ma mniej kędzierzawą fryzurę. Siedzieli przy stoliku z drewna wiśniowego, w dużym pokojuumeblowanym głównie stylowymi meblami, o ścianach wyklejonych zieloną tapetą w stylu kolonialnym, w kolorze świerku. Pierwsza godzina była nudna, przynajmniej dla Moll.

– A pani Percival?

– Przeważnie spędza czas w naszym domu. Nie lubi Waszyngtonu. Nigdy go nie lubiła. Obawiam się, że nasze drogi się rozeszły. Sprawa rozwodowa w toku.

– Czym się zajmuje?

– Leży i czyta Raport Warrena. Czyta go już od jakichś ośmiu czy dziewięciu lat. Na pewno od dziewięciu. Całość. Dwadzieścia sześć tomów. Ubrana w lizeskę.

– Ma pan dwie zamężne córki.

I tak to się toczyło. Percival pił drugiego drinka. Siedział z przygarbionymi ramionami, na rozłożystej kanapie, jego głęboki przyjazny głos rozbrzmiewał monotennie. Oczy miał jak paciorki i małą, lekko spłaszczoną na czubku głowę, lecz na Moll jego obecność wpływała przyjemnie, a nawet kojąco. Był typem człowieka, z którym ludzie czują się swobodnie. Duży, włochaty, o spokojnym, zabarwionym ironią sposobie bycia. Skuliła się w fotelu, ukołysana przytulnym nastrojem panującym w pokoju.

– Wciąż nie rozumiem, dlaczego nie sprawdziłem pani. Zawsze sprawdzamy takie osoby.

– To przez moje usmażone włosy. Rozbroiły pana.
– Wiem, o czym tak naprawdę chce pani rozmawiać.
– Rzeczywiście? – spytała.
– Bo nie o mojej rodzinie ani o moich poglądach na sprawy międzynarodowe.

– Naprawdę?
– Proszę mi pozwolić zająć się pani drinkiem.
– Nie, wystarczy mi.
– Chce pani rozmawiać o przesłuchaniach.
– Właściwie to nie, myli się pan.
– Chce pani rozmawiać o BZK/BO.
– Absolutnie jest pan w błędzie, senatorze.
– Nie mam pani tego za złe – powiedział. – Mają swoje mechanizmy. Tajne operacje przepływu informacji. Mają odgałęzienia. To cholernie szokujące. Myśli pani, że po tak długim czasie będę głuchy na to, co zmyślają ci ludzie. Ale tak nie jest.

– Senatorze, prawdę mówiąc, nawet bym nie pomyślała o tym, by prosić pana o wyjawianie mi, co się dzieje na przesłuchaniach za zamkniętymi drzwiami.

– A jak tam pani szefowa?

– To znaczy?

– Mówię o Grace Delaney – ciągnął. – Słyszę niepochlebne opinie. Miała do czynienia z radykalnymi ugrupowaniami, między innymi.

– Kobieta z przeszłością. Czyż właśnie nie dzięki temu jesteśmy atrakcyjne? U mężczyzn fascynujący jest brak odnotowanej przeszłości. U kobiet przeciwnie. Cienie za naszymi plecami wabią.

– A pani przeszłość, na przykład. Ogromnie bym chciał się czegoś dowiedzieć.

– Mieszkałam kiedyś z Garym Pennerem, Bombą na Telefon.

– A tak, przypominam sobie. Znam to nazwisko.

– Powinno być panu znane, senatorze. Jakieś dziesięć lat temu wysadził w powietrze połowę pańskiego cholernego stanu.

Oboje jednocześnie się roześmiali. Powoli się rozprostowując, długa postać Percivala podniosła się z kanapy. Poszurał do szafki z alkoholem i wrócił do stolika z butelką Jacka Daniela.

– Rozumie pani, że niczego, co tu mówię, nie należy nikomu przypisywać. To nie jest ani nikomu przypisane, ani udokumentowane, ani realne. Z góry wszystkiemu zaprzeczam. Od kogokolwiek ma pani te infor-

macje, bez względu na to, od jakiego komitetu, jest to nie tylko niezgodne z prawem, ale też z faktami.

– To, co pan mówi, senatorze, naprawdę bierze się stąd, że zakłada pan, iż taka historia aż się prosi o opublikowanie w „Psie Łańcuchowym”. Nikt inny nawet by do niej się nie dotknął, ponieważ nie ma pan zamiaru w najmniejszym stopniu potwierdzić jej autentyczności.

– Bo powtarzam, że nic takiego się nie wydarzyło. To same kłamstwa. Dla mnie to coś wręcz niepojętego, że takie rzeczy mogą się przedostać do prasy. I tak dalej, i tak dalej.

Powiedział jej, że BZK/BO – Biuro Zarządzania Kadrami, Biuro Ob Rachunkowe – stworzono jako główną jednostkę operacji budżetowych dotyczących całego wywiadu amerykańskiego. Działała jawnie, a została powołana do życia w odpowiedzi na krytykę wzrastających kosztów wywiadu.

Zamaskowane operacje nie leżały w zakresie jej działalności. Zatrudnianie, zwalnianie, płacności, promocja, budżet. To należało do jawnej działalności BZK/BO i dotyczyło sfery prawnej, administracyjnej i urzędniczej. Tysiące ludzi w tyłu agencjach. BZK/BO nie różniło się od działu personalnego w dużej korporacji.

W sferze jawnej.

Poza nią jednakże, jak stwierdziła senacka komisja dochodzeniowa senatora, BZK/BO miało tajne odgałęzienie, rodzaj przykrywki, znanej jako stanowiąca jego własność firma. Była to Radial Matrix, legalnie zarejestrowana firma z siedzibą w okręgu Fairfax, w stanie Wirginia. Radial Matrix – której nazwa jest bez znaczenia – była placówką projektującą systemy. Prowadziła doradztwo i instalowała systemy produkcyjne i ekspedycyjne. Jej klienci wywodzili się z firm amerykańskich oraz firm w innych krajach. W ciągu ostatnich trzech lat świetnie prosperowała dzięki kilku ubocznym operacjom i działaniom. Jedynym jawnym powiązaniem BZK/BO z Radial Matrix był kontrakt zobowiązujący tę drugą do zainstalowania nowego komputerowego systemu płac na potrzeby Biura.

Jedynym jawnym powiązaniem.

Radial Matrix była w istocie scentralizowanym mechanizmem do spraw finansowania tajnych operacji skierowanych przeciwko obcym rządów, przeciwko pewnym elementom w obcych rządach oraz przeciwko partiom politycznym usiłującym zdobyć władzę zagrażającą interesom korporacji Stanów Zjednoczonych za granicą. Do jej obowiązków należało przekazywanie i pranie funduszy przeznaczonych dla nie ewi-

dencjonowanego personelu stacjonującego, miejscowych agentów, na operacje terrorystyczne, rekrutację informatorów, cele polityczne, penetrację zagranicznych sieci komunikacyjnych i urzędów pocztowych.

I tak dalej, i tak dalej.

– Jeżeli przestudiuje się historię reformy – ciągnął Percival – łatwo zauważyć, że zawsze wbudowane jest w nią przeciwdziałanie. Prymitywna zaciętość. Ludzie zawsze gotowi są wymyślać nowe tajemnice, nowe zbiurokratyzowane systemy terroru.

– Proszę się nie zapędzać ze względu na mnie.

– Sprawiedliwość wymaga podkreślenia, że te działania ze strony BZK/BO prowadzone są na całkiem małą skalę, o ile wiem, w porównaniu z ekstrawagancjami CIA, które to przede wszystkim doprowadziły do powstania potrzeby reformy. Oczywiście, prowadzone są przez niektóre z tych samych osób. Zmierzam do tego, że te działania spełniają historyczną kontryfunkcję. Wypełniają te małe ciemne luki. I są nielegalne. Działają sprzecznie z duchem i literą każdego prawa, zasadami każdego wywiadu.

Jednym z cudów w tym wszystkim – kontynuował senator – są ogromne sukcesy, jakie Radial Matrix odnosi ściśle jako przedsiębiorstwo. Ludzie z BZK/BO nawet nie przypuszczali, że ich skromny twór stanie się konkurencyjny w skali światowej.

Moll powiedziała senatorowi, że jej zdaniem nie ma w tym nic zaskakującego, zważywszy na obrót spraw i rewelacje w przeszłości. Percival miał na to odpowiedź.

Jeszcze ostatni z poziomów operacji.

Radial Matrix prowadzi obecnie ktoś nazwiskiem Earl Mudger. Jest to z wielkim pietyzmem wybrany przez BZK/BO były dowódca eskadry samolotów myśliwsko-bombowych (w Korei) i wieloletni pracownik CIA (w biurze Air America w Sajgonie). W latach pięćdziesiątych przez krótki czas pracował jako cywil w firmie specjalizującej się w produkcji systemów przepływowych i urządzeń automatycznych.

Okazał się właściwym człowiekiem na właściwym miejscu – nawet aż za bardzo. Zakochał się w zyskach. Na tym etapie kariery zysk stał się dla niego bardziej interesującą motywacją niż wykazy płac, tajne konta bankowe czy wszelka inna wymyślna robota papierkowa, niezbędna, by utrzymać agentów w terenie oraz opłacać wybranych przywódców politycznych w takim czy innym kraju.

Senator nalał sobie kolejnego drinka i zarzucił nogi na stolik. Pierw-

sze oznaki niewyraźnej wymowy.

– Stało się mianowicie to, że BZK/BO stracił kontrolę nad własną operacją. Radial Matrix stała się oderwaną jednostką amerykańskiego wywiadu. Nie wiadomo, co z nią zrobić. Mudger ma absolutną autonomię. Boją się wykonać przeciw niemu jakikolwiek ruch. Nie do przyjęcia jest publiczne dochodzenie, jak działa mechanizm funduszu. A doszłoby do tego, gdyby Mudgera usunąć. Wtedy wszystko byłoby możliwe. Włącznie z ujawnieniem, dlaczego Radial Matrix ma takie wzięcie.

– Chciałabym to wiedzieć.

– Mudger nie zapomniał, czego uczono go w dziedzinie, w której się specjalizował. Używa tych samych metod w biznesie, jakich używał w działalności szpiegowskiej. W rzeczywistości walce. Dlatego firma odnosi takie niesamowite sukcesy. Ten facet wypracował sobie własny zestaw metod działania i nie pozwoli, by ktoś inny z nich korzystał. Ma wszelkiego rodzaju powiązania, w grupach zorganizowanej przestępczości i tak dalej. I siedzi sobie tam na wsi, zbijając zyski. Ostatni schemat to różnicowanie działalności. Projektowanie systemów najwyraźniej stało się nudne. On chce rozszerzyć wachlarz działań.

Zapadała cisza, oboje się zastanawiali.

– Mudger łączy w sobie – podjął senator – smykałkę biznesmena, całą tę pasję i impulsy z technikami policyjnymi, z superwyszukanymi metodami dochodzeniowymi, inwigilacyjnymi, wymuszeniowymi, terrorem i całą resztą.

– To jest tak, jak Chaplin powiedział w związku z *Panem Verdoux*, że logiczną konsekwencją biznesu jest morderstwo.

Percival wzdrygnął się, odrobinę teatralnie, żeby okazać, jaki ma stosunek do tej sprawy. Pochylił się do przodu, by dolać Moll drinka. Z grzecznym uśmiechem machnęła ręką, że dziękuje. Wyjął kostki lodu z wiaderka z szafce z trunkami i przyniósł w lewej dłoni. Patrzył, jak jedna po drugiej ześlizgują się do szklanki. Na zewnątrz paliły się latarnie uliczne. Już nie było słychać bawiących się dzieci. Patrzyła, jak senator sączy drinka. Skończył jednego, zaczął następnego.

– Lubię wysokie kobiety – powiedział.

– A więc chce różnicować.

– Chciałbym o coś panią spytać.

– Proszę.

– Czy paliła pani kiedyś trawę?

– Czy paliłam trawę? Tak, senatorze, w swoim czasie.

– Chyba rzeczywiście robiła to pani.
– Jako kobieta z przeszłością – zauważyła.
– O to mi chodziło. A teraz ma pani trochę jej przy sobie?
– Niestety nie.
– Szczerze mówiąc, szkoda, że tego nie robiłem. Kilka lat temu myślałem, że skoro moja najmłodsza córka pali – od dwudziestego roku życia – to i my powinniśmy to robić.
– Uważał pan, że przez to się zbliżycie.
– Naprawdę chciałem tego – przyznał.
– Gdzie? W rotundzie na Kapitolu?
Skończył drinka i nalał sobie następnego.
– Podobają mi się wysokie kobiety.
– Chętnie usłyszę coś jeszcze o tym Earlu Mudgerze. Jeżeli pan chce, by ukazało się to drukiem, to proszę mi opowiedzieć wszystko. Mówi pan, że on chce zróżnicować...
– Zastanawiam się nad czymś.
– Tak?
– Jak mogę do pani mówić? – spytał. – Ale szczerze.
– Wystarczy Moll.
– Moll, potrafisz dotrzymać tajemnicy?
– Pewnie, wypróbuj mnie.
– Byłem w kontakcie z pewnym mężczyzną. Mniejsza o szczegóły: jego nazwisko i tak dalej. Poznaliśmy się na przyjęciu. No więc było przyjęcie. Odbyło się po otwarciu galerii w Nowym Jorku. Znasz repertuar. Rozmowy o polityce, seksie, filmach i psim gównie. Wiesz, o co chodzi. A potem było drugie przyjęcie, które rozwinęło się z pierwszego. Małe, malutkie spotkanie ludzi o podobnych upodobaniach. Bardzo małe. Mieliśmy wspólne zainteresowania.
– Jakie?
– To nie należy do tej tajemnicy. Do innej.
– Proszę, mów dalej.
– No więc wracam do tego poznanego faceta. Drugie przyjęcie. Potem dowiedziałem się, że projektuje systemy. Wykonywał zlecenia dla Radial Matrix. Aż furczało. Nie dotyczyły tajnej działalności. Ale o tym dowiedziałem się później. Na tym przyjęciu miał coś do sprzedania. Coś, co bym kupił. Mieliśmy podobne upodobania. Konwersacja toczyła się głównie w jednym kierunku. I nagle wystąpił z ofertą sprzedaży. Porozmawialiśmy i umówiliśmy się na następną rozmowę. Ze względu na

moje stanowisko, to znaczy na stanowisko, jakie mam, odbyło się to dyskretnie, z zachowaniem ogromnych środków ostrożności. Ale dałem mu pewien numer telefonu, pod którym mógł mnie zastać. A to dlatego, że on nie życzył sobie, by z nim się kontaktować. Absolutnie przy tym obstawał. Potem dowiedziałem się też, że pracując dla Radial Matrix, tak że furczało, on i Earl Mudger nawiązali znajomość. Rozumiesz, Mudgera interesował ten sam zakup, co mnie. Zróżnicowanie. Jego plan różnicowania. A potem, jeszcze zanim znów mogliśmy porozmawiać, tego faceta znajdując sztywnego w jakimś przeklętym budynku w Nowym Jorku. Ale to między nami. Daleko się posunąłem. Bo ci ufam.

– Rozumiem.

– Teraz mogę się założyć, że są w toku dwa dochodzenia. I ja je badam. Założę się też, że jedno dotyczy mnie. Z zamysłem szantażu. Celem jest szantaż. Musimy więc skradać się na paluszkach. Wszystko, co zrobimy, musi być bardzo ostrożne.

Patrzyła, jak głowa opada mu na pierś. Po dwóch minutach nagle się przebudził.

– Ciekawi mnie ten dom, senatorze.

– Masz trawę czy nie?

– Uwielbiam oglądać czyjeś domy.

– Chcę palić trawę z wysoką kobietą.

– Proszę mnie oprowadzić po domu, chyba to możliwe?

– Jeżeli cię oprowadzę, dojdziemy do sypialni. Sypialnię muszę ci pokazać podobnie jak inne pokoje. Kiedy pokazuje się komuś dom, wszystkie pokoje są tak samo ważne.

– Senatorze, proszę mi pokazać sypialnię.

– Mów mi Lloyd – rzucił.

Z wysiłkiem stanął na nogi i wyciągnął prawą rękę. Wzięła ją w swoją dłoń i pozwoliła się poprowadzić na górę po schodach. Na ich szczycie upadł. Wstał z jej pomocą i ruszył w stronę sypialni, gdzie znów upadł. Patrzyła, jak czołga się do podwójnego łóżka z baldachimem.

– Gdzie jest gospodyni? Czy senatorowie nie mają gospodyń? Nawet jakiejś starej babci do zapinania kłapy w piżamie?

– Dziś wieczorem ma wychodne.

– To część twojego planu uwodzenia, prawda? Chryste, Lloyd, to straszne. Cały ten wysiłek na nic?

– To wszystko kłamstwa, powtarzam. Nigdy nie prowadziliśmy tej rozmowy.

Pomogła mu położyć się na łóżku i poczekała, aż jego oddech stał się miarowy i Percival przekroczył granice snu. Wtedy zeszła na dół do holu i skręciła w lewo, chcąc znaleźć najbardziej wysuniętą na wschód część domu, tę, która stykała się z sąsiednim domem z drewna.

Na ścianach wisiały tu rzędy antycznych świeczników, ulotek z przełomu wieków i rycin statków parowych. Obejrzała trzy niewielkie pokoje. W ostatnim z nich stały dwa krzesła z oparciami z balasków, kołowrotek i sekretarzyk w stylu królowej Anny. Moll zwróciła uwagę na umiejscowienie kominka. Ściana wschodnia. Ekran ochronny nie stał na swoim miejscu przed paleniskiem, tylko oparto go o jedno z krzesel.

Najczystsze palenisko, jakie w życiu widziała. Podeszła bliżej, pochyliła się, by dokładniej mu się przyjrzeć. Nie był to czynny kominek. Nie miał przewodu kominowego. W górnej partii tylko cegły. Wsunęła głębiej głowę do wnęki. Tylna ścianka była z twardego drewna. Wsunęła rękę w mrok, natrafiła na małą klamkę. Kiedy ją podniosła i nacisnęła, otworzyła się przed nią część ścianki. Tajemne przejście. Przepisnęła się przez nie, nie musząc się jednak czołgać. Natychmiast doznała uczucia klaustrofobii. Dookoła panowała całkowita ciemność.

Przesunęła się naprzód jakieś pięć metrów i znalazła poza tą zaciskającą się na niej przestrzenią. Wyprostowała się i przesunęła dłońmi po ścianach z obu stron. Natrafiła na podświetlony kontakt, nacisnęła go i przekręciła o dziewięćdziesiąt stopni.

Okazało się, że stoi na galeryjce z balustradą z kutego żelaza i widzi przed sobą ogromną salę w stylu śródziemnomorskim. Zeszła zabudowanymi schodami, wzdłuż których ciągnęły się witrażowe panele w abstrakcyjne wzory. Na podłodze był parkiet z trójkątnym wzorem z klepek w pawie ogony pośrodku. W sali rosły duże tropikalne rośliny.

Na ścianach wisiało z pięćdziesiąt pięć obrazów. Wśród roślin poustawiano rzeźby. Były też wyroby garncarskie, biżuteria i porcelana. Kamienna fontanna przedstawiała kobietę klęczącą przed podnieconym wojownikiem. Część jednej ze ścian zajmował oprawiony w hartowane szkło grecki medalion z brązu, przedstawiający kurtyzany. Na ceramicznym trójkątnym postumencie stała brązowa rzeźba z dwoma mężczyznami i kobietą.

Moll przeszła najpierw wzdłuż ścian, oglądając obrazy i rysunki. Większość z nich była bardzo ładna, wszystkie opatrzone nazwiskami. Icart. Hokusai. Picasso. Balthus. Dali. Szkoła Kangra. Botero ze swoimi bezszyimi ogromami. Egon Schiele z niekochanymi naguskami. Hans

Bellmer. Tom Wesselmann. Clara Tice.

Kilkakrotnie przeszła salę tam i z powrotem, z uwagą oglądając rzeźby, garnki, część ręcznie rzeźbionej ławy dla chóru, a na niej postać nagiej kobiety z chimerami. Uprzytomniła sobie, że nigdzie nie widać drzwi ani okien. Senator zapieczętował od środka cały dom, wszystkie otwory zamurowano i otynkowano. Przenośne nawilżacze dla roślin. Wymyślne oświetlenie. Jedyna droga do środka i na zewnątrz prowadziła przez kominek w „prawdziwym” domu.

Futerał z aparatem fotograficznym zostawiła w samochodzie. Zastanawiała się, czy pójść po niego. Może Grace Delaney miała rację. Brakowało powiązań. Nie była to sprawa polityczna, tylko ściśle prywatna, nie związana z planami działań i zawłościami. Miała ochotę uznać, że to senator ma rację. Sprawa sprowadzała się do Radial Matrix.

Z drugiej strony zdumiewające wydało jej się to, że na otaczające ją tu przedmioty reaguje obojętnie. I to pomimo ich wysokiej jakości, pomimo udratyzowanej przestrzeni, tajemniczości całej scenografii, eleganckiego wystroju, samej tematyki. Najsilniej odczuwała naturalne ograniczenia tych przedmiotów. Przypomniało jej się, co mówił Lightborne o starych i nowych formach. Nowoczesna wrażliwość miała inny rodzaj kodu. Ruch. Obraz musi być w ruchu.

Selvy widział ze swojego okna bezbarwne pasmo rzeki Anacostia. Nie golił się od dwóch i pół doby, co zdarzyło się po raz pierwszy od czasu szkolenia, jakie przeszedł w Marathon Mines w południowo-zachodnim Teksasie, bazie treningowej dla jednostek paramilitarnych różnych grup wywiadowczych i dla tajnej policji zaprzyjaźnionych obcych rządów.

Golenie się było symbolem rygoru, surowości podwójnego życia. Golenie się. Utrzymanie starego sprzętu bojowego w odpowiednim stanie. Zajmowanie miejsca przy przejściu w samolotach i pociągach. Seks tylko z mężatkami. Były to w większości jego osobiste pomysły z własnego poradnika przetrwania.

Złamał zasadę dotyczącą seksu i zarost miał blisko trzy dni. Ale nadal prowadził życie według ustalonego porządku. Z jednej strony rutyną było przemieszczanie się między Nowym Jorkiem a Waszyngtonem, ustalone punkty działania, podpunkty, które wchodziły w zakres tej podróży. W szerszym znaczeniu rutyna oznaczała nastawienie umysłowe, wszystkie te mechanicznie wykonywane operacje intelektu, towarzyszące takiej pracy. Wykonywałś połączenie A, lecz dopuszczałaś, by połączenie B

umknęło. Swobodnie kwestionowałeś fazę pierwszą danej operacji, ale znieczulałeś się na następstwa fazy drugiej. Używałeś wyrażień zawierających słowa zamienne.

Rutyna oznaczała sposób, w jaki twój umysł przywykł funkcjonować, których dziedzin unikasz, jaką się stajesz osobą.

Od samego początku wiedział, że Christoph Ludecke był projektantem systemów. Kiedy nastąpił wyłom – powiązania senatora z transwestytą – działalność nieżyjącego znalazła się wśród spraw badanych w pierwszej kolejności.

Wiedział też, że projektowanie systemów było tylko przykrywką używaną przez Radial Matrix do finansowania tajnych operacji. Oczywiście. Radial Matrix – abstrakcja, uosobiona przez Lomaxa, jego jedyne kontakty – była właśnie tą jednostką, dla której pracował.

Powiązanie było nieoczekiwane. Nie pasowało do znajomego świata, takiego, jak go skonstruowano. Był to szczególny element w serii wydarzeń powiązanych – poza nim – w sposób dający się wyjaśnić.

I właśnie tu ważna była rutyna. Trzymał się więc rutyny. To ona pozwalała mu pogrzebać ten dziwaczny fakt odkryty przez wywiad: Ludecke i Radial Matrix – związek interesów, który mógłby tylko doprowadzić go w rejony niedostępne z racji braku przywilejów czy kompetencji. W końcu nie był detektywem. Nie konstruował modeli z teoretycznie zaistniałych wydarzeń związanych z przestępstwem. Ani nie zajmował się polityką.

Ludecke miał powiązania z senatorem. Do zakresu obowiązków Selvy'ego nie należało pośredniczenie między dodatkowymi powiązaniem, nawet gdyby mogły one składać się na podstawy jego własnej egzystencji. Zwłaszcza wówczas. I dlatego trzymał się rutynowego postępowania.

Stał, patrząc przez okno, ale na nic szczególnego, trzymając w prawej ręce magnum kaliber 41, naładowane rozpryskowymi nabojami. Drobiazgowa dbałość Selvy'ego o sprzęt operacyjny stała się prawdziwą pasją. Chodził regularnie na strzelnicę, by doskonalić ustawienie celownika i regulację spustu. Strzelał ślepych nabojami, używał normalnych. Dbął o precyzję trzymania broni, dokładne ułożenie palców. Wykonywał wiele ćwiczeń stabilizacyjnych.

To również należało do rutynowych działań.

Czyścił komory. Podejmował czynności zapobiegające zanieczyszczeniu wylotu lufy oraz korozji. Miał mnóstwo środków do oliwienia, szczoteczek, wyciorów, środków konserwujących, nawilżających, od-

tłuszczających i czyszczących.

Broń i jej części stanowiły o jego wartości. Panował nad bronią, nad swoimi odruchami i sądem. Dbanie o części i znajomość szczególnych cech charakterystycznych danej broni było sposobem na zademonstrowanie, że dba o własną pomyślność.

Części dotykane przez opuszki palców wyglądały jak zwykłe artykuły żelazne. A jednak w ich ułożeniu panował porządek, wyraźna precyzja. Każda z nich pasowała kształtem do co najmniej jednej z innych. Wzajemne związki narastały i rozwijały się. Wszystko łączyło się w całość.

Tam, gdzie rutyna nie pozwalała Selvy'emu na szukanie związków z ludźmi, skłaniała go do badania współdziałań mechanizmów.

Na strzelnicy pracował nad postawą, opanowaniem oddechu, ostrością wzroku. Chodziło o stworzenie jakby drugiego ja. Kogoś bystrzejszego i bardziej opanowanego. Rób to perfekcyjnie, a osiągniesz poziom wymagany w razie pojawienia się niebezpieczeństwa czy stresu. Ustawił się pod kątem czterdziestu pięciu stopni do przypuszczalnej linii ognia. Starł się nie blokować łokcia. I wystrzelił, nastawiając ostrość w lepszym w jego przypadku prawym oku, na przedni celownik.

Broń ręczna to intymny przedmiot. Funkcjonalne akcesorium. Nosisz ją, a ona dopasowuje się do ciebie lub nie, i odwrotnie.

Dodaje ci pewności siebie to, że znasz jej części, wiesz, jak się nazywają, i rozumiesz ich działanie. Dbałość o szczegóły jest formą czujności. To on decydował, kiedy i gdzie użyje broni, co tylko wzmacniało jego więź z tym potężnym narzędziem.

Wieczór. W pokoju panowała ciemność. Nie ruszył się od okna, by zapalić światło.

Seks z niezamężną kobietą. Dwie i pół doby bez golenia się. To pomniejsze uchybienia. Dostrzegał humorystyczne aspekty swoich nawyków. Cały czas realizowane było jednak rutynowe postępowanie. A to liczyło się najbardziej. Dzięki niemu nie musiał się zastanawiać, kto stoi w progu tego nędznego baru i strzela po sali z automatu ani co się za tym kryje, ani kto ma zostać zastrzelony.

W archiwum „Psa Łańcuchowego” przy H Street Moll Robbins przeglądała materiały dotyczące Earla Mudgera.

Z bazy w Japonii prowadził naloty F-84E na wybrane cele wroga w Korei. Były to zarówno loty ćwiczebne, jak i misje bojowe. Był też trenerem drużyny futbolowej 116 Dywizjonu Samolotów Myśliwsko-Bom-

bowych.

Jeszcze w Korei wystąpił z wojska i spędził rok na prowadzeniu specjalnej paramilitarnej działalności Wywiadu Sił Powietrznych, z kontraktem na czas nieograniczony.

Wrócił stamtąd do cywila jako wiceprezes firmy z siedzibą w Oklahoma City, Dział Dystrybucji, Sterowanie Procesem Zarządzania.

Trzy lata później pojawił się jako szef szkolenia w Marathon Mines, nieczynnej kopalni srebra na dzikich terenach na północ od Rio Grande, gdzie specjaliści od walk z partyzantami uczyli technik przetrwania i prowadzili gry wojenne.

W Laosie był związany kontraktem z Air America w okresie prowadzonych przez CIA tajnych operacji.

W Wietnamie prowadził rekrutację do oddziałów CT i dowodził nimi w działaniach przeciwko Wietkongowi. Następnie pomagał w stworzeniu siatki lokalnych komórek przesłuchań w prowincjach, gdzie torturowano podejrzanych o działalność na rzecz Wietkongu. Potem zajmował się rekrutacją najemników do operacji specjalnych w Sajgonie.

W okresie kiedy Mudger, odkomenderowany do Oddziałów Specjalnych, wykonywał niewiadome zadania, stał się w Wietnamie postacią legendarną. Niczym feudalny władca stworzył oddziały skompletowane z lojalnych żołnierzy ARVN (lojalnych wobec niego, nie wobec rządu) oraz ze stręczycieli, czarnorynkowców, pucybutów, uciekinierów wojennych, barmanek, dezertersów, kieszonkowców i innych. Podejrzewano, że jest to operacja narkotykowa, ze świetnie się rozwijającą uboczną gałęzią rozliczaną w czarnorynkowych piastrach. Mudger jako szef rozdzielał ziemię, pieniądze, żywność i inne dobra.

W dżungli pod wioską o nazwie Tha Binh założył też prywatne zoo. Udało mu się zgromadzić w nim tygrysy, wilki, słonie, pawie, węże, lamparty, mały bezogonowy, zebry, mały, hieny i hipopotamy.

Właściwie wszystkie te informacje Moll znalazła w jednym wycinku, którego większą część stanowiło kolorowe tło do serwisu informacyjnego dla Associated Press, szczegółowo omawiające wyczyny Mudgera w czasie, kiedy padł Sajgon. Z automatycznym browningiem w ręku dowodził transportem C-123, mającym za zadanie defoliację. W przeddzień upadku Sajgonu wywiózł większość swoich ludzi i siedemnaście zwierząt.

Lomax zarzucił nogi na siedzenie. Otworzył teczkę i wyjął czerwoną

broszurę.

RAPORT DORISH

Poufny serwis informacyjny

Otworzył broszurę na pierwszej stronie i zaczął czytać.

Szanowny Panie!

Zgodnie z Pańską prośbą i upoważnieniem wszczęto dochodzenie w sprawie Grace B. Delaney, redaktora naczelnego magazynu „Pies Łańcuchowy”, należącego do RD Publications, zamieszkującej przy Wschodniej Sześćdziesiątej Pierwszej Ulicy w Nowym Jorku. Sprawa dotyczy ustalenia pochodzenia wyżej wymienionej, opinii o niej i zakresu odpowiedzialności. Wyniki naszego dochodzenia ujęte zostały poniżej w punktach, aby były bardziej czytelne i łatwiejsze do przeanalizowania.

Poszczególne punkty były zaopatrzone w następujące nagłówki: Stwierdzenie tożsamości, Pochodzenie, Kontakty, Wyróżnienia, Sprawy sporne i Finanse. Lomax najpierw przejrzał punkt „Kontakty”, lecz ostatecznie za najistotniejsze uznał „Finanse”, a zwłaszcza kwestie podatkowe.

Na dole ostatniej strony znajdowało się następujące stwierdzenie pisane kursywą:

Raport ten udostępnia się na Pańską prośbę w tempie ekspresowym, zgodnie z charakterem pracy, do jakiej zostaliśmy zatrudnieni. Jest to szczególny i poufny sposób komunikacji. Informacje zawarte w raporcie nie mogą być udostępniane osobom trzecim ani w formie ustnej, ani żadnej innej.

Zakończono: Raport Dorish, poufne dochodzenia w sprawach szczególnej wagi dotyczących potrzeb lat siedemdziesiątych.

Usiłując przywołać taksówkę na H Street, Moll patrzyła, jak powoli przystaje przed nią czarna limuzyna. Kierowca miał kwadratową szczękę, ciemny garnitur i czapkę. Mężczyzna, który siedział z tyłu i otwierał dla Moll drzwiczki, był w sportowym ubraniu i mokasynach. Miło się uśmiechał.

– Proszę wsiadać, podwiozę panią.

– Dokąd?

Wzruszenie ramion.

– Do senatora, tak? – spytała.

Uśmiech.

– Senator chce mnie przeprosić, tak?

Uśmiech.

– Skorzystam z zaproszenia innym razem – powiedziała. – Proszę mu przekazać, że innym razem.

– Nie zapraszamy innym razem. Nie przekładamy spotkania.

– A jednak proszę mu podziękować.

– Ale to pilne – nalegał mężczyzna.

Wyraz jego twarzy jednak niekoniecznie na to wskazywał. Nadal malował się na niej uśmiech, ale już sztuczny, niemiły. Nie wyrażał jednak napięcia wynikającego z pośpiechu. Pomyślała, że to po prostu zniecierpliwienie. Mimo to niezwykłość zajścia powstrzymywała ją przed odejściem. Czuła się zdezorientowana. Limuzyna, kierowca, współpracownik senatora. Jeżeli Percival chciał z nią rozmawiać, to – zważywszy na odkrycia ubiegłego wieczoru – byłoby głupotą mu odmówić.

Wsiadła do samochodu i natychmiast zaczęła porządkować myśli. Zauważyła, że jadą w stronę K Street. Mężczyzna ubrany na sportowo zapalił papierosa.

– Jest u siebie w domu w Georgetown?

Mężczyzna przygłaskał sobie jeden baczek, a potem drugi.

– Odpoczywa od uciążliwych zajęć na Kapitolu, prawda?

Minęli Washington Circle i wyjechali na autostradę biegnącą wzdłuż kanału. Skręcili na podjazd prowadzący na most, Moll przekreśliła się na siedzeniu, a kiedy wyjrzała przez tylne okno, stwierdziła, że właśnie pozostawili za sobą Georgetown.

Zacząła odczytywać na głos znaki drogowe, właściwie nie bardzo wiedząc dlaczego. Na którymś zakręcie słońce zalało wnętrze samochodu i kiedy Moll odwróciła się do tyłu, zobaczyła, że na siedzeniu jest pełno psiej sierści.

Niebawem minęli Falls Church i wjechali w rejony, gdzie wiejski krajobraz, pola z pasącymi się krowami rasy Angus, przeplatał się z terenami, na których należało zwalniać, bo droga prowadziła wśród moteli, gospodarstw ogrodniczych, supermarketów i salonów sprzedających samochody i ciężarówki. Strumienie i strumyki nazywano tu potokami. Przydrożne sklepy reklamowały sprzęty z czasów wojny secesyjnej.

2

Lightborne miał na głowie kapelusz z niewielkim piórkiem wsuniętym za wstążkę. Był to podarunek od jednego z klientów, którego zdaniem kapelusz świetnie pasował do marynarki w stylu norfolk. Lightborne włożył go ten jeden raz na popołudniową przechadzkę po dzielnicy galerii. Czuł się jak doświadczony sprawozdawca sportowy relacjonujący zawody między wojskiem a marynarką wojenną, odbywające się w pogodny dzień listopadowy. Albo jak mężczyzna, który w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym roku wybrał się na niedzielną przejażdżkę buickiem roadmasterem.

Kiedy wrócił do galerii, zadzwonił telefon. Był to Richie Armbrister, dwudziestodwuletni marszand obscenicznych dzieł sztuki. Dzwonił, korzystając ze specjalnego połączenia, z pokładu swojego przerobionego wewnątrz DC-9, który właśnie wylądował na lotnisku Johna Fitzgeralda Kennedy'ego.

– Wracam z Europy. Wylądowaliśmy po ciemku. Nie znoszę nocnych lądowań.

Piskliwy głos wprawiał system nerwowy Lightborne'a w lekkie drgania.

– Słyszysz tę muzykę? To moja dyskoteka. Ludzie tańczą. Tańczyli przez cały czas lądowania. Posłuchaj, chcę o coś spytać. Nadal jest ciepło? To znaczy na dłuższą metę. Ten interes, o którym mówiłeś. Jak gorąca jest linia?

– Powiedziałbym, że bardzo, Richie, nie obawiając się, że przesadzam.

– Dobrze, więc pogadamy. Lecę tam. Tu tylko przerwa ze względów technicznych. Zdecydowanie chcę zbadać tę sprawę. Im więcej będę gadał z ludźmi, tym więcej się dowiem, ile można z tego wyciągnąć. Nawiązałem nowe kontakty w europejskich stolicach. Film. Mają bzika na punkcie filmów. Wystawcy domagają się więcej towaru. Więc myślę, Lightborne, że w to wejdę. Może nawet będzie to dystrybucja na skalę światową.

Te ostatnie uwagi wygłosił stłumionym i przejętym głosem. Pomyślne

wiadomości. Podniosły Lightborne'a na duchu.

– Rancho Betty Azalea – powiedziała Moll.

Mężczyzna czytał gazetę.

– Urządzenia Basenowe Topside.

Około dwustu metrów za kościołem Baptistów Dobrej Woli w Centerville limuzyna skręciła w nie oznakowaną piaszczystą drogę. Po przejechaniu jakiegoś kilometra minęli parterowy budynek zbudowany w kształcie litery L, z dwoma bardzo długimi skrzydłami i frontem, przed którym nie było żadnego trawnika. Samochód zatrzymał się około trzech kilometrów dalej w zagajniku czerwonych dębów, nieopodal dużego budynku z kamienia. W zagrodzie z cedrowych bali stały dwa kucyki szetlandzkie. Obok domu był staw, a za nim stajnie.

Wysiedli z samochodu. Moll patrzyła, jak na pobliskim polu siada mały helikopter. Wskoczyło z niego dwóch mężczyzn, obaj w opiętych dżinsach, dżinsowych marynarkach, okularach przeciwsłonecznych i kowbojskich kapeluszach. Ruszyli w stronę domu z kamienia, a helikopter zaczął powoli unosić się w górę, kierując się ku gęstemu lasowi w oddali. Mężczyźni pochodzili ze Wschodu, Moll była tego pewna, wyglądali jak chłopcy w tych wąskich spodniach i niewielkich westernowych kapeluszach.

W progu stał Earl Mudger. Wiedziała, że jej towarzysz pozostał w tyle, aby do domu weszła sama. Mudger miał na sobie kowalski fartuch i rękawice do ciężkich robót. Był to krępy mężczyzna z krótko przystrzyżonymi kręconymi włosami, blond brwiami o odcieniu popiołu, miał mocną, lekko wysadzoną do przodu szczękę. Sprawiał wrażenie człowieka, który późno się zestarzeje. Oczy miał jak z cienkiego niebieskiego jedwabiu. Nos z garbem, kark gruby, mocno osadzony. Roztaczał wokół siebie jakiś tajemniczy blask, niczym serfer – oczy, włosy i brwi lekko mu błyszcząły, jakby wybielone przez żywioły.

Ruszyła za nim w stronę wiklinowego stołu z fotelami, ustawionego pod dębem. Zdjął rękawice i fartuch i rzucił na jeden z foteli. Stara kobieta o wschodnich rysach przyniosła lemoniadę i kilka ciasteczek. Moll zorientowała się, że Mudger lubi uchodzić za czarującego. Twardego, ale ujmującego. Przybrała chłodny, dyktorski wyraz twarzy.

– Porozmawiajmy trochę.

– Świetnie – zgodziła się.

– Fakt numer jeden: wszystko, co Percival powiedział pani wczoraj

wieczorem, to przesada do siódmej potęgi.

– A co takiego mi powiedział?

– Mogę to w każdej chwili odtworzyć. Fakt numer dwa: to nie ma już znaczenia, bo nie jestem już związany z BZK/BO ani Radial Matrix, ani Lloydem Percivalem. Żyję jako człowiek wolny. Już bez żadnych zobowiązań. Jestem luzakiem. Czas na emeryturę.

– Życie poświęcone medytacji – zauważyła.

– Fakt numer trzy: zakładając, że wierzy pani w to, co powiedział senator, ma pani mylne pojęcie o wszystkich powiązaniach. Czy zastanawiała się pani kiedyś, jak doborowe biuro Percivala dostaje swoje informacje? Lomax jest człowiekiem Percivala. Lomax to źródło wszelkich informacji, jakimi dysponuje biuro.

– A kto to jest Lomax?

– Mężczyzna w limuzynie.

– Dwa razy wzięłam go błędnie za człowieka Percivala. Raz chyba w Nowym Jorku, teraz tutaj.

– Nie było w tym błędu – zauważył Mudger. – Lojalności tak się przeplatają, że cała sprawa wygląda na grę. Senator i BZK/BO nie są takimi antagonistami, za jakich bierze ich opinia publiczna. Cały czas prowadzą rozmowy. Zawierają układy, kupują ludzi, sprzedają przywileje. Nie wydaje mi się, że Lomax wie, czy w efekcie pracuje dla BZK/BO, czy dla Percivala. Musi pani zrozumieć, że agencje pozwalają na to przez cały czas. Ludzie wiedzą, co się dzieje, i też na to pozwalają. Takie są czasy. Idzie się do łóżka z wrogami.

– Zakładam, że dostarcza pan Lomaxowi fałszywych informacji.

– Coś pani powiem. – Ożywił się. – Czasem jest to taka zabawa, że robiłbym to bezinteresownie.

– Kim jest Glen Selvy?

– Nie mam pojęcia.

– Howard Glen Selvy?

– Zupełnie nic mi to nie mówi.

– Bzdura.

– Podoba mi się pani uśmiech.

– Wcale się nie uśmiecham.

– Myślałem, że to uśmiech. Wziąłem to błędnie za uśmiech. Proszę się napić lemoniady, no proszę.

– To są Wietnamczycy ci ludzie u pana?

– Tak, mamy tu kilku Wietnamczyków.

– Których akurat w porę pan wy dostał.

– Były w moim życiu bardziej podbramkowe chwile. W ich też. W porównaniu z tym, jakie życie miała większość tych ludzi, wydostanie się z Sajgonu było czystą eskapadą.

– Z miasta Ho Chi Minha – zauważyła.

– Taa, z miasta Ho Chi Minha. Figiel z fajerwerkami.

Moll skubnęła ciasteczko i napiła się lemoniady. Nie mogła się otrząsnąć z wrażenia, że przekroczyła niewidzialną granicę innego życia. Panowały tu odmienne zasady. Siedzenie w cieniu. Biała wiklina i lemoniada. Nieruchome kucyki w małej zagrodzie.

– Tamtą drogą z powrotem do Radial Matrix? – spytała.

– Zgadza się.

– Prosperuje pod każdym względem.

– Dzięki systemom. To jedna z dziedzin, w których przodujemy.

– My, to znaczy Amerykanie.

– Nikt inny.

– W Wietnamie zajmował się pan handlem narkotykami czy nie?

– Trochę tym się bawiliśmy. Stanowiliśmy ogniwo. Ale... jak już o tym mowa, wypisałem się z tego. Za dużo oprogramowania, sprzętu i tak dalej. Technika. Cała sprawa bazowała na elektronice. Istnieje prosta korelacja między złożonością sprzętu i brakiem autentycznych więzi. Urządzenia sprawiają, że wszyscy nabierają jakiejś podatności. Ogólnie jest gąbczasto i brakuje przekonania.

– W Wietnamie miał pan swoje własne zoo.

– Sprawdzala mnie pani.

– Odrobinę – odparła.

– To zoo było moją dumą i radością. Doszliśmy do tego, że prowadziliśmy wymianę z połową takich prawdziwych ogrodów na świecie. Przyjmowaliśmy handlarza zwierząt, który przyleciał do nas kawał drogi aż z Michigan, żeby przyjrzeć się naszej działalności. Miałem więcej gibonów, niż potrzebowałem. Traktowałem te gibony tak, jak bukmachery traktują nadwyżkę zakładów. Miałem też rzadki gatunek rysia, euroazjatyckiego, prawie wymarły, jedyną odmianę, i wyhodowaliśmy go z powodzeniem w niewoli. Wie pani co? Taka była moja wojna.

– Ostatecznie zwycięstwo.

– Jeżeli o mnie chodzi, to zwyciężyliśmy. Proszę przejrzeć teksty.

– Jakie ma pan plany po przejściu na emeryturę... przepraszam za sceptycyzm.

– Szczęście rodzinne – odparł. – A w ogóle to moja żona będzie miała dziecko.

– To miło.

– Mam pięćdziesiąt dwa lata.

– Interesujące.

– Żona numer trzy.

– Nieźle.

– Jest żółta – stwierdził Mudger.

Fartuch i rękawice. Helikopter lądujący na polu. Przypomniała sobie, co mówił Percival, zanim cierpka kartoflana whisky spowolniła mu mowę. Jeden zestaw zasad. Mudgera. Nikt inny ich nie przestrzega. Wietnamczycy w kowbojskich kapeluszach.

– Nie żebym nie miał czegoś, czym mógłbym się poratować – powiedział.

– Oprócz szczęścia rodzinnego.

– W suterenie mam warsztat. Czasem tam schodzę i pracuję przez pół nocy. Trochę hebluję, trochę ścieram. Ściskam różności w imadle. Dobrze to robi duszy. Wybijanie dziur w metalu, polerowanie. W każdym razie wzięłem się do majstrowania przy maszynie własnego pomysłu, służącej do testowania twardości i składu stali. Maszyny tej wielkości normalnie mogą testować tylko twardość. A ja mogę określić zawartość węgla, ile jest niklu czy magnezu. Nudne to?

– Tak jakby.

– W maszynie tej jest coś, co nazywa się końcówką diamentową. Opatentowałem ją jako końcówkę Mudgera.

– Już trochę lepiej – zauważyła.

– Buduję wielką pracownię jakieś trzydzieści kilometrów stąd na południe. Jeżeli wszystko się uda, to będę realizował kontrakty dla Radial Matrix.

Patrzyła, jak ironia tego stwierdzenia sprawia, że Mudgerowi odrobinnę rozjaśnia się twarz.

– Tak się nazywają końcowe negocjacje – dodał.

Roześmiał się, nie spuszczać wzroku z jej twarzy.

Oceniła go jako typ człowieka, którego głęboko satysfakcjonuje uznanie ze strony innych. Będzie się przyglądał ludzkim twarzom, pragnąc ocenić reakcje na to, co mówi. Krzepcy mężczyźni zawsze są tacy.

– To prawdziwa praca – powiedział. – Nie wymaga tajnych nadajników, gorących mikrofonów i całej reszty. Jak na przykład... – patrzyła

na cień rozbawienia na jego twarzy – ...mogę dać pani posłuchać rozmowy i innych dźwięków typowych dla nocnych igraszek miłosnych.

– Z czym udziałem?

– Pani i senatora, oczywiście.

– Nigdy to się nie zdarzyło. Przykro mi, że muszę pana rozczarować.

– Niekoniecznie musi to się zdarzyć – rzekł Mudger. – Wystarczy nam pani głos i jego, a to mamy. Reszta to wyłącznie sprawa techniki.

– I sprawiacie, że to się zdarza.

– Owszem.

– W takim razie czy już się to zdarzyło, czy sprawa jest w toku?

– Nie wiem. Lomax będzie wiedział.

– Jako człowiek senatora może nacisnąć niewłaściwy przycisk. Tak zmiksować głosy, że będą nie do poznania. Albo wytrzeć taśmę.

– To trochę bardziej skomplikowane.

– Zmusza mnie pan do myślenia, że zrobiłam coś złego.

Mudger jakby spowaźniał. Rozsiadł się w fotelu, wyciągnął lewą rękę i oparł ją o stół, a prawa zwisała z oparcia fotela.

– Kiedy technika osiąga pewien poziom, ludzie zaczynają się czuć jak przestępcy – powiedział. – Ktoś człowieka chce dopaść, może komputery, sprzęt policyjny. Nie da się uciec przed czujnym okiem. Zebrano albo właśnie się zbiera fakty dotyczące całego twojego życia. Robią to banki, towarzystwa ubezpieczeniowe, organizacje udzielające kredytów, inspekcje podatkowe, biura paszportowe, służby informacyjne, agencje policyjne, służby wywiadowcze. Jest trochę tak, jak już mówiłem. Urządzenia sprawiają, że stajemy się podatni. Jeżeli o n i wydadzą okólnik stwierdzający, że jesteśmy winni, to jesteśmy winni. A sięga to o wiele głębiej, prawda? Samo istnienie techniki, sam fakt jej istnienia, jej nadmiaru sprawia, że czujemy się, jakbyśmy popełniali przestępstwa. Przez sam fakt, że to wszystko istnieje na taką skalę. Urządzenia do przetwarzania danych, skanery, sortery. To wystarczy, byśmy się czuli jak przestępcy. Jaki to ogromny ciężar. Jakie złożone programy. I nie ma nikogo, kto mógłby nam to wszystko wyjaśnić.

Tego samego wieczoru Mudger stał za barem w swoim salonie i mieszał sobie drinka. Postawił szklanekę na czerwonej teczce z Raportem Dorish. Lomax siedział przy oszklonych drzwiach, przeglądając czasopismo. Drzwi te stały otworem, w ogrodzie więc, za patio, widać było małą budyjską świątynię.

– Chciałem o coś spytać.

– O co, Earl?

– Dlaczego ten obiekt miał przy sobie broń?

– Nie wiem.

– Jest tam w biurze Percivala i czyta, prawda? Albo kręci się po jakiejś galerii sztuki. Chciałbym, żebyś mi powiedział, dlaczego miał przy sobie broń.

– Earl, nie powinien jej mieć.

– Jest jakimś kowbojem? Kim jest? Młodym federalnym? Bo wydawało mi się, że swoich ludzi lepiej wyszkoliliśmy.

– To było sprzeczne z procedurą.

Mudger siedział przy barze, zwrócony tyłem do Lomaxa.

– O co chodzi w tej całej sprawie z bronią? Jest jakimś sportowcem? Strzela do pieprzonego niedźwiedzia z broni ręcznej?

– Był na Lower East Side. Może myślał, że jest tam niebezpiecznie.

– I miał rację, jak się okazało.

Obaj się roześmiali.

– Kogo byś na gwałt sprowadził? – spytał Lomax.

– Wezwałem Talerico. Jest teraz w Kanadzie. Kiedyś robiliśmy dla siebie różne rzeczy. Zawsze się udawało. Tal powiedział, że zobaczy, co się da zrobić.

– To wszystko?

– Dorwał jakiegoś faceta z Buffalo. Ze swojego dawnego okręgu. Podobno tamten jest ekspertem od broni. Słynie z nocnych nalotów na zbrojownie Gwardii Narodowej.

– Kto?

– Augie Mysz.

Obaj się roześmiali.

– Więc Augie wparowuje tam z hukiem – powiedział Mudger. – Ma na sobie tę swoją śliczną kilogramową kamizeleczkę Kevlar. Ma żółte okulary i ochraniacze na uszach. Brakuje mu tylko butów na grubej podszwie. I grzmoci, ma tego swojego Ar-18 i siecze ogniem po całym pomieszczeniu, po prostu je rozwała.

– Ale trafiają go.

– Trafiają go, ale on o tym nie wie. Kiedy wraca do domu, zdejmuje zbroję i widzi w niej małą dziurkę. Zaczyna więc obmacywać tors i brzuch. Mówi do kierowcy, że może utkwiała mu w płucu. Zaczyna kaszlać i pluć, żeby sprawdzić, czy nie pokaże się krew. W końcu kierowca

potrząsa kamizelką i wypada na podłogę ten mały ołowiany grzybek. Co jeszcze nie jest najgorsze. Nieznajomość techniki. Najgorsze jest to, że przed pójściem do pracy powinien odizolować ten obiekt. Obiekt ma być sam. W polu widzenia nie może się znaleźć za-den świa-dek.

– I odbywa się masakra w Walentynki.

– Odwał. Powiedziałem Talerico. Gdzie znalazłeś tego odwała?

– Augie Mysz.

Mudger zaśmiał się, uderzając dłonią w bar.

– Coś ci powiem. To była moja wina. Powinienem wystawić innych ludzi.

– Na przykład kogo?

– *Tieu to dac cong.*

– Nie będą się zadawać z twoimi przeciętniakami – stwierdził Lomax.

– Muszę ci powiedzieć, że poczułem się dumny, a może zadowolony, czy jak to powiedzieć, kiedy się dowiedziałem, że wyszedł bez szwanku. A do tego wlepił kulkę Myszy. Czuję się usatysfakcjonowany, Earl, taka jest prawda. Zainwestowałem w to trochę czasu i energii. Naprawdę to najlepsza prowadzona przeze mnie akcja. Nie wydaje mi się, żeby twoi monterzy uznali, że to po prostu kolejny normalny dzień powszedni.

Mudger wzruszył ramionami. Przy jego łokciu zadzwonił telefon. Odebrał go, słuchał przez chwilę, powiedział coś, znów słuchał. Lomax wyszedł na patio. Była ciepła noc. Stał w ogrodzie i patrzył, jak Mudger odkłada słuchawkę i jednocześnie rzuca coś przez ramię. Lomax wrócił do pokoju, z opóźnieniem uprzytomniając sobie, co tamten powiedział.

– Gratulacje, Earl.

– Gdzie masz szklankę? Napijemy się jeszcze po jednym.

– Co słyhać u Tran Le?

– Świetnie. Wspaniale. Nadzwyczajnie.

– Naprawdę nie wypiję już ani kropelki więcej.

– Ośmioletnia – rzucił Mudger przez ramię.

– Co to jest? Ryba?

– Gdzie masz szklankę?

– Ale naprawdę tylko odrobinę, żeby uczcić okazję.

– Gdzie masz tę cholerną szklankę? – spytał Mudger.

Lightborne wysiadł z pociągu i przeszedł przez tunel pod torami. Po drugiej stronie znalazł się na dworcu. Przy stoisku z prasą siedziała na ławce Klara Ludecke. Na jej kolanach – w celach identyfikacyjnych – leżał eg-

zemplarz „Psa Łańcuchowego”. Na ten pomysł wpadł pod wpływem impulsu Lightborne.

Skinął głową, a kobieta ruszyła za nim. Był wczesny wieczór. Szli w stronę podziemnego przejścia, którym on dopiero przyszedł. Lightborne’owi zaczęła klapać podeszwa prawego buta.

– Jestem upoważniony – powiedział – do wręczenia uzgodnionej sumy w gotówce, jak tylko film znajdzie się w moich rękach.

– Będę szczęśliwa, mogąc się go pozbyć.

– Czy to pani mąż podał pani moje nazwisko?

– Mój mąż dał mi trzy rzeczy. Dał mi pana nazwisko. Dał mi adres w Aachen. I dał mi klucz do podziemnego schowka mieszczącego się pod tym adresem.

W przejściu Lightborne zaczął mówić ciszej, żeby uniknąć pogłosu.

– Widziała pani ten film?

– Nie chciał, bym miała z tym coś wspólnego.

– Czy w ogóle coś pani o nim mówił?

– Powiedział tylko, że to Berlin, pod Kancelarią Rzeszy, podczas rosyjskiego ostrzału.

Na peronie po przeciwnej stronie klapiąca podeszwa zaczęła tak denerwować Lightborne’a, że zaproponował, by usiedli na chwilę na jednej z plastikowych ławek.

– Tak więc ten film przez te wszystkie lata znajdował się w podziemnej skrytce w Niemczech.

– W podziemnej skrytce z klimatyzacją – powiedziała. – Żeby się zachował w dobrym stanie.

– Po raz pierwszy usłyszałem o tym jakieś trzydzieści lat temu.

– Kiedy zabito mojego męża, od razu wiedziałam, że stało się to właśnie z tego powodu. Odmówił sprzedaży za ich cenę. Najpierw przystali na pewną cenę i na to, gdzie ma się odbyć przegląd. Christoph zażądał połowy sumy z góry. Odmówili, więc nie chciał już z nimi rozmawiać. Naciskali na niego w przeróżny sposób. Wciąż odmawiał. No i wiemy, co się potem stało.

– Czyja to była cena? – spytał Lightborne. – Kto tak naciskał?

– Nie sądzę, by pan chciał to wiedzieć.

– A pani wie?

Z hukiem przejechał pociąg z Nowego Jorku, wciskając ich lekko w ławkę, marszcząc kartki czasopisma, które kobieta znów trzymała na kolanach.

– Znam nazwę pewnej firmy w Wirginii. Upierałam się, żeby powiadomić policję, że coś tam by się znalazło. Potraktowali mnie, jakbym była dzieckiem. Morderstwo na tle seksualnym. Oczywiście nie mogło być inaczej. Rozmowa ze mną na ten temat była dla nich zbyt krępująca. Mogło to być tylko na tle seksualnym. Tak działa morderca na tle seksualnym. Jeden cios nożem – przypomniałam im. A gdzie okaleczenie, bałagan? Ten morderca był takim pedantem? Nie, skądże – oni na to. Pomylił się i zabił niewłaściwego faceta. Często zdarzają się takie rzeczy.

Nadjechał następny pociąg, zmierzający na południe. Zeszli po schodach obok zadaszania dla taksówek, uciekając przed dudnieniem i hałasem, aż w końcu znaleźli się na parkingu.

– Po pogrzebie Christopha pojechałam do Niemiec. Na wpół z wściekłości. Chciałam mieć ten film, chciałam wejść w jego posiadanie. Myślałam, że jeżeli będę go miała, to tak jakbym odzyskała męża. Jakby to miało dać mi władzę. Jakbym zadrwiła z morderców. Gdybym go miała w swoich rękach, wszystko stałoby się realne. On stracił życie za coś. Oto jest to coś. Ten okrągły pojemnik z taśmami. Teraz to rozumiem, oczywiście – powiedziała. – Od tamtego czasu uspokoiłam się. Teraz tylko myślę o tym, żeby go sprzedać. Chcę, by mi zapłacono za śmierć męża.

– Tak, i o wiele lepiej jest przeprowadzać taką transakcję w atmosferze spokoju.

Zaśmiała się cierpko.

– Teraz zależy mi tylko na tym, by to się skończyło. Założyli u mnie podsłuch, włamali się pod moją nieobecność, dzwoniли o dowolnej porze. Mam dość tej sprawy. Czuję głęboki wstyd i odrazę. Wiem, że zostanę oszukana i nie otrzymam tyle, ile film jest naprawdę wart. Ale mimo to chcę się go jak najszybciej pozbyć.

– Nie ma mowy o oszustwie – odezwał się Lightborne. Mój klient tak nie postępuje. Kiedy dostarczy pani film, otrzyma pani kwotę przelewem. Następnie technicy mojego klienta sprawdzą, co właściwie mamy. Czy to oryginalna taśma? Czy możemy ją skopiować do montażu? Czy możemy naprawić uszkodzenia? Mamy kilkanaście pytań tego rodzaju, większości odpowiedzi na nie zupełnie nie znam. A jeżeli nie ma ścieżki dźwiękowej, to czy możemy ją dorobić? A co z ostateczną kopią?

– Wiem tylko tyle: Berlin, Kancelaria Rzeszy, kiedy Rosjanie ostrzelali miasto.

– A potem oczywiście jeszcze ostateczna kwestia. Sama treść. Właści-

wie co jest na tym filmie? Kiedy już go obejrzymy, możemy omówić dalsze płatności.

– Wiem, że zostanę oszukana. Ale nie szkodzi. Chodzi tylko o to, byście go ode mnie wzięli.

Przeszli przez ulicę i minęli szereg sklepów. Lightborne wszedł do jednego z farbami i poprosił o recepturkę. Złożył ją podwójnie i wsunął na prawy but, by podeszwa przestała kłapać. Następnie wrócili z Klarą Ludecke przez tunel na dworzec i usiedli na ławce przy stoisku z prasą.

– Pojemnik jest jeden – oznajmiła. – Całkiem duży, metalowy. Chyba ze stali. Nie wiem, ile w środku jest rolek. Niech pan się ze mną spotka na Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy, między Szóstą a Siódmą Aleją. Za dwa tygodnie, w południe, po południowej stronie ulicy. Wręczę wtedy panu tę rzecz.

– Ale gdzie dokładnie po południowej stronie?

– Proszę chodzić tam i z powrotem. Znajdę pana.

– Chciałbym o coś poprosić – powiedział. – Jeżeli wie pani coś o tym, jaka historia się za tym kryje, to chętnie posłucham.

– Chętnie posłucha pan o nazistach?

– W tamtym okresie, epoce. O wielkim upadku. Ludziach w płaszczach, słuchających Brucknera. O Hitlerze, który rozdaje fiołki z trucizną.

– To strona teatralna, flagi ze swastykami, reflektory.

– Przyjęcie weselne – ciągnął. – Egzekucja Fegelein w ogrodzie. Pogrzeb suki gończej i jej szczeniąt.

– To strona operowa, buchające płomienie.

– Tak, w oddali rosyjskie działa, w bunkrze osobliwa uroczystość, kiedy mylnie sądzono, że Hitler chce się zabić.

– Na ostatni posiłek było spaghetti – dodała.

Nadjechał pociąg do Nowego Jorku, o siódmej trzynaście. Lightborne uznał, iż na tyle interesują go okoliczności dotyczące filmu, że warto poczekać na następny pociąg, bo może ona jeszcze coś mu powie.

– Ojciec Christopha był oficerem w jednostce czołgów, która brała udział w odpieraniu rosyjskiej ofensywy na linii Odry.

– Może marszałkiem Rokossowskim.

– Lubiałam Heinza Ludeckiego. Nieśmiały, zabawny mężczyzna. W czasie wojny miał kuzyna... nie znam jego nazwiska. Był stenotypistą w Führerbunkrze w Berlinie. Jego głównym zadaniem było zapisywanie rozmów Hitlera z Goebbelsem.

– Tak, lubili wspominać – wtrącił Lightborne.

– W całym zamieszaniu na końcu Heinz dostał się do rosyjskiej niewoli, ale udało mu się uciec na fałszywych papierach. W rezultacie znalazł się w brytyjskim obozie dla uchodźców i wywiezionych na roboty. Tam spotkał swojego kuzyna. Miał belgijskie papiery i paczkę, której bardzo pilnował. Chyba ordynans Hitlera otrzymał rozkaz spalenia wszystkich rzeczy Führera. Z bunkra kuzyn Heinza przeszmygłował tylko tę paczkę. Upierał się, by Heinz ją wziął, twierdząc, że jemu w mniejszym stopniu grozi przesłuchanie i aresztowanie.

– Ale nie spalili jego portretu Fryderyka Wielkiego – odezwał się Lightborne. – Wydał specjalne rozkazy, żeby portret zachować.

– Pan jest prawie samowystarczalny, panie Lightborne.

– Przepraszam, proszę mówić dalej.

– Najlepiej by było, gdyby pan wyprodukował swój własny film.

– Proszę mówić dalej, pani Ludecke.

– Heinzowi udało się wrócić do mniej więcej normalnego życia. Jego kuzyn znikł bez śladu, nikt go nigdy już nie widział, zupełnie jak w bajce. Tego wszystkiego dowiedziałam się, oczywiście, od męża. Czy Heinz widział ten film, czy nie, tego nawet Christoph nigdy się nie dowiedział. Kiedy Heinz zmarł, nie tak dawno temu, Christoph pojechał do Niemiec i zabrał film, czego nie mógł zrobić za życia ojca, bo Heinz nigdy by go nie wypuścił z rąk.

– Ciekaw jestem, dlaczego go nie zniszczył.

– Był oddany Hitlerowi i takim pozostał do końca życia. Gdyby widział ten film i gdyby się okazało, że rzeczywiście pełno w nim brudów, jak niektórzy twierdzą, to jestem przekonana, że by go zniszczył. Wielce prawdopodobne, że nigdy tego filmu nie obejrzał. Nie wiem. Może istnieje jakaś inna odpowiedź. Może film ją podsuwa. A może wcale nie. W każdym razie, kiedy mąż przejął ten film, od nowa zaczął rozpuszczać o nim pogłoski.

– Żeby na rynku zrobiło się gorąco.

– Tak, żeby zapanowała gorączka. Nie najszcześniejsza z taktyk, prawda?

– Smutna sprawa – przyznał Lightborne.

– Zna pan okoliczności?

– Tylko w zarysie.

– Kiedy go zamordowano, był w moim ubraniu.

– Żeby go nie rozpoznano. Ci ludzie naciskali.

– Robił to od czasu do czasu.
– Pociągało go to.
– Szedł w miasto.
– Rozumiem.
– Mówił, że chodzi tylko o ubranie. Nie utrzymywał stosunków z mężczyznami, jak twierdził.

– A mówił prawdę?

– Nie wiem – odparła. – Znali go w tej dzielnicy. Kierowcy ciężarówek w okolicy pakowni. Nazywali go „Czerwona Ciota”, z powodu noszonych przez niego sukienek, zawsze koloru czerwonego, moich sukienek. Wiedziałam o tym. Pozwalałam na to.

Lightborne wyczuł, że oczekuje się od niego współczucia. Ci ludzie o postępowych poglądach. Potrafił się jedynie zdobyć na kiwnięcie głową, co by miało sugerować, że zastanawia się. Pora zmienić temat.

– Jestem zmuszony wyrazić zdziwienie, pani Ludecke. Po co czekać dwa tygodnie z przekazaniem pojemnika? Szczerze mówiąc, miałem nadzieję, że będę go miał w swoich rękach dziś czy jutro.

– Zastanawiam się nad inną ofertą.

Lightborne uśmiechnął się w nerwowym odruchu.

– No to pięknie – powiedział. – To po co całe to gadanie o tym, że tak chętnie pani się tego pozbędzie? Wspaniale.

– Musiałam dać tej drugiej stronie trochę czasu. Ta druga strona prosiła o trochę czasu. Więc ze zwykłej, zwyczajnej uprzejmości.

– Ze zwykłej uprzejmości, wspaniale. Aliteracja zawsze czarująco dla mnie brzmi. Tak reaguje dziecko we mnie.

Wydawała się rozbawiona śmiałością własnej taktyki. Porwana wirem wszystkich tych energii, nagle poczuła, przynajmniej przez chwilę, coś, co było bliskie spokoju, a może był to obiektywizm. Zobaczyła siebie jako osobę bez tragicznych przeżyć.

– Zabawne to było z kuzynem Heinza – powiedziała. – Heinz opowiadał, że w tym brytyjskim obozie ludzie bez przerwy go pytali: „Jaki naprawdę był Hitler?”

3

Selvy siedział na dachu swojego domu i jadł brzoskwinie. Ciepła bryza wiała od zachodu, gdzie słońce wisiało w rozedrganej obręczy, rdzawej i krwawej. Kiedy dwadzieścia metrów dalej zaczęły się otwierać stalowe drzwi, przełożył brzoskwinie do lewej ręki. Pojawił się Lomax, w spodniach z dżersejowego poliestru, białym pasku i białych butach, prowadząc za sobą trójkę wyrostków mieszkających w tym samym domu.

– Jak mam się ich pozbyć?

Poszli za nim aż do występu, na którym siedział Selvy.

– A co pan tu robi? – spytał jeden z chłopaków.

– To nasze, białasie.

Najmniejszy z nich potarł mokasynem o but Lomaxa, lekko go trącając.

– Szli za mną przez cztery piętra – powiedział Lomax.

– Na pewno załatwili już limuzynę, a kierowca dawno się zmył – skomentował Selvy.

– Przyjechałem taksówką.

– Co to, wizyta nieoficjalna?

– Od jak dawna tu mieszkasz? Przez cały czas? Dlaczego nie mieszkasz tam, gdzie wszyscy?

Wyrostki przez cały ten czas krążyły wokół Lomaxa, zaczepiając go i wyśmiewając się z jego stroju. Selvy zauważył, że Lomax się poci, naprawdę zirytowany. Smarkacz trącił jego drugi but. Selvy patrzył, jak Lomax zaciska pięści. Był bardzo spięty. Nie wiedział, jak się zachować.

– Robi się ciemno, białasie.

– Nie mieszkasz tu, człowieku, a robi się ciemno.

– Spadaj stąd, białasie.

Chłopak znów trącił go butem. Inny przesunął dłonią po występie, ścierając brud i kurz. Przesunął się kawałek, wykonał zmyłkowy ruch drugą ręką, po czym wyciągnął ją w stronę Lomaxa, chcąc upaść jego kraciaste spodnie. Na wpół zaatakował, na wpół się wycofał, bodąc głową, jakby mierzył w komiczny efekt. Lomax wyciągnął z kabury pod marynarką automatycznego walthera. Zaczął wrzeszczeć i wymachiwać

im bronią przed nosem. Wyrostki zaczęły się cofać, błyskając w mroku białkami oczu. Najmniejszy z chłopaków żuł gumę. Nie wiedzieli, czy mają go podziwiać, czy się bać. Traktowali jednak Lomaxa serio. Był na tyle rozdrażniony, że mógł zacząć strzelać. Kiedy cofnęli się aż do drzwi, poczuli ulgę. Przybrali bardziej buńczuczne postawy. Przeszli przez drzwi, dumnie stąpając i trzęsąc tyłkami.

Lomax nadal krzyczał i wyzywał ich. Selvy patrzył, jak trzyma broń w lekko drżącej ręce. W końcu uspokoił się, wyjął chusteczkę i kilkakrotnie w nią splunął. Następnie oparł prawą stopę o występ i zaczął wycierać z buta ślady obtarć. Selvy skończył jeść i rzucił pestką brzoskwini w szyb powietrza.

Idąc o ósmej trzydzieści z powrotem do Grand Central, Lightborne rozpatrywał dwie strony sytuacji. Po pierwsze, ktokolwiek był w posiadaniu filmu, musiał być narażony na pewne niebezpieczeństwo. Po drugie, Christoph Ludecke usiłował sprzedać go od razu – połowa należności z góry – nie udostępniając najpierw kupującemu filmu do obejrzenia. Pomijając jego naiwność, świadczyło to o tym, że film nie był takim towarem, jak mówiły plotki. Ludecke chciał dostać swoje i zniknąć. Wskazywało to również na to, że w grę wchodziły ogromne sumy.

Później tego wieczoru zadzwonił telefon. Mężczyzna na drugim końcu się nie przedstawił.

– Zna pan Glena Selvy’ego.

– Tak – odparł Lightborne.

– Działa jako mój przedstawiciel.

– Jest pan kolekcjonerem.

– Zgadza się – odparł mężczyzna. – Glen mówił mi niedawno, że ma pan w ofercie niezwykle towar.

– Doszło jednak do pewnych zobowiązań.

– Ale sprawa nie została jeszcze załatwiona.

– To zależy, jak się ją zinterpretuje – stwierdził Lightborne.

– Rozumiem, że wdowa robi trudności. Rozmawiałem z nią. Problem polega na tym, że nie jestem w stanie zweryfikować wartości towaru. Potrzebuję kogoś, kto zajmie się szczegółami. Oczywiście, jeżeli pan już działa na rzecz innego kolekcjonera, to nie ma o czym mówić.

– Możliwe, że coś mógłbym zrobić – powiedział Lightborne. – Jak mogę się z panem skontaktować?

– Nie może pan.

- To może Selvy to załatwi?
- Nie wiem, gdzie się podziewa. Nie pokazuje się od kilku dni. Nie odpowiada na telefony.
- No więc trudno.
- Ona prosi mnie o kontakt.
- Pozostaje kwestia mojego wynagrodzenia – powiedział Lightborne.
- Lubię pośredniczyć, kontaktować ze sobą ludzi, rozsupływać subtelności. Ale to zaczyna być operacją, która wymaga największej delikatności. Związane z nią ryzyko jest stosunkowo większe niż to, na które normalnie się decyduję.
- Chce więc pan odpowiedniej rekompensaty.

Kiedy tak wymieniali ogólnikowe zdania, Lightborne uprzytomnił sobie, dlaczego głos po drugiej stronie brzmi tak bezosobowo, dlaczego zdania nie są intonowane, brak w nich ozdobników i regionalnej barwy. Mężczyzna usiłował to wszystko zakamuflować. Lightborne'a korciło, żeby stwierdzić, że zawsze się domyślał tożsamości pracodawcy Selvy'ego. Ten świat był mały, świat obscenów, i nawet ci, którzy trawili czas w bardziej zasobnych przybytkach, prędzej czy później stawali się znani całej reszcie, marginalnym wyrobnikom ledwie wiążącym koniec z końcem.

– Historia daje takie ukojenie – powiedział do mężczyzny. – Czy nie dlatego ludzie stają się kolekcjonerami? Być właścicielem namacalnego kawałka przeszłości. Życie przemija, szukamy więc pocieszenia w rzeczach trwałych.

Tak brzmiała przemowa Lightborne'a do nowych kolekcjonerów. Czy mogła mieć odniesienie do takiego przedmiotu jak taśma filmowa, to już była kwestia, która go w tej chwili nie obchodziła.

- Śliczny zachód – stwierdził Lomax.
 - Rzeczywiście.
 - Dlaczego nie mieszkasz tam, gdzie wszyscy?
 - Do sedna.
- Lomax poczęstował go papierosem.
- Mówi się o tobie jako o tym obiekcie.
 - Szykuje się przemontowanie.
 - Oni chcą przemontowania, definitywnie.
 - Tropikalny Bar Frankiego.
 - Dobra – rzucił Lomax. – Ktoś spoza miasta. Jakiś odwał. Załadowa-

łeś mu jedną w kamizelkę, w razie gdybyś nie wiedział.

– To broń do niego strzelała.

– Zgoda, dobra, więc to normalny odwał.

– Lomax, dlaczego uważa się mnie za obiekt?

– Mów mi po imieniu.

– Nie znam go.

– Artur.

– A skąd się wzięła konieczność tego przemontowania? – spytał Selvy.

– Przede wszystkim umówiłeś się z wdową po Ludeckem. Chcecie we dwoje handlować tym filmem z Berlina.

– To żarty.

– W jej domu założono podsłuch. Wyłączyłeś to cholerstwo. W pewnych rejonach uznano to za wysoce obciążające.

– Szczerze mówiąc, nigdy nie przyszło mi do głowy, że to jedno z naszych urządzeń. Nie wiedziałem, że mamy powód ją podsłuchiwać. Jeżeli ją podsłuchujemy, Arturze, to dlaczego ja nic o tym nie wiem? Znajdziesz pluskwę, to należy ją unieszkodliwić.

– Grzebanie w podsłuchu nie zostało dobrze przyjęte. Stosunek do tych urządzeń wszelkiego rodzaju jest prawie nabożny. Powinieneś o tym wiedzieć.

– Co jeszcze? – spytał Selvy.

– Po drugie wzięto pod uwagę twoje stosunki z „Psem Łańcuchowym”.

– Rozwiń.

– Chodzi o tę kobietę, z którą się spotykasz. Co mam rozwinąć?

– Wiesz, to ciekawe, bo pierwsze, co przyszło mi tamtego wieczoru do głowy, to myśl, że ona jest tym obiektem. Jej artykuł o Percivalu. Potem pomyślałem, że to szaleństwo, na Boga. Że to niemożliwe. Że mam jakieś halucynacje. Nie poszliby do przodu aż tak ostro. To absolutne szaleństwo.

– To ty byłeś obiektem – stwierdził Lomax. – Oczywiście, to wbrew założeniu. Z założenia miałeś być sam. I nie miałeś być uzbrojony. Ale byłeś. Dlaczego? Nie ma na to żadnego usprawiedliwienia.

– Posłuchaj, Arturze, przecież dopiero niemal nie zastrzeliłeś trzech wyrostków. Potrzebna ci broń w twojej pracy?

– Chyba chodzi o ten cały interes.

– Aha, o interes.

– A może po prostu bawimy się bronią.

Selvy odczekał, aż Lomax przestanie rechotać.

– Sypiamy ze sobą.

– To ty sypiasz – zauważył Lomax. – Dzięki za szczerość.

– Ale to nie oznacza, że coś mnie łączy z tym czasopismem.

– Mamy inne informacje. Mianowicie, że kierujesz tę Robbins we właściwą stronę. I chyba ostatnie wydarzenia dowodzą, że tak jest. Ale to już za nami. Przyjechałem tu sam, taksówką, żeby cię powiadomić, że oni chcą przemontowania. Kropka.

– A jakie są najnowsze wydarzenia?

– Znalazła kolekcję, ta Robbins.

– Nie z moją pomocą – powiedział Selvy. – W niczym jej nie pomagałem.

– Ten zainstalowany przez ciebie w kominku dodatkowy czujnik. Odczyt wskazuje, że to nie Percival przechodził tamtędy wtedy wieczorem, tylko osoba o wiele lżejsza. To ona tam wtedy była. Mogę ci odtworzyć taśmy.

– Jaki mam motyw?

– Motyw jest oczywisty. Seks, to jasne.

– Seks, to jasne.

– Takie rzeczy się zdarzają – ciągnął Lomax. – Pani chce wyrobić sobie nazwisko. Wystukuje na swojej Olivetti expose na miarę wieku. Kiedy utyka w martwym punkcie, ty zapełniasz lukę. Bzyk, bzyk, stuk, stuk. Kiedy zastanawia się nad taktyką, ty ją podsuwasz.

– Mówiłeś, że masz informacje. A to są spekulacje, knowania.

– Za tym stoi rzetelna informacja. Chcieli się przemontować o wiele, wiele wcześniej, niżby należało. Ale przecież ty byłeś źródłem dla Robbins, prawda? Patrząc więc z perspektywy czasu, było to usprawiedliwione. Technicznie rzecz biorąc, możesz im zarzucić, że działali przedwcześnie. Źle to zostało przeprowadzone. Myśmy to robili. Zdarzyło się potknięcie. Szczerze mnie to martwi.

Selvy był tym zmęczony. Doszło do wydobycia, czy prawie wydobycia na jaw spraw, o których nie chciał wiedzieć. Wątki, powikłania, zagadki, słowa. Naraziło to na szwank rutynę.

– A teraz w końcu o tym, po co tu przyjechałem – powiedział Lomax, biorąc głęboki oddech. – W toku jest nowa operacja. Tym razem, jak to rozumiem, staniesz wobec czegoś innego.

– Wobec czego stanę?

- Wobec grupy zabójców, byłych komandosów ARVN.
- Ilu ich jest? – spytał Selvy.
- Dwóch.
- Jaką mają broń?
- Dokładnie nie wiem.
- To miło się gawędziło – stwierdził Selvy.
- Są częścią czegoś w rodzaju projektu specjalnego. Sami ulubieńcy. Wydobyci na samym końcu z Wietnamu i przywiezieni tutaj.

- Cieszę się więc, że ci mali dranie mają co robić.

Lomax stał z rękami w kieszeniach, odsuwając poły sportowej kurtki. Na kieszonce bawełnianej koszulki miał wyszytego aligatora. Nad rzeką zataczał łuk samolot, który wystartował z Krajowego. Lomax dotknął smoły na spodniach.

- Chcę, żebyś wiedział – odezwał się. – Zamierzam to rozpracować. Cały proces.

- Nie rób tego.

- Mam zamiar się wycofać. Na chwilę stanąć z boku. Spojrzeć z odpowiedniej perspektywy.

- Pewnie, masz swoje psy, szczeniaki.

- Kupić jakąś chatę na wsi.

- Muszą mieć gdzie biegać – zauważył Selvy.

O północy jechał międzystanową autostradą numer 95, na północ od Filadelfii. Na tylnym siedzeniu toyoty miał trochę ubrań i kartony wypakowane swoimi manatkami. Palił i słuchał radia. Stałe ograniczenia i jednolita ciemność. Po chwili zgasił radio i opuścił szybę. Na autostradzie było niemal pusto, lecz do samochodu wtargnął huk, podmuch powietrza tak typowy na głównych drogach, że Selvy'emu trudno było rozróżnić poszczególne dźwięki. To jego własny samochód. To sporadycznie przejeżdżające samochody. To potęga nocy.

Moll Robbins siedziała, wpatrując się w klawisze maszyny do pisania. Na ścianie z lewej palił się neon, sinobiałe, dymiąca lufa. Przy jej łokciu opartym głęboko na stole stała szklanka mrożonej herbaty i pół faworka. Obwisła w maszynie biała kartka była pusta.

Kiedy wstała i wyjrzała przez wizjer, zobaczyła Selvy'ego, który chwilę wcześniej zapukał. Poczwała, że niespecjalnie się cieszy z tej wizyty. Może po prostu pora nie była dobra.

- Która godzina?
 - Nie wiem – odparł.
 - Dziwne, że nie śpię.
 - Podoba mi się twój szlafrok. Ale nie jest w twoim guście, prawda?
 - Rewolwerowiec. Siadaj, coś ci przygotuję. To nie jest szlafrok, to popołudniowa kreacja. Właśnie piję herbatę.
 - Ja piję whisky – powiedział.
 - I co jeszcze? Przysmak rewolwerowca. Odkąd tylko zniknąłeś wraz z zachodzącym słońcem, szuka cię wśród wzgórz i dolin NYPD. Regularnie tu do mnie dzwoni. Rewirowa, zabójstwa, osoby zaginione.
 - Znają moje nazwisko?
 - Skądże.
 - Co im mówisz?
 - Ze zostałeś poderwany. Ja cię poderwałam. Byłeś zbyt słodki, żeby ci się oprzeć.
 - To wiarygodne – stwierdził.
 - Pewnie, jestem porządna. Tyle że z ciebie żaden Clark Gable, a ze mnie żadna Jean Arthur. Rozumiesz coś z tego?
 - Niestety nie.
 - Policja najwyraźniej ma wskazówki.
 - Gliny gównem wiedzą. Daj sobie spokój z glinami.
- Nalała drinka, Selvy wyglądał mizernie i szczupło, trochę groźnie, przypominając Moll ten pierwszy raz, kiedy stanął w jej drzwiach. Postawiła butelkę i usiadła w drugim końcu pokoju, uważnie mu się przyglądając.
- Coś tu się zmieniło.
 - Co? – spytała.
 - Ten neon.
 - Po prostu nie mogłam się oprzeć. Więcej błysków. Przelotność i błysk. Taka jest historia mojego życia. Rozglądając się po tym pokoju, uprzytamniam sobie, że nie mam mebli w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Ubrania upycham w tych segmentowych skrzyniach. Pracuję przy składanym stoliku. Mam regał. Wystarczy, prawda? Jeżeli nie mieszka się w domu, który rzeczywiście jest twoją własnością, to nie ma sensu mieć prawdziwych sprzętów. Jeżeli płyniesz w powietrzu na wysokości dziesięciu, dwudziestu, trzydziestu pięt, to równie dobrze możesz mieszkać wśród zabawek, błyszczących kulek i ozdóbek.
 - Ale to rewolwer. Początkowo tego nie zauważyłem, patrząc z tego

miejsca. Sześciostrzałowy.

– Zobaczyłam go następnego dnia. Nie mogłam się oprzeć. To też historia mojego życia. Nie potrafię się oprzeć.

– Czemu się oprzeć?

– Czemuś, czego dokładnie nie rozumiem.

Wskazał na maszynę do pisania.

– Jeżeli ci przeszkadzam, to powiedz.

– Zupełnie mi nie szło.

– A dokąd chcesz zajść?

Patrząc na niego, pochyliła się głęboko do przodu, opierając ręce na kolanach, jakby zamierzała spaść z otomany – komiczna improwizacja.

– Kim jesteś, Selvy?

Odchylił się na krześle, automatycznie odsuwając się od niej, wycofał się i uśmiechnął jak człowiek głęboko zmęczony, pogardzający sobą. Jakby odgradzał się od cech, jakie zadane pytanie siłą rzeczy mu przypisywało.

– Kim jest Earl Mudger? – spytała.

– Nie wiem.

– Kim jest Lomax?

– Lomax? Nie wiem.

– Oczywiście, mam własne wersje odpowiedzi na wszystkie te pytania.

– Nie mogę z tobą współpracować.

Sięgnęła przez stół po mrożoną herbatę. Był środek nocy. Czuła się bardzo zmęczona, lecz wiedziała, że przy takim zmęczeniu nie zasypia się szybko. Wprost przeciwnie. Byłaby to ciężka praca, długi wysiłek. Lód w szklance stopniał, herbata więc straciła smak.

– Jak to jest? Z tajnością? Tajniackim życiem. Wiem, że ma aspekt seksualny. Ale chcę wiedzieć, czy chodzi o homoseksualizm?

– Zostawiłaś mnie daleko w tyle.

– Czy nie dlatego Anglikom tak dobrze idzie szpiegostwo? A przynajmniej tak się wydaje, co sprowadza się do tego samego. Czy to nie leży w ich charakterze narodowym?

– Nie wiedziałem, że Anglicy mają prawa na cały świat.

– Do czego?

– Do pedalstwa – odparł.

– Nie, ale chcę powiedzieć, że ma to jakiś związek. Tyle. Skłonność znajduje upust. Chodzi mi o to, że szpiegostwo jest jak język, jak sztuka,

ma seksualne źródła i współrzędne. I nie chodzi tu o jakąś freudowską interpretację.

– Jestem otwarty na teorie – powiedział. – Masz jeszcze jakieś?

– Mam powiązania wewnątrz powiązań. To epoka konspiracji.

– Ludzie się zastanawiają.

– To epoka kontaktów, powiązań, sekretnych związków.

– Co byś o tym pomyślała?

– O czym?

– Gdybym ci to powiedział?

– To powiedz.

– „Pies Łańcuchowy” jest mechanizmem propagandowym.

– Na czyją rzecz? Żartujesz.

– Nie wiem, na czyją rzecz.

– To bzdury, Selvy.

– Masz rację. Żartuję.

– Nie podoba mi się ten uśmiech.

– Po prostu żartowałem.

– Zgoda, to szmatławiec. Zgoda, gramy pod publiczność, wykorzystując ludzką wiarę w to, o czym właśnie mówiłam. Spiski o światowym zakresie. Fantastyczne plany zabójstw. Ale nie jesteśmy niczym mechanizmem.

– Nawet się nie uśmiecham. Spójrz.

– To znaczy, zgoda, robimy straszną chałę. Więc lepiej już sobie pożartuj.

– Mam żartować? Lubię żarty.

– Niby czym mechanizmem?

– Nie znasz się na żartach? – spytał. – Nie potrafisz się zorientować, kiedy ktoś żartuje?

– Bo przychodzi mi na myśl nazwa tego naszego cholernego magazynu. Tyle że oczywiście chodziło nam o to, by miała ironiczny wydźwięk. Wzięliśmy ją z modnego wtedy w Hanoi obraźliwego hasła.

– Jakiego obraźliwego hasła?

– Lokaje i psy łańcuchowe imperializmu.

– Wszystko wraca.

– To doskonała nazwa dla radykalnego czasopisma, zważywszy na nastroje w tamtych czasach. Wtedy miała swój wyraz. Pobrzmiwała w niej ironia.

Teraz rzeczywiście zsunęła się z otomany i usiadła na podłodze po tu-

recku.

– Omal nie nazwaliśmy go T.P. Porno. Bo T.P. Porno to była postać z kreskówki. Miała uosabiać rząd. A dokładniej, rząd i wielki biznes. Był to niski, gruby i stary chytrus. Mieliśmy nadzieję, że zajmie miejsce symbolu narodu – Wujka Sama.

– T.P. znaczyło Twarda Pała.

– Niestety, nasz autor kreskówki PD, to znaczy przedawkował. I tak T.P. Porno przedwcześnie skończył. Selvy, a gdzie ty się wtedy podziwiałeś?

– Pościłem.

– No pewnie. Modlitwa i post. Ludzie nosili flagi. Wszyscy coś nosili. Na zderzakach wozili naklejki. AMERYKA – KOCHAJ ALBO RZUĆ. Jeden znajomy, nie ma co do tego żadnych wątpliwości, ten znajomy o dobrych intencjach dał mi nalepkę, która wydała mi się tak diablo inteligentna, że natychmiast przystąpiłam do naklejenia jej na zderzak mojego małego szwedzkiego samochodu. WIETNAM – KOCHAJ ALBO RZUĆ. No i co się dzieje? Kiedy zatrzymuję się na światłach, jacyś dwaj faceci wytaczają się z baru przy Osiemdziesiątej Siódmej Ulicy. I co takiego robią? Spozstrzegają moją nalepkę, zaczynają więc walić w mój samochód, aż robi się kocioł, zbiera się tłum, a ja mam złamaną rękę w nadgarstku i samochód prawie kompletnie przerobiony na miazgę.

– Wojna rozpała namiętności. Zawsze jedno i to samo.

– Pewnie. W parkach i na ulicach ludzie się kochali. Żar nagłego szaleństwa. A co ty wtedy robiłeś, bracie? Czekamy na odpowiedź.

– Przygotowywałem się do wyruszenia na pustynię.

– Akurat. Oliwiłeś swoją cholerną trzydziestkęósemkę.

– To był mój okres na pustyni.

– Skakałeś przez palące się obręcze, walcząc o lepszą Amerykę.

Widziała, jak Selvy zamyka oczy i zasypia. Stało się to w ciągu kilku sekund. Czystego serca – pomyślała. W szafce znalazła odrobinę brandy, usiadła, popijając i patrząc na niego. Zegar na segmencie stanął przed kilkoma dniami na godzinie czwartej zero jeden. Teraz też musiało być około czwartej zero jeden. Dopija brandy i wstała z lekko skrzypiącej podłogi. Selvy'emu głowa przechyliła się w lewo. Przyłożyła rękę do jego twarzy: sen i ciepło. Następnie drugą rękę, biorąc jego twarz w swoje dłonie. W końcu otworzył oczy. Czekala, aż uprzytomni sobie, gdzie jest.

– Co byś zrobił inaczej, kiedy teraz już wiesz to, co wiesz?

– A co teraz wiem? – spytał.

Porwał ich mroczny seks. Oboje na wpół śpiący, na przemian aktywni, i na przemian bierni, leżeli po przekątnej łóżka, oddychając równo i głęboko, niekiedy pomrukując. To musiał być sen – pomyślała później, patrząc na jego nagość o świtaniu – sen w pierwszych promieniach światła, przykucnął sztywno przy oknie, pochylony lekko do przodu, oplatając ramionami kolana, z pochyloną głową, sen w szarej przestrzeni, nieporuszony, całkiem nieruchomy – pomyślała później – jak gdyby od jakiegoś mistrza dzikich ostępów nauczył się zawieszać nawet rytm swojego oddechu.

Kasztanowozłoty samochód alfonsa zaparkował w drugim rzędzie przed studiem spotkań nago, przyciągając tłum gapiów, głównie z powodu malowanej na zamówienie tylnej szyby z obrazkiem błyskawicy.

Sobotni wieczór na Times Square. Wszyscy w kostiumach. Kowboje, rowerzyści, cioty, punki, tajniacy, sekciarze, Cyganie, członkowie Armii Zbawienia, kaznodzieje w ciemnych pelerynach, krisznowcy o ogolonych głowach, w szafranowych szatach i tenisówkach. Wszędzie blichtr i kicz. Szorty, peruki blond, kapelusze z odgiętym rondem, srebrne wysokie buty. Uderza upał końca lata. Nad tłumami przewalają się fale wilgotnego powietrza. Klaksony trąbią, silniki wyją, z głośników w sklepach z płytami zawodzi muzyka. W powietrzu czuje się malarię. Wszyscy są mokrzy od potu, oczy mają szkliste, niewidzące. Księża, odźwierzni, portierzy w kinach, francuscy marynarze, kadeci z West Point, kelnerki w krótkich, szerokich spódniczkach, kapłani w fezach.

Dwaj mężczyźni wyglądali na opanowanych, całkiem niewrażliwych na upał. Selvy po raz pierwszy zauważył ich przed godziną, jakieś półtora kilometra dalej, blisko Koloseum. Teraz stali na rogu, przypatrując się pseudohinduskim tańcom i śpiewom. Obaj byli niscy, obaj w kowbojskich butach, jeden miał ciemne okulary. Śpiewacy ich rozbawili. Stali, śmiejąc się i od czasu do czasu wskazując na któregoś palcem.

Selvy przeszedł przez ulicę. Szedł Broadwayem na północ, a tuż przy nim, niemal krok w krok, podążał wyrostek z walkie-talkie. Magiczny masaż. Maszyna do gry topless. Skandynawska gimnastyka. Chłopak miał kanciaste ruchy, jakieś szesnaście lat i przemądrzały wygląd niegdyś zdolnego dziecka, które się nie rozwinęło. Przy walkie-talkie była antena długości jakichś trzech i pół metra, dostatecznie długa, by szorować po teatralnych markizach, tak że chłopak szedł skrajem chodnika, często usiłując utrzymać równowagę na samym krawężniku. Przy Czterdziestej Piątej Ulicy przyłożył aparat do ust.

– Kod niebieski – powiedział. – Przygotować się do działania we wszystkich sektorach. Ludzie na ulicach, zająć pozycje. Kamera jeden, kod niebieski. Ujęcie. Puśćcie mi tu reflektor. Ujęcie. Ludzie, najazd ka-

mery. Wszyscy na żywo. Filmujemy na żywo. To scena na żywo. Przygotować halę do zdjęć dźwiękowych. Dobra, taksówkarze, posłuchajmy. Uwaga na przewody. Na miejscu pozostaje tylko niezbędny personel. Scena nago, scena nago. Proszę, wszyscy ruszają się. Wychodzę z dzielnicy. Powtarzam. Wychodzę z dzielnicy.

Naładowany chaotycznym szumem mózgowym, zszedł z krawężnika i przekroczył na skos ulicę, ciągnąc teraz za sobą czterech młodszych chłopaków. Na Ósmej Alei Selvy znalazł irlandzki bar. Wychylił dwa jimy beamsy i czekał, aż coś się wydarzy.

Stalowy krążek miał kolor wiśni. Earl Mudger trzymał go szczypcami na kowadle i kuł dwustronnym młotem, nadając mu z grubsza właściwy kształt.

Zdjął rękawice i włożył okulary ochronne. Przytknął stal do pasa szlifierki, dalej nadając kształt i odpowiedni wymiar metalowi, zeszlifowując to, co zbędne.

Odwiesił okulary na hak, przeszedł do drugiego pomieszczenia, w którym były pilarka taśmowa, wiertarka pionowa, tokarka, szlifierka i mały piec do obróbki cieplnej. Przez dwadzieścia minut ogrzewał stalowy krążek, a następnie zanurzył go w stygnącym oleju.

Wróciwszy do mniejszego z dwóch pomieszczeń w suterenie, położył krążek na metalowej podstawie przyrządu do testowania, własnego wynalazku. Składał się z kół, mierników, uchwytów, ciężarków, miał ramię podparcia i precyzyjną diamentową końcówkę. Dokonywał pomiarów stopnia twardości stali. Pierwszy pomiar dał wysoki wynik, jak Mudger przewidywał. Stal była zbyt krucha na tym etapie. Rozgrzewał ją jeszcze przez godzinę. Kiedy wystygła, znów wykonał próbę. Teraz wynik był prawie zadowalający. Stal nie pęknie ani nie połamie się. Krawędź nie będzie się szczyrbić.

Zdjął fartuch i zapalił papierosa. Położył się na wznak na długiej ławie, patrzył, jak dym wędruje pod sufit. Na górze płakało dziecko.

Mężczyzna obok Selvy'ego pił piwo. Na głowie miał turystyczną czapkę głęboko wsuniętą na czoło, niemal na nos. W małej kałuży piwa leżały przed nim kolejne rachunki i wydawana reszta.

- Jesteś z telewizji?
- Nie – odparł Selvy.
- Stary Madison Square Garden kiedyś był dokładnie po drugiej stro-

nie ulicy. Kiedyś przychodzili do nas bez przerwy ludzie z telewizji. Kibice Knicksów, Rangersów. Mówię o tym, bo promuję coś sensacyjnego. Madison Avenue powinna rzucić na to okiem.

Czekał, aż Selvy spyta, co takiego promuje. Selvy patrzył w lustro. Byli w barze. Widział, jak siadają przy stoliku niedaleko męskiej toalety. Jeden z nich miał wąsy, bardzo rzadkie. Drugi, w przeciwsłonecznych okularach, miał podłużną twarz. Obaj byli w lekkich wiatrówkach.

– Prowadzę zawody ze śmiercią. Człowiek przeciw niedźwiedziowi polarnemu. Walka na śmierć i życie. Niedźwiedź polarny jest zajadły. Niedźwiedź polarny w kilka minut potrafi zdziesiątkować stado reniferów. Wystawiam Shunko Hakodę. Zapaśnika sumo. Dowala trzy do pięćdziesięciu. Luzem. Teraz jego agent nie chce się angażować, ale chyba mamy nosa. Tymczasem negocjuję z prezydentem Malawii warunki zorganizowania tam walk. Wyobrażam sobie, że można ustawić wielką klatkę pośrodku stadionu piłki nożnej. Tylko zadajesz sobie pytanie, gdzie w Malawii znaleźć niedźwiedzia polarnego.

Selvy wstał z barowego stołka i wyszedł. Ruszył z powrotem w stronę Times Square, tą samą drogą. Karate nago. Pogańskie łaźnie. Noszący ślady stoczonych walk Cadillac powoli sunął przez Broadway, przez okno wystawała męska stopa. Przejechał dalej, zderzaki miał oblepione błotem, na wszystkich czterech parach drzwi smugi brudu. Selvy patrzył, jak woruje się w tył kasztanowozłotego samochodu alfonsa. Brzęk szkła. Obłoki kurzu. Gapie zachwyceni. Popatrywali na siebie szeroko otwartymi oczami, jakby szukając u innych potwierdzenia, do jakiego stopnia poważne jest to zderzenie.

Po kilku sekundach wyłonił się właściciel alfons, z rzadką brodą, w czapie z norek i skromnym aksamitnym garniturze, odrobinę podobny do chasyda. Posuwał się małymi, pośpieszными, tanecznymi kroczkami, przejęty i zdenerwowany tym zderzeniem na chodniku. Już oglądał cadillaca, który drgał pośród stłuczonego szkła i kawałków rdzawego brudu opadłego z błotników.

Selvy stał przygwożdżony przez gapiów. Wyciągnął rękę i chwycił się markizy, żeby nie porwano go w kierunku niezgodnym z jego wolą. Nad głowami jakichś nastolatek zobaczył na skraju zbiegowiska tamtych dwóch. Rozprawiali o czymś z przejęciem. Nie wiedział, czy go spostrzegli. Nie mógł stwierdzić, co mają pod luźnymi wiatrówkami.

Drzwi cadillaca powoli się otworzyły i ukazały się postaci różnego typu i postury. Samochód był pełen Latynosów (oficjalna nazwa używa-

na przez policję), pewnie jakichś dziesięciu czy jedenastu, w tym było co najmniej troje dzieci. Rum skierował uwagę z powrotem na alfonsa.

Selvy trzymał się markizy, dzięki czemu pozostał na miejscu, gdy tymczasem większość otaczających go ludzi była zmuszona przesunąć się jakieś cztery kroki w stronę jezdni. Na miejscu wypadku wstrzymano ruch. Kiedy gdzieś tłum tracił równowagę, masy gapiów falowały to w jedną, to w drugą stronę. Policyjna syrena wyła jednostajnie, ponieważ samochód utknął w korku.

Selvy odepchnął od siebie ludzi i ruszył w stronę najbliższych otwartych drzwi. Wszedł na wysokie półpiętro. Ściany po obu stronach pomazane były graffiti. Na szczycie odwrócił się i obejrzał za siebie. Ruszył korytarzem. Minął kilka pokoi z małymi kabinami oddzielonymi kotarą. Kręciło się kilka osób. Minął następny pokój, na którego progu stał mężczyzna.

– Zdjęcia rozebranych na żywo – powiedział sennym głosem.

Selvy skręcił w następny korytarz w prawo. Przystanął przy oknie. W dole na ulicy jechał przez tłum konny policjant. Selvy minął kolejne otwarte drzwi. Gadżety, nowinki, środki, kremy, maści, pomoce małżeńskie – tylko hurtowo. Na końcu korytarza były czarne stalowe drzwi, na których jaskrawą czerwienią namalowano dwa słowa: OPOWIEŚCI NAGO.

Selvy spojrzął za siebie. Następnie otworzył drzwi i wszedł do środka. W pokoju stało biurko, był telefon i parę krzeseł. Czarny pucołowaty mężczyzna w okrągłym kapeluszu z podwiniętym rondem siedział za biurkiem i palił cygaro. Przed sobą miał blankiet wyścigów.

– Trzeba będzie chwilę poczekać – oznajmił.

– A kto opowiada?

– Na pewno nie ja.

– Ile za historyjkę?

– Od trzydziestu pięciu dolarów za półgodzinną opowieść, zależy.

– A minimum ile?

– Dam ci oblecieć za minimalną piętnastkę. To znaczy zasadnicza historyjka jest za piętnaście. Zajęcia mogą trochę podrożyć sprawę.

– W porządku – powiedział Selvy.

– Jim, jesteś gliną?

– Po prostu chcę posłuchać opowieści nago.

– Bo jeżeli to jest czystka, to czyściecie sobie gdzie indziej, tu wszystko jest jak trzeba.

- Jak długo mam czekać?
- Weź krzesło, Jim. Opowieść w toku.

Mudger wygładzał ostrze szorstką osełką. Sprawiało mu to tajemniczą przyjemność. Wprost nad głową miał żarówkę, dzięki której mógł ustalić najlepszy kąt ostrzenia, patrząc na cień rzucany przez ostrze na kamień i obserwując, jak stopniowo znika. Wzrok, dźwięk, dotyk. Stopniowo przesuwał ostrze po kamieniu, ze stałym naciskiem.

Kształt narzędzi. Proporcje i ciężar. Zadowolenie, jakie daje cięcie wzdłuż rysowanych ołówkiem kresek, mierzenie czegoś aż do samej krawędzi i uzyskiwanie świetnego wyniku, pozwalanie sobie na drobne odstępstwa i uzyskiwanie świetnego wyniku, mieszanie płynów i oglądanie zlewających się kolorów, prążkowanej struktury powierzchni wyłaniającej się spod pędzla.

Czyszczenie tarcz ścierających. To wszystko dawało mu radość. Lubił dotykać szorstkich powierzchni. Lubił dźwięki wydawane przy usuwaniu resztek po wykończeniu. Przecieranie papierem ściernym, ostrzenie, polerowanie. Lubił nazwy przyrządów i nazwy czynności.

Była północ. Poszedł do łazienki. Stojąc nad sedesem, próbował pluć w strumień moczu. Za trzecim razem trafił i patrzył, jak kropka śliny, podskakując, wpada do muszli.

Zabrał się do roboty przy rękojeści. Miała być z klonu. Nazwy rzeczy. Subtelnie oddziałujące zapachy. Kleje i żywice. Nazwy. Olej do osełkowania. Szablon. Mosiężny lut. Nazwy rzeczy w obu tych pomieszczeniach składały się na niemal tajemną wiedzę. Kiedy po prostu wypowiadał te nazwy na głos, ucząc ich Tran Le czy jej babkę albo obu mężczyzn – Vana i Cao – odczuwał nieokreśloną satysfakcję, jakby wręcz dumę wolnomularza. Karborund, tarcza szmerglowa, czop i otwór czopowy. Uważał, że nie sposób właściwie używać narzędzi, jeżeli nie zna się ich właściwych nazw.

Czyszczenie tarcz ściernych. Ręczne zszywanie skórzanego futerału. Własnoręczna obróbka cieplna.

Ostrość: golenie na sucho pięciu centymetrów kwadratowych własnego przedramienia świeżo naostrzonym ostrzem.

Wiedział, że dokonując własnoręcznie obróbki cieplnej stalowego krążka, rezygnuje z pewnej precyzji gwarantowanej przez profesjonalną firmę. Lecz wolał tak to robić. Zbliżał się do końca całego procesu.

Dopasował do stali mosiężne zabezpieczenia. Następnie wziął dwie

deseczki z klonu i wygładził na styku. Przetarł papierem ściernym, posmarował żywicą epoksydową i zanitował. Powinno się trzymać przez całą wieczność.

Kiedy całość wyschła, wyrównał zagłębienia na palce i wygładził rękojeść szlifierką.

Wypolerował drewno i mosiądz do połysku. Potem na przemian polerował i ostrzył ostrze, ostatecznie używając różnych tarcz polerskich dla uzyskania pożądanego wykończenia.

Ostrość: widok krwi wypływającej z nacięcia własnego kciuka.

Wszedł tylnymi schodami do kuchni, otworzył puszkę piwa i zabrał ją pół piętra wyżej do sypialni. Przeszedł cichutko koło kołyski i popatrzył na zwiniętą w łóżku Tran Le. W świetle stojącej niedaleko nocnej lampki jej twarz miała kolor szaroperłowy. Była najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widział. Kiedy zobaczył ją po raz pierwszy, była czternastoletnią sajgońską barmanką, która oparłszy się o zaparkowanego jeepa, jadła migdałowy przysmak. Zdjął koszulę. Kiedy usiadł na skraju łóżka, odwróciła się do niego.

– Śpij – powiedział.

– Earl, gdzie jest Van?

– Wyjechał z miasta z Cao.

– W interesach.

– Wracają może jutro, może pojutrze. A ty śpij.

– Śpij – powtórzyła.

– Van może przywiezie prezent dla swojej siostry. A to dlatego, że Van wie, jaka ona jest dobra żonka. Earl mówić Vanowi. Ona to najśłodszą żonka na całym wielkim świecie.

Używanie przez Mudgera podstawowych form przeradzało się wręcz w typowo „murzyński” żargon, z czego nawet nie zdawał sobie sprawy. Tyłu rekrutów przeszkolił i ukarał. Im mniej masz władzy, tym bardziej chcesz ją utrzymać w kwestiach drugorzędnej wagi. W sposobie mówienia, w szybkości chodu, w fakturze włosów. Siedząc na łóżku, wypił całe piwo. Potrzebował tylko kilku godzin snu. Potem będzie oglądał wschód słońca.

Kobieta była młoda, miała zdrową czerwonawą twarz, owalnego kształtu, i duże brązowe oczy. Przedzielone przedziałkiem pośrodku włosy równo opadały z obu boków. Miała na sobie zwykłą sukienkę koszulową i sandały.

Selvy patrzył, jak wchodzi do biura. Pokój był średniej wielkości, stało w nim kilka winylowych krzeseł, stół do kawy i lampa zrobiona z kaszki do gry w futbol. W rogu stało łóżko na rolkach, złożone teraz na pół.

– Stony, to wszystko?

– To, co widzisz.

– Mówili, że minimum dwóch.

– Czeka mężczyzna.

– Szczerze, to jestem wykończona.

– Nadine, opowiedz mu historyjkę. Należy mu się.

– Jestem tu nowa, więc nie będę się stawiać. Ale normalnie byłaby o to poruta. Najmniej dwóch, Stony, przecież wiesz.

– Zrób mu szybki numer, skarbie, i wszyscy pójdziemy do domu.

Siedziała naprzeciw Selvy’ego. Kolana jej delikatnie połyskiwały. Lubił błyszczące kolana. Podobał mu się też jej głos, łagodnie przeciągała sylaby. Jeszcze przez kilka sekund szykowała się do wstępnych poczyznań.

– Jest tak: możesz wybrać jedną historyjkę z następujących trzech. Za więcej płaci się dodatkowo. Każda historyjka trwa dziesięć minut, to zależy. Dłużej to razem z zajęciami. Dobra. „Ogniste majtki”, „Dolina wesołego zielonego olbrzyma Ho Ho Ho” i „Opowieść o Naomi i Lateefie”. Ta druga jest głównie dla gejów, żeby nie było nieporozumień.

– Czy nie powinien mi jej opowiedzieć mężczyzna?

– Może i tak.

– Jesteś tu nowa.

– To mój drugi cały tydzień i już chcę stąd nawiewać. Odejdź, póki jeszcze cię kochają. Ile dałeś Stony’emu?

– Podstawowe piętnaście.

– Tak tylko sprawdzam. Bo z ryzykantami tak trzeba. Dobra, wybierz, którą chcesz.

– Spróbuję „Naomi i Lateefa”.

– Jesteś dopiero drugą osobą, która to wybrała. Prawie wszyscy wybierają „Ogniste majtki”. A to w ogóle obrzydliwe. Komu się rodzą w głowie takie kawałki?

– To nie ty wymyślasz te historyjki?

– Nie ja wymyślam, ja tylko opowiadam.

– Myślałam, że sama wymyślasz.

– Jakbym sama wymyśliła „Ogniste majtki”, to chyba przebiłabym się mieczem. Jest najobrzydliwsza.

Selvy słyszał, że mężczyzna w biurze z kimś rozmawia. Wyglądało na to, że jest poruszony, chociaż przez zamknięte drzwi nie słychać było wyraźnie słów.

– Jeżeli opowieść cię podnieci, to możesz mi dać dodatkowe dziesięć, jeśli chcesz. Albo dodatkowe dwadzieścia. To zależy. Pozostawiamy to do decyzji klienta. Coś nie tak?

– Nie, nic – odparł.

– To tylko Stony zatruwa życie dzieciakowi, który przynosi mu kanapkę.

Selvy skinął głową.

– „Opowieść o Naomi i Lateefie” – zaczęła, po czym wstała, rozpięła sobie zamek z tyłu sukienki, zsunęła ją na podłogę i ponownie usiadła. Popatrzyła na niego z niecierpliwością.

– O co chodzi? – spytał.

– Jeżeli jesteś wciąż ubrany, to znaczy, że jesteś gliną.

– Rozumiem. Nie wiedziałem.

– Opowieści nago, tak jest napisane na drzwiach.

– To znaczy, że dotyczy to wszystkich.

– Już zaczynasz kapować – powiedziała.

– Staram się nie spotkać z pewnymi ludźmi. Mniej więcej o to chodzi.

– Wszyscy się rozbieramy. Jeżeli się nie rozbierasz, to jesteś gliną. Tak mi powiedzieli. Mam też mówić, że polecamy zajęcia za dwadzieścia dolarów, do których potrzebne jest to łóżko. To dzieje się w momencie, do którego już doszliśmy.

– Mam lepszy pomysł.

– Oczywiście, jeżeli się wstydzisz. Mamy tu wiele różnych możliwości. Może coś uzgodnimy. Moim zdaniem nikt nie powinien być zmuszany do rozebrania się przed kimś nieznanym. Tylko że wszyscy traktują na luzie swoje ciało.

– Staram się nie spotkać z pewnymi ludźmi. A może wyszlibyśmy razem coś zjeść? No chodź, włóż sukienkę i wychodzimy. Jest tu tylne wyjście?

– HUU, ale gość.

– Zapłacę dwadzieścia dolarów za zajęcia. Tylko nie tutaj, dobrze? Przetracimy coś, chodź.

– Chodź, idź, jedz, śpij, ubieraj się, rozbieraj.

– Nadine. Bo tak masz na imię?

– Tak.

- Ile masz lat?
- Nieważne.
- Nie dożyjesz dwudziestki, jeżeli zostaniesz tu na dłużej. Jestem twoją ostatnią szansą.
- A przynajmniej się uśmiechasz. Uśmiechaj się.
- Chodź, pojedziemy do Little Rock.
- Co też ty mówisz?
- Ubierz się.
- Moja siostra mieszka w Little Rock – powiedziała. Już ubrana, poprowadziła go przez ciąg magazynów.

W końcu weszli do większego pomieszczenia zajętego przez kobietę w czarnych długich butach, długiej czarnej koszuli wojskowej, z żelaznym krzyżem na szyi. Na rękawie koszuli miała czerwoną opaskę z czarną swastyką na okrągłym białym polu. Kobieta siedziała i paliła papierosa, opierając nogi na najwyższym szczeblu drabinki.

- Tylko przechodzimy.
- Jesteś tą nową.
- Jestem Nadine Rademacher. Cześć. Jak leci?
- Bryndza – odparła kobieta.
- To miłej przerwy.
- Kto to jest Johnny Lonesome?
- Taki tu jeden – odparła Nadine. – Nie mogę się pozbyć tego dzieciaka.

W korytarzu minęli tego samego mężczyznę, którego Selvy widział przedtem, ale tym razem stał w progu innego pomieszczenia.

- Zdjęcia rozebranych na żywo.
- Angelo, a może byś tak poszedł sobie? – spytała Nadine.
- Ale z Hiltona jedzie cały autobus Japończyków.

Na szczycie schodów Selvy poprosił Nadine, żeby chwilę poczekała. Przeszedł tę samą drogę, którą przemierzył, wchodząc. Skręcając na rogu do pustego holu, wziął do ręki swoją trzydziestkęósemkę i trzymał przy udzie. Minął okno, znalazł się w pomieszczeniu pełnym akcesoriów. Otworzył czarne żelazne drzwi. Nikogo nie było. Na biurku blankiet wysłigów Stony’ego. Poszedł dalej do studia. Puste. Wsunął broń do kabury i ruszył szukać Nadine.

Na ulicy był jeszcze większy tłum niż przedtem. Najwyraźniej doszło do jakichś wydarzeń. Samochody policyjne, ambulans, ekipa telewizyjna. Ludzie wdzięczyli się do kamery. Selvy przyjrzał się tłumowi, a na-

stępnie przeprowadził Nadine przed budynkiem i najbliższą przecznicą do pierwszej restauracji. Była w ciemnej piwnicy, specjalizowała się w stekach, kelnerzy nosili kamasze. Zajęte były jeszcze tylko dwa stoliki. Przy jednym cudzołożny romans. Przy drugim sędzia Crater.

– Mój nauczyciel sztuki dramatycznej nie radził mi jechać do Los Angeles – powiedziała Nadine. – Powtarzał, że tylko Nowy Jork. Nowojorscy aktorzy. Aktorzy charakterystyczni. Ludzie z twarzami.

– A więc przykładał wielką wagę do twarzy?

– Wciąż mówił o twarzach. Ludzie z twarzami. Powiedział, że niczego się nie nauczę tam, gdzie są tylko zwykłe twarze.

Nadpłynął kelner.

– Proszę zamawiać, bo kuchnia zaraz kończy.

Obok stary mężczyzna z długimi włosami w strąkach sączył do posiłku sok rozcieńczony wodą.

– A więc jesteś aktorką – skonstatował Selvy.

– Chcę być aktorką.

– Mówię o tym, gdzie pracujesz.

– Były tam magazyny. O to ci chodzi? Dlaczego to jest tak urządzone, że wszędzie tak trudno dotrzeć? Trzymali tam różne rzeczy. Książki, gumę i skórę, sprzęt filmowy, montażowy, wszystko. Kiedyś ktoś z organizacji postanowił to otworzyć i urządzić handel uliczny, mimo że pierwsze i drugie piętro nie są widoczne. Stony powiedział, że chodzi o księgowych. O podatki. Ale ty nie jesteś gliną. Już to ustaliliśmy. Mam rację?

– Masz.

– Talerico – powiedziała, patrząc na niego znacząco.

– Brzmi znajomo.

– Jest ich dwóch. Paul to ten, który jest tutaj. Z jednej z nowojorskich mafii, jak pewno wiesz. Pornografia, transport, maszyny do gry. Nie podobają ci się? To strona legalna. Ta druga to Vincent. Jest na północy stanu czy gdzieś tam. Chyba są kuzynami.

– Znam te imiona – rzekł Selvy.

– Vincent zajmuje się zakupami, jak mówi Stony. Zakupy. Specjalizuje się w premierach filmowych. Kiedy nie mogą załatwić licencji, wysyłają tam Vincenta. On załatwia sprawę. Po prostu sobie bierze. Wtedy robi własne kopie. I dystrybuują.

Zsunęła się na krzesło, konspiracyjnie, tak że jej twarz ledwie wystawała ponad stolikiem.

– Mówią na niego Vinny Oko. Co ty na to? To tak idiotyczne, że aż mi się podoba. Widziałam tylko Paula. Przyszedł któregoś dnia. Wszyscy chodzili i mówili: „Paul przyszedł, Paul jest w budynku”. Ale ja nim się rozczarowałam. Nie zrobił na mnie wrażenia. Dla takiej prowincjonalnej dziewczyny jak ja to naprawdę było rozczarowanie. Vincent to chyba hollywoodzki lalusz. Strojniś. Taki w typie gangstera. To naprawdę idiotyczne. Szkoda, że się nie pojawił i nie mogłam go zobaczyć.

Kiedy podano posiłek, nie marnowała czasu, była najwyraźniej głodna. Gdy patrzył, jak je, odprężył się. Uprzytomnił sobie, że od lat nie był głodny. Czuł się słaby i nie w sosie, bo za mało zjadł. Ale tak naprawdę to jadł tylko po to, by mieć lepsze samopoczucie. Usiłował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio naprawdę zapragnął coś zjeść.

– Poważnie jedziesz do Little Rock? – spytała.

– Gdzieś tam w tę okolicę. Tak, pewnie, że tak – odparł.

– Odkąd tam pracuję, nie opuszcza mnie myśl, że cały świat pachnie lizolem.

– Jesteś mi winna opowiadanie.

– O Naomi i Lateefie.

– A może bym wybrał inne – powiedział.

– Na pewno nie będę opowiadać „Ognistych majtek”. To taka obrzydliwa historia, że po kawałku ją zmieniam. Codziennie odrobinę. Nie obchodzi mnie, że ktoś ma zastrzeżenia. To historyjka, która polega na zależnościach. Na początek kazirodztwo. Zaczyna się od kazirodztwa. Potem pod koniec brzmiały tylko słowa. Ale niektórych w ogóle nie wypowiadam. Zbudowana jest na wyrażeniach. Robi się z tego surowe mięso.

– A twoi klienci?

– Śmieją się, przeważnie. Niektórzy są zakłopotani. Zdziwiłbyś się.

– Siedząc tam i pękając ze śmiechu?

– Ogłupiałe nagusy, powiedziałam Stony’emu.

– A więc niektórych słów po prostu nie wypowiadasz?

Skończyła ostatni kęs pieczonego kartofla.

– Ale kogo starasz się nie spotkać?

Selvy spojrzał na starego mężczyznę, który siedział sztywno, wpatrując się w dal.

– *Tieu to dac cong.*

Uśmiechnął się do niej ze znużeniem i gestem poprosił o rachunek.

Na dworze policyjna brygada holownicza szykowała się do ciągnięcia rozbitego cadillaca. Turystów interesował samochód alfonsa. Mężczy-

zna, dwie kobiety i dwoje dzieci pozwali do zdjęcia na tle samochodu. Kiedy odeszli, przed przednimi drzwiami i błotnikiem ustawiły się dwie następne kobiety i troje dzieci. Uczestnik jakiejś konferencji, z ogromnym identyfikatorem w klapie, przykucnął w rynsztoku i zaczął podłączać flesz do aparatu Instamatic.

Earl Mudger stał na patio, zwrócony ku wschodowi, z gołym torsiem mimo chłodu i kubkiem kawy w ręce. Lubił pierwszy wstawać i schodzić po ciemku na dół, by nastawić kawę. Chodząc po domu, poruszał barkami i od czasu do czasu wymachiwał ramionami, żeby ustąpiło uczucie sztywności. Odkąd sięgał pamięcią, gdziekolwiek się znajdował – w domu czy w koszarach – w jakimkolwiek towarzystwie – rodziny czy wojskowych – zawsze wstawał pierwszy.

Blade światło ustępowało coraz ostrzejszemu, przez drzewa przeziarały promienie wschodzącego słońca. Wrócił do kuchni. Na blacie leżała broszurka z brązowego papieru i szpula taśmy magnetycznej. Dolał sobie kawy do kubka, usiadł na stołku i otworzywszy broszurkę, zaczął przeglądać pierwszą stronę. Miała nagłówek: *Departament Skarbu, Dyrekcja Okręgowa, Urząd Skarbowy*. Poniżej była biała nalepka z długą listą liczb w górnej części, a pod nią widniało imię i nazwisko Grace Delaney oraz jej adres domowy. Mudger zaczął przerzucać strony, przeglądając rewizje ksiąg, fotokopie dokumentów, czeków i wyciągów bankowych, opinie agentów, sprawozdania z „niepomyślnych akcji”. Zamknął broszurkę i przejrzał szpulę taśmy. Zawierała poufne informacje o kontaktach około pięciuset podatników. Zdobył je Lomax, z tego samego źródła – od naczelnika Urzędu Skarbowego, mającego dostęp do zastrzeżonych akt. Wśród danych znajdowała się uzupełniająca informacja dotycząca konta Grace Delaney.

Skończył pić kawę i zszedł na dół. Ponownie sprawdził dopasowanie i starał się jeszcze dopracować rękojeść. Następnie włożył okulary powiększające i zaczął oglądać ostrze.

Nóż był zmodyfikowanym nożem myśliwskim, o szerokim ostrzu z jedną krawędzią i ściętym szpicem. Całość miała około trzydziestu centymetrów długości. Ostrze dziewiętnaście.

Nad stołem warsztatowym przymocowana była na ścianie okazowa tablica zamykana dwoma skrzydłami na zawiasach, przypominająca tryptyk. Na niej Mudger demonstrował swoje noże – te wykonane przez siebie i te robione przez specjalistów na zamówienie.

Odbyli stosunek na przednim siedzeniu samochodu Selvy'ego, zaparkowanego na pustkowiu, w dolinie przy autostradzie West Side. Wiedzieli, że dojdzie do tego, już kiedy szli ciemnymi ulicami do samochodu. Akt pomógł im rozładować wprawiające w niepokój energie. Sobotniej nocy na Times Square.

– Mój hotel stoi przy samej restauracji. Dlaczego robimy to tutaj?

– Dziś wieczór jestem trochę szalony.

– Poszukaj ręką popielniczki i wsuń ją.

Stare pety. Wnętrze samochodu wypełniały zapachy różnych gatunków plastiku. W końcu usiedli w pozycji wyprostowanej. Ona siedziała na miejscu kierowcy, oparta plecami o drzwi, z nogami na siedzeniu. Selvy patrzył przed siebie. Zapadła cisza.

– Naomi to ta hoża Izraelka – odezwała się – którą pewnego dnia widzimy, jak kąpie się w strumieniu płynącym przez jej kibuc. Ma ogromne białe piersi i tak dalej, i tak dalej, brodawki i tak dalej, i tak dalej. Nagle nadchodzi Lateef, który jest dezertorem z arabskiego wojska. Skrząc całą opowieść, spotykają się i zakochują w sobie, i bez przerwy się pieprzą i pieprzą, wszędzie, gdzie tylko nikt ich nie zobaczy. Miłość zakazana, przez duże Z. Rozumiesz, że pomijam szczegóły. Opowieść rozwodzi się na temat arabskiego nosa Lateefa, które to szczegóły też pozwolisz, że pominę. W każdym razie któregoś dnia widzimy ich na pikniku na wzgórzach Golan. To tragiczni kochankowie, czule zakochani.

– Poczekaj chwilkę.

Patrzył w lusterko wsteczne. Nadine odwróciła głowę, chcąc się wychylić przez otwarte okno, by sprawdzić, co też on widział.

– Nie rób tego.

Przez następne cztery, pięć minut żadne nie odezwało się słowem. Selvy wpatrywał się w lusterko. Wyglądał na głęboko pogrążonego w melancholijnych rozmyślaniach.

– Zaczyna świtać – odezwała się.

Wysiadł z samochodu, przeszedł na jej stronę i stanął, opierając się o drzwi. Palił papierosa.

– Powinniśmy zabrać moje ciuchy. Nie mam nic przeciwko wyniesieniu się z hotelu. Tyle lizolu. Nocna zmiana oszalała. W windzie gołębie. Jeszcze jeden tydzień i będę gotowa rzucić się na miecz.

Chciał dokładnie wiedzieć, jakimi mogą dysponować przyrządami, środkami i narzędziami. Takie informacje pozwoliłyby mu zachować właściwe spojrzenie na całą sprawę. Wyjaśniłyby zależności, z uwzględ-

nieniem monterów.

– Glenie przez jedno n – odezwała się. – Jeżeli ci zależy na tym, by z kimś się nie spotkać, to dlaczego wystawiasz się na widok przed tym samym samochodem, którym szykujesz się odjechać.

Zareagował, jakby wybiła go z transu, całkowitego oderwania się od rzeczywistości. Lecz mimo to w wyrazie jego twarzy była jakaś gotowość, właściwie w całej postawie, jak gdyby w tym stanie oniemiała znalazł jednak coś, co było dla niego o niebo jaśniejsze niż cokolwiek przedtem.

Stał zwrócony ku wschodowi, patrząc, jak dachy budynków nabierają barwy w mglistym świetle.

1. Nóż do patroszenia i ściągania skóry.
2. Nóż do filetowania, z rękojeścią z drewna różanego.
3. Wykałaczką z Arkansas, z rękojeścią z rogu bizona.
4. Nóż myśliwski ważący sto pięćdziesiąt gramów, o ostrzu długości dwudziestu pięciu centymetrów, o rękojeści z muszli oraz mosiężnym jelcu.
5. Nóż do rzucania, bez rękojeści.
6. Nóż myśliwski z rękojeścią z kaktusa cholla.
7. Nóż myśliwski z zakrzywionym szpicem i rękojeścią z rogu jelenia.
8. Nóż do noszenia w cholewie, z rękojeścią z kości słoniowej.
9. Sztylet.
10. Sztylet specjalny.
11. Nóż myśliwski w stylu angielskim, w dekoracyjnej pochwie z kozłowej skóry.
12. Model umożliwiający przetrwanie, z metalową pustą rękojeścią, do chowania tabletek kodeiny i do odkażania wody.
13. Nóż komandoski z mahoniową rękojeścią.
14. Nóż komandoski z mosiężnym jelcem i dwunastocentymetrowym ostrzem.
15. Nóż komandoski z rękojeścią z kasztanowca, w skórzanej pochwie.
16. Nóż komandoski z dwustronnym szpicem i ostrzem długości siedemnastu centymetrów.
17. Nóż komandoski z dwustronnym szpicem i ostrzem długości dwudziestu centymetrów.

Stolik do kawy był nowy, miał wmontowane pleksiglasowe terrarium, pełne miniaturowych drzew i krzewów. Grace Delaney rozmawiała przez telefon, po dziewczęcemu skręcając sznur w palcach. Ostatecznie zaczęła się kręcić na krześle, zatrzymując się w końcu twarzą do okna. Jeszcze nie nasmarowała sobie dłoni kremem, Moll więc tkwiła w miejscu, wpatrując się w drzewka bonsai, podziwiając, jak Grace potrafi się przekonująco intymnie śmiać.

Grace odwróciła się do niej, odkładając słuchawkę na widełki.

– O czym to mówiłyśmy?

– Że brak ci solidnej podstawy.

– Moll, jedyne nie nazwane źródło.

– Cały czas o tym. Dlatego Percival poczęstował mnie tą opowieścią. My za to nie odpowiadamy. Wie, że jak tylko ją opublikujemy, to zostanie gdzieś indziej przedrukowana.

– Nie opublikujemy jej, słodziutka. Tak jak ją napisałaś, zupełnie nie wiadomo, do kogo jest adresowana. Jest zredagowana w najbardziej zamiatwany sposób.

– Ale podaję nazwisko – broniła się Moll. – Używam nazwiska Mudger. Używam nazwy Radial Matrix.

– Ale to jest pokręcone, zwodnicze i nieuchwytne, nikt nie jest w stanie niczego z tego wycisnąć. Ma dziesięć tysięcy słów i nie wiadomo, do kogo jest adresowane. Tyle. Płynie jak surówka.

– Co chcesz, bym zmieniła?

– Mówiłam ci, to nie do wykorzystania. Nie możemy konstruować tej wyszukanej budowli z marzeń, korzystając z jedyne nie nazwanego źródła. Ten facet w dodatku powiedział, że z góry wszystkiemu zaprzecza. Senator chce, byś się odczepiła od jego kolekcji. To chyba jedyny pewnik, na jakim opiera się cała historia.

– Ale nie wie, że jestem na nią napalona.

– Oczywiście, że wie, tępaku.

– Grace, do cholery.

– Chcesz kawy?

– Nie.

Delaney wysunęła szufladę biurka i wykonała pytający gest.

– Dobra – powiedziała Moll. – Co to jest?

– Wódka.

– To dobrze.

Wzięła srebrną piersiówkę i napiła się z niej.

– On wie, Moll. Oczywiście, że wie. Ma swoje źródła. Wszędzie ma swoich ludzi. Jest pieprzonym senatorem, prawda?

– Nie podobają mi się te rośliny.

– Nie bądź głupia. Są piękne.

– Zbyt pięknie wyrzeźbione. Nie wyglądają na prawdziwe.

– Przejdź do swojego seksownego eksponatu – powiedziała Delaney.

– O to z założenia chodziło?

– To doprowadziło mnie dokładnie do tego, co w końcu zrobiłam.

– Moll, to strata czasu.

– Przeżyliśmy bardziej ryzykowne sytuacje.

Delaney sięgnęła po krem do rąk. Weszła Bess Harris, jej sekretarka, kobieta w średnim wieku. Kiedy przechodziła, Moll podała jej piersiówkę, a ona postawiła ją na biurku. Grace po nią sięgnęła i napiła się.

– Chcesz usłyszeć moją teorię? – spytała. – To moje spojrzenie z perspektywy światowej. O co chodzi w całej tej sprawie. Dotyczącej Lloyda Percivala, Earla Mudgera, ciebie, mnie, Bess i nas wszystkich. O samą podstawę.

– Mów – rzuciła Moll.

– Wszyscy mężczyźni to kryminaliści. Wszystkie kobiety to żony mafiosów.

– To głupie. Bardzo głupie.

– Przez jedenaście lat byłam żoną jednego mężczyzny. Działałam na jego rzecz. Byłam jego psem. Niezupełnie zdawałam sobie z tego sprawę. Jego psem realizującym jego skryte zadania. Jakoś tak się stało, tajemniczo i bez słów. To wisi w powietrzu między nami. Przenoszone jest falami radiowymi z galaktyki do galaktyki.

Bess Harris pociągnęła z butelki.

– To niemożliwe – stwierdziła Moll. – Nie wierzę w ani jedno słowo.

– Jestem żoną mafiosa.

– Grace, daj spokój.

Delaney wzięła butelkę i napiła się.

– Geniusz mężczyzn przewyższa wszystko. Chcesz wiedzieć, na czym

polega? Na tym, że mężczyźni chcą. Kobiety po prostu są. Myślą, że całe naparowane zrobią wielką karierę, he, he. Nic z tego. Zapewniam cię, nic. A mężczyźni chcą. Bum, trach, pach. Co za pęd, Chryste Panie! Tak bardzo chcą. Nam się od tego kręci w głowie, odpływamy. Czym jesteśmy przy tym wielkim chciejstwie, tym ich wszechogarniającym ssaniu? Bess, wynoś się stąd, do diabła. Co tu robisz?

– To mnie nie dotyczy – oświadczyła Moll.

– Zapędzono mnie już w tyle kozich rogów, że doszłam do tego, iż reaguję po prostu automatycznie. Jestem taka zmęczona. Tak mam tego dość. Bum. Jestem taka stara. Nie uwierzyłybyś.

– W tym miejscu nic nie słysząc.

– Zwariowali. To też jest u nich genialne. Są absolutnie, powalająco szaleni. Zastanów się nad tym. Naprawdę to przemyśl. Są głupkami.

– Do kogo to mówisz? – spytała Moll.

– A my jesteśmy ich żonami. Żyjemy z nimi.

– Bo chyba nie mówisz do mnie.

– Zastanów się nad tym. Nad swoim własnym życiem. Pogrzeb naprawdę głęboko. A doszukasz się tego. Tego czy czegoś innego, ale tańczysz, jak ci zagrają. Tyle że o tym wiesz. Tyle że nie myślisz, iż jest inaczej. Bo jest już po wszystkim, nie jesteś już córeczką tatusia.

– Wiem, Grace. Fale radiowe. Galaktyki.

– Pomyśl o tym. Pogrzeb głęboko.

– Grace, daj mi butelkę.

– Jestem taka stara i zmęczona.

– A więc nie chcesz przepchnąć tego kawałka – zauważyła Moll. – Powiedz mi to, a będę mogła stąd wyjść.

– Byłam przeciwna twojemu pomysłowi, jeśli chodzi o kolekcję Percivala, z powodów, które ci przedstawiłam. Zgodnych z prawdą. Brak konkretnego planu, brak implikacji politycznych. Ale zgoda, ten kawałek to zupełnie inna sprawa, bo jest w nim plan, są implikacje polityczne, jest coś w rodzaju pajęczyny, siatki powiązań. Nie mogę jednak tego puścić.

– Bo jesteś stara i zmęczona – powiedziała Moll.

– Bo to jest zbyt cienkie. Za dużo w tym gdybania. Podstawy są niedostateczne. Brakuje mi ich. Poczucia, że podstawy są solidne.

– Dziękuję.

– Nadal jesteśmy przyjaciółkami? – spytała Grace.

Moll wzięła taksówkę do redakcji czasopisma na West Side, tam, gdzie miała swój własny boks. Pojechała redagować artykuł napisany

przez profesora, specjalistę od studiów wschodnioeuropejskich. Dowodził, że parapsychologowie rosyjscy, poganiani przez KGB, opracowali niemal perfekcyjny system dokonywania zabójstw za pomocą telepatii. Moll właściwie nie miała co do tego wątpliwości. Kiedy zaczęła się bawić tytułami, zadzwonił telefon.

- Twój stary koleś od picia lemoniady.
- Kto mówi?
- Earl Mudger.
- Czego chcesz?
- Zmierzam w twoim kierunku.
- To znaczy?
- Chcę ubić interesik. Może moglibyśmy się spotkać i dokończyć rozmowy?
- A nie dokończyliśmy?
- Wydawało mi się, że jej nawet nie zaczęliśmy.
- To zadzwoń do mnie – powiedziała.
- Może w przyszły wtorek, kiedy pewnie tam będę. Odpowiada ci?
- Zadzwoń do mnie.

Zadrukowana kartka czy to z wiadomościami, czy ze sprawozdaniami sądowymi nie ma takiej siły, jaką daje czyjaś obecność wpływająca na nas barwą głosu, manieryzmem, wyglądem, wyrazem oczu i całą sylwetką. Na przykład Grace Delaney. Jej oczy, modulacja głosu, sposób poruszania się na krześle, kiedy mówiła. Dzięki temu Moll dowiedziała się, że Grace z jakiegoś ukrytego powodu nie chce opublikować artykułu o Radial Matrix. Glen Selvy w długich kalesonach, skrzywienie ust i lodowate szare oczy. Niebieskie oczy Mudgera. Głos Earla Mudgera, kiedy mówił o Lomaxie i senatorze Percivalu, o tym, że pierwszy jest informatorem drugiego, dostarczającym mu wybranych informacji. W kowalskim fartuchu, o silnych barkach i skrzywionej nasadzie nosa. Głos Mudgera, kiedy opowiadał o swoim zoo w Wietnamie. Oczy Mudgera zerkające na starszą panią, która stawiała im lemoniadę na stoliku z białej wikliny, na pasące się kucyki szetlandzkie. Oczy, ciała, głosy. Siła kontaktu osobistego. To nie głos kłamie. Strzeż się osobowości. Dynamicznego temperamentu, strzeż się.

Tak rozmyślając, szukała jednocześnie odpowiedniego tytułu. KGB powiązana z ESP za bardzo przypomina alfabet. Telepatyczni płatni mordercy. Chodzi o to, by tytuł był bardziej rozwinięty, ale nie mówił wszystkiego. A może powinien przekazywać wszystko?

Przypomni jej si mczyzna w ochraniaczach na uszach i kolorowych okularach, w drzwiach Tropikalnego Baru Frankiego. Kiedy strzela, bro podskakiwa mu w rce.

Selvy mid trudnoci z koncentracj. W czeluciach mzgu powoli przepyway mu kilometry prowadzce do znikajcego punktu, gbokiego snu, koca wiadomej analizy. Sta przy oknie maego domku. Miejsce nazywao si Motel w Lesie. Dziewczyna spaa w ozku. Odpowiadao mu, e moe mylec o niej jako o dziewczynie. Dziewczyna to przyzwoite towarzystwo. Dziewczyna nie komplikuje spraw.

Bd tu za kilka minut.

Interesujce, e znw to zrobi. Seks z niezameznan kobiet. Hm, tej nocy opanowao go lekkie szalestwo. Seks z niezameznan kobiet na przednim siedzeniu samochodu zaparkowanego na ulicy, w czasie gdy jego, Selvy'ego, ciga dwoch zdeterminowanych weteranw wojennych. Cudzoziemcw. Obojtnie traktujcych miejscowe obyczaje seksualne.

W pewien sposb cae jego ycie w tajnych suzbach byo cigiem ucieczek przed kobietami. Ograniczenie zwizkww do kontaktw z kobietami zameznymi miao mu pozwolic utrzymac si na granicy, gdzie nie traci zdolnoci manewrowania. Mog narzuci styl danemu romansowi, granice wasnego przywizania. Odpowiadao mu to. ycie zawezilo si do przeywania intensywnych okresw. Rwnie przyjemnych powitan i rozstan. Niewtpliwie one czuy to samo, niektre z tych kobiet. Ich pojawianie si i odejcia regulowane byy czynnikami zewnetrznymi. Dodawao to przeyciom erotycznym siy, gbi i jakoci. Posugiwa si tymi zewnetrznymi naciskami w celu utrzymania si w roli o dokadnie okreslonych konturach.

Usiowa si skupic.

Dziewczyna nie naraaa na szwank jego rutynowego postepowania, stanowia przyzwoite towarzystwo. Nie wywoywaa zakocen. Nie dazya do neurotycznego zaangaowania. Teraz spokojnie oddychaa i pewnie nia jej si, mia nadzieje, jaka sielankowa scena.

Kiedy usysza nadjedzajcy po wyboistej drodze mikrobus, wymkn si przez drzwi i ruszy w ciemnociach w stron ostatniego domku przy ciezce prowadzcej do lasu. Wiedzia, e ten domek nie jest zajty. Zaparkowa przed nim swoj samochd.

Stana na skraju lasu, cztery metry od samochodu. Patrzy, jak Volkswagen bus zatrzymuje si przy ssiednim domku, rwnie pustym. Wy-

siedli, wyglądali na wykończonych. Przednie drzwiczki zostawili otwarte. Jeden z nich ruszył w stronę Selvy'ego i sprawdził, co to jest za samochód. Drugi wrócił do busa, prawdopodobnie po to, by zgasić światła.

Selvy wyszedł z lasu, pokazując magnum kaliber 41. Pierwszy komandos zareagował, ale Selvy przyłożył mu broń do twarzy, napierając na niego. Komandos stanął, opuścił ręce wzdłuż boków, jakby je przykleił, najwyraźniej, by pokazać, że nie stawia oporu. Oparł się o bok samochodu, zsunął w dół i po chwili usiłował się wygramolić z powrotem na nogi. Selvy, nie spuszczać wzroku z drugiego komandosa, przyłożył broń do ust pierwszemu, wylotem lufy, i napierając nią na zęby, zmusił go do oparcia się pośladkami o przednią oponę.

Żeby pozostał w tej pozycji, Selvy rąbnął go kolbą w lewą kość policzkową. Drugi komandos wspinał się od tyłu do mikrobusu. Selvy wyjął z tylnej kieszeni parę starych kajdanek. Przewrócił drugiego na brzuch, zgiął mu nogę i podciągnawszy wysoko w górę – diabło giętki drań – skuł mu kostkę razem z nadgarstkiem przeciwnej ręki. Pierwszy komandos zamknął tylne drzwi.

Selvy przeszukał go i znalazł tylko mały nóż z cienkim szpiczastym ostrzem. Wrzucił go przez okno do swojego samochodu. Potem wrócił do volkswagena i lekko uchylił tylne drzwi, wsuwając gnata w szparę tak, że widać było jakieś dziesięć centymetrów lufy. Żadnej reakcji. Ani szmeru. Otworzył drzwi odrobinę szerzej.

Komandos kucnął w ciemnościach, w prawej ręce trzymał nóż, tuż nad podłogą. Ani drgnął. Pozostawał nieruchomy niczym drewniana rzeźba. Czekał, zwrócony twarzą do Selvy'ego, z głową wysuniętą do przodu.

Selvy skinął głową i zamknął drzwi. Wszedł do pustego domku i stanął przy oknie. Komandos wysiadł z mikrobusu i przeciągnął kolegę na przednie siedzenie. Następnie usiadł obok i powoli zaczął wycofywać samochód dróżką motelową i dalej w stronę autostrady.

Lomax siedział przy narożnym stoliku i patrzył, jak Earl Mudger idzie przez salę zajazdu Executive Towers nieopodal Arlington Boulevard.

– Powinniśmy już niedługo dostać jakieś wiadomości. Już jest opóźnienie. Earl, czego się napijesz?

– Wiadomości. Już są wiadomości.

– Muszę powiedzieć to wprost. Moim zdaniem to błąd. Może Selvy lekko się opierał. Ale chyba nie miał układu z tą kobietą Ludecke.

– Kto to jest Selvy?

– Obiekt – wyjaśnił Lomax. – Moim zdaniem mógł chcieć coś sobie chyłkiem załatwić. Ale myślę, że tam nie był. Mógł pomagać tej Robbins w pewnych ruchach dotyczących senatora. Z osobistych względów. Chciał skończyć z tym zadaniem.

– Rozgniółł moją pluskwę.

– Earl, przecież mógł o niej nie wiedzieć.

– Przecież był szkolony. Wiedział. Oczywiście, że wiedział.

Lomax przyglądał sobie baczki opuszkami palców. Kelner przyniósł drinki i karty dań. Powiedział coś, czego nie zrozumieli. Ludzie siedzący obok odwracali się, by popatrzeć na bar. Mudger i Lomax spojrzeli w tamtą stronę. Przy barze sadowiło się dwóch mężczyzn z szympansem. Nie zwracali uwagi na to, że wzbudzają zainteresowanie, po chwili więc ludzie wrócili do jedzenia i picia. Szympanś ubrany był w nie zobowiązujący garnitur z rozkloszowanymi nogawkami spodni.

– Sprawa DPD – odezwał się Mudger.

– Ta kobieta nadal gra. Musi grać. IRS ledwie dyszy, od czasu kiedy była inkasentką Panther. Stoją wobec oszustwa.

– Możemy ich zmusić, by poluzowali? Czy i kiedy?

– Nie – odparł Lomax. – Nie mogłem zrobić więcej prócz zdobycia akt i taśmy.

– Ma to znaczenie?

– Chyba nie. Ona musi być przekonana, że mamy tam wpływy. Poza tym wie, że chcą wystąpić na drogę sądową. Kupujemy sobie czas, tyle. Biorąc pod uwagę, że brak nam teraz środków, na nic innego nie możemy mieć nadziei.

– Od dawna chcę cię o to spytać. Jak to się stało, że korzystasz z Raportu Dorish? Zgoda, jesteśmy w korporacji. Ale czy nie mamy własnego wywiadu? Jeżeli nie, to dlaczego? Nienawidzę myśli, że musimy korzystać z tych samych służb dochodzeniowych co General Motors czy Chase Manhattan.

– Earl, jak na ironię, Selvy właśnie wykańczył raport na temat DPD. Zanim skończył, weszliśmy w etap przemontowania. Wyłączywszy Selvy'ego, nie będziemy mieli nikogo, kto by się do tego w pełni nadawał.

– Jak to się stało? W pięćdziesięciu słowach czy jeszcze krócej.

– Stało się to wtedy, gdy oderwałeś się od BZK/BO, przez co skończył nam się zapas szkolonych wywiadowców. Teraz wywiad wcale nie jest naszą mocną stroną. Jesteśmy mocni w działalności paramilitarnej. Dysponujemy kontrterrorystami mniej więcej dwadzieścia cztery godzi-

ny na dobę, możesz mi wierzyć lub nie.

– Uważasz, że nie byłem przewidujący.

– W takiej sprawie jak DPD potrzebny nam jest tylko jeden kompetentny wywiadowca. Ale ze smutkiem muszę stwierdzić, że nie mamy ani jednego. Stąd Raport Dorish. Stąd padanie na kolana, by błagać o łaskę starą znajomą z IRS.

– Powiem ci, co zrobimy.

– Chcesz, bym się zamknął – stwierdził Lomax. – Uważasz, że zaczynam prawić kazania. Zgoda, dają tu dobrą wołowinę. Zamówmy.

Lomax zbeształ się w duchu za to, że w porę się nie zorientował, iż Mudger jest w podłym nastroju. Nie mógł opanować uczucia rozczarowania. Oczekiwał choć słowa pochwały za swoją pomysłowość w zbieraniu materiałów na temat sprawy DPD. Teraz będzie musiał czekać na właściwy moment, by znów do tego powrócić, albo dać sobie na zawsze spokój.

Skrótem DPD określali Grace Delaney. Oznaczał Dziwkę Płaską jak Deska.

Mudger przyglądał się szympansovi. Szef restauracji rozmawiał z dwoma mężczyznami, którzy siedzieli po obu stronach zwierzęcia. Z tej odległości Lomax miał wrażenie, że szef pozwala im zostać, jeżeli nie dojdzie do jakiegoś niestosownego zdarzenia.

– Wykonuję różne ruchy – powiedział Mudger. – Dzięki temu człowiek się trzyma. Odnawia się. W projektowaniu systemów brakuje jednego podstawowego, ważnego elementu.

– Już mówiłeś. Ludzi.

– Zgadza się, ludzi.

– Earl, to już sięgnęło szczytu.

– Od dawna zajmuję się pornografią. To piekielnie ciekawa dziedzina. Dynamiczna. Z elementami psychologii. To interesujące. Dziwni ludzie. Układy, związki i ugody. To mnie intryguje. Systemy to tylko formułowanie. Zasadniczo sterylne pojęcia. Brakuje mi czynnika ludzkiego. W czasie wojny wszystko obracało się wokół niego.

– Earl, sprawa sięgnęła szczytu.

– Wiele milionów. Blisko miliard, z miękkim towarem włącznie.

– Powiodło ci się dzięki stosowaniu unikatowych metod. Jeżeli z rozmachem zajmiesz się obscenami, okaże się, że te metody nie są aż takie unikatowe.

– Czyż nie rozkwitam dzięki wyzwaniom?

Lomax pogłaskał się po czubku głowy.

– Czy to wszystko to nie interes? Kiedy już dotrzesz do sedna? Czy to wszystko nie jest jedną wielką przygodą? Artur? Czy nie jest tak?

Lomax nie lubił tych nastrojów.

– Zysk, jaki przynoszą twarde pornosy, napawa lękiem. Możesz nakręcić taki za pięćdziesiąt tysięcy, a zwrócą ci się miliony. A nawet sam nie musisz ich kręcić. Są inne wyjścia. Mam ludzi. Już w to wszedłem. Potrzebny mi jest tylko produkt.

Mudger jeszcze raz się odwrócił w stronę baru.

– Szympanś należy do małp bezogonowych – powiedział po chwili.

– Nie wiedziałem.

– Wiedziałaś o tym?

– Nie.

– Najbardziej z nich inteligentny, chociaż niektórzy twierdzą inaczej.

– Ja lubię psy – powiedział Lomax.

– Niektórzy twierdzą, że goryl.

– Earl, a deser?

– Czy obserwowałaś kiedyś zwierzęta? Dłuższy czas? Bo, obserwując zwierzęta, można się nauczyć, jak one załatwiają swoje sprawy.

– Ja mam psy. Obserwuję psy.

– Mógłbyś powiedzieć: wilki.

– Udomowione. To moja dziedzina.

– Wilki. Obserwowałaś kiedyś wilki? Pamiętam je przed Tha Binh.

– Przyznaję się do węży. Obserwuję węże.

– Węże są dobre – zauważył Mudger. – Można trafić gorzej.

– Ale tylko w zoo.

Kelner przyniósł kawę.

– Są wiadomości – odezwał się Mudger.

– Skąd?

– Van jest w szpitalu. Wszystko rozwalone. Pogruhotana kość policzkowa. Zęby i dziąsła.

– Który to jest Van?

– To ten, z którego siostrą się ożeniłem.

– Przykro mi – rzekł Lomax.

– Chryste, wesoło. Cao nie wie, gdzie, do diabła, są. Wiem tylko tyle, że w Szpitalu Miłosierdzia.

– Ale nie wiesz, w jakim mieście.

– Ani nawet w jakim pieprzonym stanie – rzucił Mudger. – Chciał,

żeby ktoś mu powiedział, do cholery, w jakim jest stanie. On zna jakieś cztery słowa po angielsku. Vanowi, który ma swobodnie ze dwa razy większy zasób słów, napakowano do ust drutów i małych srebrnych kółeczek.

– Mówiłem ci o Selvym.

– Są gdzieś tam. Jeden ma zmasakrowaną twarz. Drugi może tylko zadzwonić do Tran Le. Wiesz, ona nie zapisuje jego numeru. Podaje mi tylko Szpital Miłosierdzia.

– Mówiłem ci. Selvy. Lekko go potraktowali.

– On popełni ten sam błąd, jeżeli myśli, że to, co się stało, jest prawdziwą wskazówką. Lekko go potraktowali, zgoda. Ale te chłopaki potrafią sobie radzić. Widziałem, jak to robią. Nie należą do twoich typowych mruków z ARVN. Wpadł w to gówno aż po szyję. I szybko się wspina.

– Moim zdaniem da sobie radę.

– Twoim zdaniem da sobie radę.

– Co do Selvy’ego, to jest jedna sprawa. Jest bardziej poważny niż każdy z nas. On wierzy. Powinieneś zobaczyć, gdzie mieszka. Gdzie mieszkał. Zagrzebany w jakiejś szcurzej norze zaplutej dzielnicy. Odizolowany. Robiłby to za darmo, ten Selvy. Bo ten skurwiel wierzy.

– W co wierzy?

– Wierzy w to życie.

– W to życie.

– Dwa i pół miesiąca w Mines. To tak na poparcie.

– Był w Mines?

– Mówiłem ci. Selvy. Najlepszy ze wszystkich przeze mnie szkolonych.

Lomax poprosił gestem o rachunek.

– Jak go teraz znajdą?

– Niech mnie, jeśli wiem – odparł Mudger.

– Chyba że wpadnie do Szpitala Miłosierdzia, żeby usunęli mu wyrostek. Bo inaczej nie znajdą go, do diabła.

Lomax zapłacił rachunek i poszedł do toalety. Mudger, wychodząc, zatrzymał się przy barze. Szympanś jadł sałatkę owocową w plastikowej miseczce.

– Ile chcecie za to zwierzę?

– Nie jest na sprzedaż – odparł jeden z mężczyzn.

– No, wymieńcie cenę.

Mężczyzna obrócił się na stołku.

- Nie jest na sprzedaż. Nie na sprzedaż.
- Nie powinniście go ubierać. To poniżające dla zwierzęcia.
- A kto ty za jeden?
- Uważacie, że to niesamowite przychodzić do baru ze zwierzęciem.

A to żart stroić zwierzę i przyprowadzać je do baru.

- Kto ty jesteś? Może scjentyista?
 - To żart – powtórzył Mudger.
 - Świadek Jehowy. Oni nie mogą być dawcami krwi.
- Drugi mężczyzna zwrócił się do Mudgera.

- Pyta cię, kim jesteś.
- Powiedz mu, żeby sobie skoczył na czubek – powiedział Mudger.
- On pyta grzecznie.
- Powiedz mu, żeby sobie skoczył na czubek.

Mudger przyłożył środkowy palec do kciuka, jakby chciał spstryknąć owada z rękawa. Zamiast tego pstryknął drugiego mężczyznę w ucho. Ten zareagował, jakby go postrzelono. Odwrócił się z powrotem do baru, opuścił głowę i prawą ręką zakrył sobie ucho.

- Powiedz mu, by skoczył sobie na czubek – powtórzył Mudger.

Lomax stał obok i patrzył. Mężczyzna zwrócił się do swojego towarzysza i powiedział nad głową szimpansa:

- Skocz sobie na czubek, Stanley.

Mudger siedział obok Lomaxa, który prowadził, i patrzył przez boczne okienko. Chmura nie zeszła mu z czoła. Myślał o własnych zwierzętach, które udało mu się wywieźć z Wietnamu. Musiał je zostawić na Guam, wszystkie co do jednego, w odosobnieniu. W końcu względy praktyczne i nie kończące się komplikacje zmusiły go do pozostawienia zwierząt na łasce miejscowych władz. Kiedy ustały walki, pewnych spraw nie dawało się przeprowadzić.

Myślał o sajgońskich kobietach w jedwabnych bluzkach i satynowych spodniach. Łózkach zasłoniętych moskitierami. O bezwzględny wilgotnym upale.

Myślał o ludziach razem leżących na hamakach w otwartych chatkach pod Tha Binh. W nocy rozbrzmiewały gongi VC. Część nieba rozjaśniały reflektory z C-47, oświetlając spadochroniarzy. Irytujący łoskot lądujących w pobliżu helikopterów Medivac.

Myślał o żołnierzach, którzy przemierzali dżunglę z tranzystorowymi radiami i rzucali w zarośla papierki po gumie do żucia. Od czasu do czasu odzywała się seria z karabinu maszynowego M-60. O punktach kon-

trolnych umocnionych workami z piaskiem. O nowej broni wyciąganej z trzaskiem ze skrzyń. O patykach *punji* umazanych ludzkim kałem.

6

Richie Armbrister rzucił okiem na swój cyfrowy zegarek wyświetlający godziny. Drzwi windy otworzyły się z trzaskiem i ruszył za Lightborne'em do galerii. Weszli prosto do części mieszkalnej z tyłu i Lightborne wstawił wodę na herbatę.

– A więc opóźnienie numeru drugiego. Co się dzieje, Lightborne? Zapłaciłem pieniądze.

– I są w bezpiecznym miejscu. Ta kobieta dostanie je, kiedy tylko przekaże puszkę.

– Z filmem w środku.

– Jestem o tym niezmiennie przekonany, Richie.

– Mam różne sprawy. I kilka projektów.

– Rozumiem – powiedział Lightborne.

– Wiesz, jak długo mnie nie było?

– Richie, wracaj do Dallas.

– Jeszcze nigdy nie wyjeżdżałem na tak długo.

– Dopilnuję tego z tej strony.

Zegarek, chronometr, stanowił jedyny uzewnętrzniony dowód bogactwa Richiego, pomijając jego DC-9. Miał na sobie ciężkie spodnie khaki, wytartą skórę i sweter w szpic, w reniferowe wzory, z wystrzępionymi mankietami.

Nie wyglądał na dwadzieścia dwa lata, robił wrażenie nastolatka o słabym układzie nerwowym. Wysokie czoło, wystające kości policzkowe, duże zęby. Wydawał się spięty, zbyt pochłonięty czymś, jego głos wydobywał się ze szczupłej kościstej twarzy – twarzy, na którą Lightborne nigdy nie potrafił patrzeć, nie zastanawiając się, czy ma do czynienia z geniuszem, czy z półgłówkiem.

Nie chodziło o to, że należało kwestionować osiągnięcia Richiego. Niemal całkiem własnoręcznie zbudował imperium. Udoskonalił technologię obscenów, stworzył kanały dystrybucyjne i wynalazł pomysłowe metody marketingu. Zarazem udało mu się pozostać czystym z punktu widzenia prawa, ukrytym w papierowym labiryncie.

– Zostawię Odella.

- Kogo? – spytał Lightborne.
- Zostawię tu Odella. Odell to mój facet od spraw technicznych związanych z filmem. Macie być w ciągłym kontakcie, Lightborne. Dzięki temu będę wiedział, co się dzieje.
- Mogę tylko wyrazić uznanie.
- Odell jest moim kuzynem.
- Rozumiem, Richie.
- Jest jednym z otaczających mnie ludzi, którego nazwałbym mądrym.
- Wiem, ile dla ciebie znaczy to słowo.
- Zwłaszcza w przypadku ludzi z mojego otoczenia.
- A do tego jest twoim krewnym.
- To imbecyle, ślamazary. Bez przerwy trzeba im wszystko powtarzać.
- Wierz mi, Richie, że rozumiem i współczuję ci. Doskonale wiem, jak się czujesz.

Lightborne zalał wrzątkiem torebeczki herbaty. Skoro Richie chciał mieszkać w zabarykadowanym magazynie, gdzie składował swoje materiały, Lightborne był gotów to uznać za rzecz naturalną. Ale sam na jego miejscu wybrałby spokojną uliczkę w Highland Park.

Jeżeli Richie chciał się otaczać ludźmi, których znał przez całe życie – ochroniarzami, doradcami, krewnymi, różnymi osobami towarzyszącymi oraz mężami, żonami, dziewczynami i chłopakami tych osób – to Lightborne nie zamierzał wysuwać zastrzeżeń, chociaż na jego miejscu ustanowiłby radę zarządzającą. Składałaby się z mężczyzn i kobiet wyszkolonych w prowadzeniu spraw firmowych. Może by też załatwił sobie specjalistę z uczelni.

- Nie wiem, jak długo mogę tu być, Lightborne. Mam czas na filiżankę herbaty?
- Richie, przecież to twój samolot. Nie odleci bez ciebie.
- Jestem gotów. Muszę spadać.
- Wypij herbatę. Mam prezent.
- W tym interesie jest pewna rzecz – powiedział Richie. – Biorą coraz więcej. Są strasznie chciwi. I coś się dzieje. Mój ochroniarz uważa, że dokądkolwiek idziemy, od trzech dni widzi tę samą twarz. Może jego opinia nie jest warta nawet dwóch dolarów na wolnym rynku, ale lepiej się czuję w domu. Wtedy wiem, na czym stoję.
- Powiedz Odellowi, że trzymam rękę na pulsie.

– Będę czekał na jakiś cynk. Będę wyczekiwał. Dzisiaj to duża sprawa. Premiery filmów. Ludzie chcą podkreślić sobie wyobraźnię. Właściwy kierunek to filmy długometrażowe. Będę czekał, Lightborne. Z niecierpliwością.

– Dokończ herbatę, Richie.

Wcześniej tego dnia po poszukiwaniach w sklepach żelaznych, modniarskich, w rupieciarniach ze starzyzną przy Czternastej Ulicy Lightborne w końcu znalazł to, czego szukał. W sklepie spożywczym przy Thompson Street, niedaleko swojego domu. Zbliżało się Święto Dziękczynienia i sklep pełen był okolicznościowych drobiazgów. Zauważył, że duńskie maślane ciasteczka pakowane są w okrągłych puszkach metalowych, dokładnie takich, jakich szukał. Wybrał rozmiar szczególnie oszczędnościowy.

– Kupiłem ci coś do podgryzania w samolocie w powrotnej drodze.

– Co to, cukierki?

– Ciasteczka – odparł Lightborne.

Pokazał mu błyszczącą puszkę, po czym owinął ją szczelnie w zwykły brązowy papier, bardzo szczelnie, tak żeby każdy, kto będzie widział, jak Richie wychodzi z budynku, bez trudu zauważył okrągły przedmiot. Obkleił puszkę taśmą, maskującą taśmą, użył kleju i zawiązał wszystko sznurkiem, żeby zawiniątko było szczelne.

– Ciasteczka. Święteczne ciasteczka. Żeby podróż szybciej minęła.

O ile przyjemniej było rozmawiać z panną Robbins, która przysłała jakieś pół godziny po wyjściu Richiego. Nie chodziło o to, że go nie lubił. Przecież Richie miał ludzkie walory. Niejeden raz dał Lightborne'owi dowód swojej trwającej przyjaźni. Krawaty wąskie jak tasiemka. Komplet podstawek ze scenami z Alamo. Lightborne'owi w końcu wypadało się zrewanżować.

Spytał Moll Robbins, czy woli inne krzesło. Siedziała bowiem na krześle z połamanymi sprężynami i głęboko w nie wpadła. Machnęła ręką, niecierpliwie czekając na wyjaśnienie, dlaczego ją zaprosił.

– W tym przedsięwzięciu głównie ja pozostaję sceptykiem.

– Tak, pamiętam, mówił pan o tym.

– Pamięta pani Glena Selvy'ego? Tego, który był tutaj, kiedy po raz pierwszy wspomniałem o tym filmie.

– Tak.

– Tego, który reprezentował pewną osobę.

– Pamiętam – odparła.

– Ta pewna osoba jest ze mną w bezpośrednim kontakcie.

– To Lloyd Percival?

Lightborne odchylił się na oparcie, pocierając szczękę.

– Działa pani.

– Raz tak, raz nie – odparła.

– Zdziwiłem się, kiedy powiedziała pani, że nie skończyła tego artykułu.

– Sprowadzono mnie na boczny tor.

– Ale wróciła pani na główny.

– Chyba tak.

– Cieszę się więc, że zadzwoniłem. Wydaje mi się, że jeśli dziennikarz się do czegoś weźmie, dojdzie do tego, co właściwe i sprawiedliwe w danej sytuacji.

– No, no.

– Oczywiście moja rola powinna zostać nieco w cieniu. Nie ma Lightborne'a, agenta erotycznej tandety, pełnego inicjatywy, barwnego. Istnieje źródło bliskie istotnego miejsca wydarzeń. Dobrze osadzone źródło. Moje nazwisko nie powinno się ukazać w druku.

– Jak zwykle mogę pana o tym zapewnić.

– Ten film pobudza wielkie apetyty. Muszę pani powiedzieć, że wciąż mi to chodzi po głowie. Całkowicie zniewalająca siła tego człowieka. Wie pani, nie był impotentem, mimo że przedtem tak twierdzono.

– Chodzi panu o Hitlera.

– Robił na kobietach wielkie wrażenie. Słały mu listy miłosne, wiersze erotyczne, bieliznę. Kiedy jechał w kawalkadzie samochodów, rzucały się na jego auto. Jak na bożyszczę pop. Jak na jakiegoś współczesnego rockandrollowca. Kobiety rzucały się pod koła.

– Powierzchowne zaangażowanie uczuciowe – stwierdziła Moll.

– Wciąż otrzymywał propozycje od dziewczyn, że oddadzą mu dziewictwo. Oglądamy jego przemówienia, podczas których kobiety popadały w stan hysterii. Oglądamy zbiorowe szaleństwo. Miał na kobiety wpływ hipnotyczny. Myślę, że to bezsporne.

– Chce pan powiedzieć, że istniały ku temu podstawy.

– Pogłoski o naszym starym nigdy nie były dostatecznie szczegółowe – stwierdził.

– Stwarza pan jakąś własną wizję.

– Myślę o tym, ile byłby wart ten film. A mężczyzna, z którym pierwotnie o nim rozmawiałem, wyraźnie dał do zrozumienia, że nie rozczar-

ruje mnie tożsamość występujących osób.

– Racja, pamiętam, jak pan to mówił.

– Ta sprawa podlega wszelkiego rodzaju naciskom. Ja sam uruchomiłem pewne mechanizmy. Podjąłem też działania, żeby nie wzbudzała aż tak wielkiego zainteresowania. Teraz czuję się o wiele bezpieczniej, bo ludzie wiedzą, że w pobliżu kręci się dziennikarka.

– A skąd wiedzą?

– Chyba wiedzą.

– Pana zdaniem mają swoje sposoby dowiadywania się?

– Wiedzą. Chyba wiedzą.

Zgasił jedno z dwóch świateł w pokoju. Moll uznała, że rzeczywiście jedno z krzeseł jest niewygodne, więc wydostała się z dołka i przeniosła na metalowe składane krzeselko obok biblioteczki.

– Miewał młodzieńcze fantazje, których obiektem była blondynka w Linzu – podjął Lightborne. – Potem pojawiły się następne blondynki, które już nie należały do świata fantazji. Chyba miał słabość do blondynek. Również słabość do aktorek. Oczywiście też do swojej siostrzenicy. Burzliwy romans. Kiedy jakiś mężczyzna na poważnie wdaje się w romans z siostrzenicą, to oznacza, że płonie w nim ogień. – Umilkł. – Rysował. Rysował wiadome części jej ciała. W powiększeniu.

– To świadczy o złym guście.

Lightborne wykonał gest światowca.

– Taka rzecz jak zły gust istniała przed epoką sztuki popularnej. Teraz jest kicz, szmira, pedały i pornosy.

– Ale czy ostatecznie nie był w fatalnej formie? Całkiem zdany na leki?

– Też tak uważam – powiedział Lightborne. – Też to podkreślałem. Był osłabiony. Zdaje się, że prawa ręka okropnie mu się trzęsła. Na ciśnienie przystawiali mu pijawki. Zaskakująco się postarzał.

– Przyznaje pan, że to są dowody przeciwko.

– Wręcz to podkreślam – powiedział. – Przyznaję jednak, że wytaaczam te teorie głównie dla własnej przyjemności. Tak sobie gadam.

– Nigdy nie myślałam o nim jako o kochanku.

– Nie jest w pani typie.

– Poza tym naprawdę nie rozumiem, dlaczego hordy ludzi będą płacić pieniądze za to, by obejrzeć jakiś stary, szary, rozedrgany film ze śmiesznie wyglądającym facetem, który gania na golasa, nawet jeżeli był, kim był.

– Też o tym myślałem. To podstawowa kwestia. Kogo to obchodzi? Ale mimo to odbieram wibracje ze wszystkich stron. Od ludzi przy forsie i u władzy. Wokół tej sprawy narastają napięcia, niezależnie od tego, czy to drżący stary film, czy nie. Panno Robbins, wygląda pani na lekko znudzoną.

– Bynajmniej – zaprzeczyła. – Chodzi tylko o to, że nie rozumiem, dlaczego to takie pociągające. Szczerze mówiąc, to wstrętne. Nie dlatego, żebym była ponad to, panie Lightborne. Ale naprawdę po co to całe zamieszanie?

– Bo to on, Hitler. Nazwisko, twarz. Wszelkie sprzeczności i niekonsekwencje. Wyliczenie ich zajęłoby z godzinę.

– Z tymi wielkimi ludźmi zawsze jest podobnie. Znamy wielkich ludzi oraz ich publiczne i prywatne ja.

– Bardzo skryty umysł. Wiele drzwi zamkniętych. Aluzje, pogłoski o nienaturalnym życiu seksualnym. Do dziś o tym się szepcze. Kobiety związane z Hitlerem często popełniały samobójstwo, a przynajmniej usiłowały je popełnić. Po jego śmierci kobiety w całych Niemczech się zabijały. Ogromna liczba samobójstw.

– Chce pan mnie przygnębić?

– W bunkrze przebywała interesująca mieszanina ludzi. Były sekretarki, ordynansi, straż SS, służba kuchenna i tak dalej. Były kobiety ściągane dla esesmanów z ulicy. Byli goście z jednostek wojskowych. W pokojach esesmanów odbywały się pijackie hulanki i orgie. Ile tam przebywało ludzi, nie wiem.

– Może to się okaże na filmie.

– Myśleli, że on nie żyje. Świętowali. Ale to stało się z nim dopiero później. Może i tak. Mam jednak nadzieję na coś lepszego.

– Chodzi o samego starego.

– Żyjemy w dziwnych czasach – skonstatował Lightborne z zadumą.

Podziękował jej za wizytę i przyrzekł informować o wszystkim. Ruszyli w stronę drzwi przez ciemną galerię. Moll wpadła na stół, za co Lightborne ją przeprosił, uprzedzając, by nie ruszała się z miejsca, póki on nie zapali światła. Zauważyła, że nie skierował się do kontaktu na ścianie, tylko zapalił stojącą w kącie małą lampkę z żarówką o mocy chyba dwudziestu pięciu watów.

– Tak się porobiło, że nie lubię teraz jasno oświetlonych pokoi ani rozmów przez telefon. Nigdy nie miałem podejrzliwej natury. Ale chyba to starość. Pierwsze oznaki upadku.

– Ma pan jeszcze długą drogę przed sobą, panie Lightborne, powiedziałabym.

– To pierwsze oznaki.

– Wszyscy jesteśmy odrobinę przezorni.

Skinął głową, stojąc w mroku. Przypomniało jej się, że kiedy była tu za pierwszym razem, w pokoju stopniowo zapadał coraz głębszy mrok, bo Lightborne po kolei gasił światła, jednocześnie dając jej wskazówki, dokąd tamtego wieczoru mógł pojechać Selvy.

– Wchodzi się do banku, filmują cię – powiedział. – Wchodzi się do domu towarowego, filmują. Ma to tendencję wzrostową. Przymierza się suknię w przymierzalni, a ktoś podgląda cię przez lustro weneckie. Podgląda się nie tylko klientów, ale też pracowników, szpieguje ukrytymi kamerami. Gdziekolwiek się pojedzie, to radary, komputerowa kontrola ruchu. Zaglądają do macicy i robią zdjęcia. Wszędzie. A co na stałe krąży wokół Ziemi? Szpiegowskie satelity, balony do prognozowania pogody, samoloty U-2. Co robią? Wykonują zdjęcia. Cały świat rejestrują na kliszy filmowej.

– Kamera jest wszędzie.

– To prawda.

– Nawet w bunkrze – powiedziała.

– To prawda.

– Oko kamery rejestruje wszystkich.

– Zgadza się, panno Robbins.

– Nawet ludzi w bunkrze pod Kancelarią Rzeszy w kwietniu tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego.

– Nawet tych ludzi w bunkrze.

– Jest pan o tym przekonany, panie Lightborne.

– Mam ten film – odparł.

Przesunął się stopniowo w przeciwny koniec pokoju, około siedmiu metrów od źródła światła, i stanął pod pustą ścianą. Nagle jego postać straciła proporcje, którą to iluzję pogłębiał jego własny cień na ścianie z tyłu. Wydawał się malutki. Cały stał się głową.

– Oglądał go pan?

Postąpił dwa kroki w jej stronę, jakby chciał coś szepnąć, co było dziwaczne, zważywszy na odległość między nimi.

– Nawet nie otworzyłem puszeki.

Roześmiał się.

– Czekam na pomoc techniczną.

Znów się roześmiał.

– Obawiam się, że mogę w niewłaściwy sposób otworzyć puszkę i wtedy wszystko w niej się rozpadnie. Jest tam w środku od ponad trzydziestu lat. Prawdopodobnie istnieje właściwy i niewłaściwy sposób otwierania puszek, jeżeli coś w nich jest tak długo przechowywane. Może jest jakiś wymagany stopień wilgotności. Środki bezpieczeństwa. Zalecane postępowanie.

– Kto jest pańskim pomocnikiem technicznym?

– Odell Armbrister.

Tym razem roześmiała się Moll.

– Kuzyn Richiego – wyszeptał.

– Kto to jest Richie?

– Kuzyn Richiego Armbristera. Króla obscenów, z Dallas. Tego genialnego chłopaka. Który mieszka w magazynie.

– Fascynujące – stwierdziła.

Lightborne opadł na krzesło, zmęczony tymi wynurzeniami.

– Tak, fascynujące. To ciekawe słowo. Od łacińskiego *fascinus*. Amulet w kształcie fallusa. Słowo wywodzące się z tego samego rdzenia co „fasyzm”.

Znów mówił szeptem.

Na prostym odcinku autostrady 67 Glen Selvy, trzymając obie ręce na kierownicy, postanowił zamknąć oczy i policzyć do pięciu. Nie spieszył się. Kiedy doliczył do pięciu, przeczekał jeszcze z pół sekundy i dopiero wtedy otworzył oczy.

Jechał sto trzydzieści kilometrów na godzinę.

BZK/BO rekrutowało w jawny sposób. Potrzebni byli pracownicy administracyjni, urzędnicy, kadrowcy, racjonalizatorzy, dyrektorzy finansowi. Selvy, przechodząc pozytywnie przez serie testów i rozmów, zaczął sobie zdawać sprawę, że staje się członkiem coraz bardziej wyborowej grupy kandydatów. Wszyscy pozostali przechodzili rzędem do pokoi 103, 104 i 105. Grupa Selvy’ego zebrała się za nie oznakowanymi drzwiami.

Nastąpiły tygodnie dalszej selekcji. Okresowe rozmowy na tematy techniczne albo w celu wykrywania kłamstw. Stopniowo obraz się kryształizował. Pomiedzy jednym etapem a drugim pytano kandydatów, czy wyrażają dalszą gotowość do kontynuowania programu selekcji, czy nie.

Selvy dostał pensję w oddziale BZK/BO o nazwie Usługi Dywersyj-

ne, Doradztwo i Pomoc. Przez półtora miesiąca sprawdzał akta personelu i oceniał kandydaty na pracowników. To prowadziło do następnej serii testów, obejmującej specjalistyczne badania lekarskie. Pomiędzy jednym etapem a drugim pytano go, czy wyraża gotowość do kontynuowania programu, czy nie.

Zobaczył, jak Nadine Rademacher macha do niego ręką.

Stała przed pawilonem Howarda Johnsona, zbudowanym przy skrzyżowaniu autostrad. Uśmiechając się, wsiadła do samochodu i przerzuciła walizkę nad oparciem fotela. Selvy ruszył.

– Miło, że widziałeś się z Joanie. Dobrze, że chociaż zjawiłeś się na małej domowej kolacyjce. Dokąd teraz?

– Dokąd teraz?

– Tyle tych podjazdów i poziomów. Tylko wybierz właściwy.

– Chyba powinniśmy jechać dalej tak samo prosto jak dotąd od Nowego Jorku.

– Jedziemy cały czas prosto?

– Od samego Nowego Jorku.

– Cieszę się, że cię widzę, Chudziaku. Bałeś się, że pomyślę, iż się nie zjawisz?

– Kiedyś będziemy musieli przerobić to pytanie punkt po punkcie.

– Jest skomplikowane.

– Jak mam jechać? – spytał. – Sięgnij do schowka.

– Wyglądasz na zmęczonego i przygnębionego.

– Tam jest mapa.

– Powiem ci, co mi się nie podoba. To mroźnawe powietrze. Jest za wcześnie i jesteśmy za daleko na południe.

Wysunęła rękę ze schowka, trzymając w niej mały sztylet, który Selvy odebrał komandosowi przed niespełna dwiema dobami. Czekwała, żeby to zauważył.

– Co to? – spytał.

– Hola, kolego.

– Używam go do paznokci. Jako przycinaka.

– Czy to nazywają wykałaczką z Arkansas?

– Ten jest mniejszy.

– Jeżeli znajdziemy się w Arkansas.

– Wiedziałaś, że będziesz o to pytać.

– Po co go masz? – spytała.

– Tnę nim materace, kiedy mam dość.

Wysłali go do Marathon Mines. Tam uczęszczał na zajęcia z kodowania i monitoringu elektronicznego, a także szkolono go w posługiwaniu się bronią. Brał udział w niewielkich ćwiczeniach wojskowych. Uczył się obcych walut, międzynarodowej bankowości, podstaw handlu. Po raz pierwszy usłyszał termin „mechanizm finansowania”.

Instruktorzy wyrabiali w nim przekonanie, że jest częścią najbardziej elitarnej jednostki wywiadowczej w kraju. Była nieduża, właściwie nieznaną, nie było tu obijania się, marnotrawstwa ani bezpośredniej odpowiedzialności. Słyszał słowa „Radial Matrix”.

Dużo czasu spędzano na uczeniu się i omawianiu paramilitarnych struktur grup rebelianckich na świecie.

Analizowano strukturę organizacji właściwą Wietkongowi. Wiejscy partyzanci w niepełnym wymiarze godzin. Samodzielne trzyosobowe cele. *I tieu to dac cong*, jednostkę do specjalnych zadań, uważaną za najbardziej niebezpieczną w systemie VC. Oddziały samobójcze. Specjalne działania sabotażowe w rejonach pozostających pod kontrolą ARVN. Wysoce ryzykowne akcje przy użyciu granatów. Zespoły zabójców.

Uczyli się o algierskich moussebelinach, czyli oddziałach śmierci, grupach podejmujących skrajnie ryzykowne operacje niezależnie od miejscowego wojska. Omawiali akcję sieci bombowej FLN – działającej poza Casbą – która pomimo niewielkich środków zdołała utrzymać terror przez prawie rok.

Selvy’emu wydawało się to dziwne, że oficerowie wywiadu ogromnego mocarstwa przemysłowego byli gotowi przejąć technikę działania źle wyekwipowanych rewolucjonistów, których działania w sposób bezpośredni czy pośredni były sprzeczne z interesami Stanów Zjednoczonych. Termin „wróg” nie istniał, mówiło się jedynie o „nacisku na sprawy wewnętrzne”.

W Mines szkolono grupy związane z różnymi agencjami, amerykańskimi i obcymi. Od należących do nich ludzi Selvy słyszał ciągle o wyczynach pierwszego głównego oficera szkoleniowego, człowieka w większym niż inni stopniu odpowiedzialnego za stosowane aktualnie techniki i postępowanie. Earla Mudgera. Podobno nadal utrzymywał się w branży, gdzieś na Wschodzie.

– Pamiętasz czekoladowe papierosy? – spytała Nadine.

Selvy jechał dwupasmową drogą, aż natrafili na restaurację. Było to długie pomieszczenie, w którym przy jednym ze stolików stanowy policjant konny rozmawiał z kelnerką w miękkich sportowych butach.

– Brakuje ci petów? – spytał Selvy.
– Chyba żartujesz.
– Times Square.
– Ręka, noga, biodro, pierś.
– Myślisz, że ta kobieta podejdzie i przyjmie od nas zamówienie przed zachodem?

– Glen, ona ma gościa.
– A co on robi?
– Chyba węszy.
– Też tak myślę.
– Chyba chce wyciągnąć nogi.
– Przywołaj ją – powiedział.
– Po co ten pośpiech?
– Żeby wrócić na naszą prostą.

Kiedy przyniesiono posiłek, jedli w milczeniu. Po liściu sałaty na talerzu Selvy'ego wędrował mały biały robak. Selvy jadł dookoła niego.

– Kiedyś pracowałam w Langtry w Café Sample – odezwała się Nadine. – To niesamowite, że nasza prosta prowadzi obok mojej siostry i obok taty.

– Chcesz się z nim zobaczyć, prawda?

– Nie wiem – odparła. – Był niezłym draniem, wszelkie chwytaki dozwolone. Tylko dzięki mamie dawało się wytrzymać. Kiedy umarła, Joanie od razu przysła. Mnie zajęło to trochę więcej czasu. Zawsze dopiero po jakimś czasie dostrzegałam, co jest grane. Ale teraz widzę to odrobinę wyraźniej. Ojciec po prostu nie jest specjalnie w porządku.

– Mieszka sam?

– Gdybyś zobaczył dom... To rudera, prawie. Połowę rzeczy w naszym domu mama robiła ze starych worków po paszy. Ścierki, ręczniki, serwetki, nawet sporą część naszego ubrania. Poszewki na poduszki. Poszewki na poduszki z worków na paszę. Sukienki i spódnice z worków na paszę.

– Wtórna przeróbka surowców?

– Bieda.

Ponad pół kilometra od autostrady mijali porzuconą farmę. Selvy zjechał w chwasty. Sięgnął do pudła na tylnym siedzeniu i wyjął mniejszy z dwóch rewolwerów, kaliber 38. Przeszedł przez bramę i skierował się do studni niedaleko budynku mieszkalnego. Położywszy rewolwer płasko na odwróconej spodem do góry dłoni, podrzucił go z metr w powietrze i

patrzył, jak wpada do studni. Doszedł go tępy, stłumiony plusk.

Nadine, patrząc na zachodzące słońce, zerknęła na niego, kiedy wracał do samochodu.

– O co chodzi z tą linią prostą? – spytała.

Jeszcze w Waszyngtonie uświadomił sobie, że coś się zmieniło. Do jego hotelu przyszedł człowiek nazwiskiem Lomax. Nie wspomniał ani o BZK/BO, ani o Służbach Dywersyjnych. Ludzie, z którymi Selvy pracował, już nie odpowiadali na jego telefony. Wyglądało na to, że nie będzie już dostawał pensji.

Lomax wziął go na przejażdżkę czarną limuzyną. Powiedział, że Radial Matrix zerwała wszelkie stosunki z oficjalnymi agencjami rządowymi. Planowanie systemów nadal będzie się odbywało w kwaterze w okręgu Fairfax. Tam będzie się organizować wszystkie tajne działania. Nie było innej kwatery. Nie istniał schemat organizacji. Nie istniała struktura ani infrastruktura. Tylko mgliste kierunki dowodzenia.

Lomax powtórzył to, czego Selvy nauczył się w Mines. Ruchy rebelianckie czerpały siłę z faktu, że łączyły funkcje polityczne z wojskowymi. Tutaj również – twierdził Lomax – jest podobnie: operacje biznesowe łączą się z tajną działalnością. Jedna nie wspiera drugiej, tylko jest z nią jednoznaczna.

Selvy podróżował po Ameryce Północnej, potem po Europie i po niektórych rejonach Azji. Zbierał informacje o konkurentach Radial Matrix. Dokonywał tajnych wypłat reprezentantom jej potencjalnych klientów. Płacił tajne prowizje agentom obcych rządów. Zaaranżował zniknięcie agenta handlowego na wakacjach w Grecji. Finansował bombardowanie przez terrorystów fabryki maszyn. Prawnie uzasadnione wydatki związane z biznesem.

Lomax wezwał go z powrotem do Stanów. Potrzebowali recenzenta. Zajęcie tymczasowe. Z komputera wyskoczyło I nazwisko Selvy'ego.

Cztery dni w tygodniu chodził do białego drewnianego domu w Alexandria Kobieta nazwiskiem Steinmetz udzielała mu prywatnych wykładów z historii sztuki, ze slajdami. Towarzyszyła mu w wyprawach do Galerii Narodowej i Muzeum Hirschhorn. Pokazywała mu reprodukcje dzieł o wydzwiku erotycznym i omawiała ich wartości estetyczne.

Dwa dni w tygodniu chodził do lokalu wynajętego w biurowcu nieopodal Union Station. Tutaj niejaki pan Dempster zapoznawał go z protokołem i procedurami obowiązującymi w Izbie Reprezentantów i Senacie. Dostarczał lektury poświęconej temu tematowi. Ostatecznie Selvy

przedłożył życiorys — pochodzenie, wykształcenie, ostatnie miejsce pracy i tak dalej. Wszystkie dane były do sprawdzenia, ale niezgodne z prawdą.

Szef personelu Percivala był pod wrażeniem. Zaaranżował rozmowę wstępną z senatorem. Ten uparcie powracał do kwestii kompetencji Selvy'ego w dziedzinie sztuki. Zaprosił go na lunch, podczas którego zaangażował Selvy'ego.

Znów pojawiła się czarna limuzyna. Lomax powiedział mu, że do odwołania będą mu płacić za pośrednictwem działu listów nie doręczonych. W opracowaniu był schemat emerytalny.

Przez miesiąc pracował w biurze Percivala. Senator wydał małą kolację w swoim domu w Georgetown. Selvy pozostał dłużej niż inni goście. Wypili kilka drinków. Rozmawiali. Napili się jeszcze jednego. Senator pokazał mu pokój z kołem obrotowym i antycznym biurkiem. Potem przeprowadził go przez kominek do wnętrza domu obok.

– To jest moje prawdziwe życie – oświadczył. – Taki jestem.

Pozostawili za sobą wzgórza i wjechali w rejony wielkich równin – nie łamiąca się linia horyzontu i pustka. Jechali powoli, zatrzymując się przy głównej drodze, kiedy nadarzała się okazja, żeby coś zjeść czy odpocząć. W niektóre dni pokonywali zaledwie trzydzieści kilometrów. Selvy niewiele sypiał. Noce były chłodne.

Na małym wzniesieniu w oddali wypatrzył zakręt. Zamknął oczy i puszczając kierownicę ustawioną na godzinie czwartej, policzył do siedmiu. Wtedy samochód miał dojechać do zakrętu.

Richie Armbrister siedział nagi w saunie. Mężczyzna rozparty naprzeciwko niego na ławce też był nagi. Richie usiłował przyjrzeć się jego twarzy przez mgłę pary, ale dyskretnie. Mężczyzna był pulchny. Prawdopodobnie tuż po czterdziestce. Trochę siwizny na skroniach. Sprawiał wrażenie odprężonego, co wskazywało, że czuje się tu jak u siebie albo tak mu się wydawało.

Wymielili przez parę blade uśmiechy.

Richie wstał i wytknął głowę przez drzwi. W części przeznaczony dla pasażerów trwało przyjęcie. Jedni tańczyli, a inni siedzieli, jedząc i pijąc. Z kabiny dla załogi, zza zasłony z paciorków, wyłonił się drugi pilot i wziął kanapkę podaną mu przez dziewczynę ochroniarza Richiego.

Właśnie jego wzroku szukał. Ochroniarz nazywał się Daryl Shimmer. Smukły Murzyn muskał parkiet, zatacając się w tańcu. Richie zastana-

wiał się, dlaczego to zapamiętanie – tak typowe dla jego otoczenia – służyło innym celom niż jego własny spokój umysłu.

Nie udało mu się zwrócić na siebie uwagi Daryla, więc zamknął drzwi, wziął dzbanek i nalał wody na rozgrzane kamienie. Usiadł.

Mężczyzna pochylił się ku niemu we mgle.

– Chcemy porozmawiać o puszcze z filmem.

– My, to znaczy kto? – spytał Richie.

– Ty i ja.

– Ja wcale nie chcę rozmawiać o żadnej puszcze z filmem.

– Jest w tym samolocie. Chyba mówię za nas obu.

– Uważasz, że mówisz za nas obu o czym?

– Że jest w tym samolocie.

– Nic z tego, o czym mówisz, nie znajduje się w żadnym znanym mi samolocie.

– Richie, bądź dorosły.

– Czy my się znamy?

– Nazywam się Lomax.

– Dlaczego tu jesteś?

– Mógłbym ci powiedzieć, że miałem się spotkać z kimś innym. Na pokładzie innego samolotu. Że coś się pomyliło i znalazłem się w niewłaściwym. To jedna wersja.

– Nikt cię nie sprawdzał? Nikt ci nie zadawał pytań?

– Najwyraźniej należę do ludzi, którzy łatwo wtapiają się w do. Nie rzucam się w oczy. Musiałem się tego nauczyć. Dobrze się wtapiać. Nie odstawać.

– Wiedzą, że tu jestem. Daryl i tamci. W razie gdybyś nie był pewien.

– Mam jeszcze inną wersję.

– Nie chcę jej słyszeć.

– Przecież jesteś już dorosły, Richie, więcej nie urośniesz. Powinniśmy traktować się jak dorośli.

– Taa, ale teraz powinienem zacząć się ubierać, bo niedługo będziemy lądować.

– Z pewnością.

– Nawet w ubraniu lądowanie nie jest zbyt przyjemne.

– Rozumiem – rzekł Lomax. – Potem jeszcze pogadamy.

Richie ubrał się i wyszedł do pomieszczenia dla pasażerów. Zatrzymała go młoda kobieta o imieniu Pansy. Była dziewczyną Daryla Shimmera i przez długie tygodnie usiłowała wpłynąć na Richiego, żeby kupił

mu na urodziny mały samochód do jeżdżenia po plaży, z chromowanymi rurami wydechowymi. Richie jakoś nie miał na to ochoty.

– Rozejrzyj się dookoła – powiedział do niej. – Popatrz na tych wszystkich imbecyli w wielkich okularach, obwieszonych męską biżuterią, z wymodelowanymi jak rzeźby włosami. Jakby nosili hełmy. Nigdy nawet nie drgną, chyba że zacznie się trzęsienie ziemi. Wyrzuć ich stąd, razem z tymi ich rozchełstanyimi koszulami i butami jak z księżycy. Chcę czegoś normalnego. Chcę zwyczajności. Ludzi z prawdziwymi włosami. Chcę, żeby tu było mniej orgastycznie. Wszyscy wyglądają, jakby szczytowali. Wchodzę do magazynu, pełno tam zespołów muzycznych, ludzie się wiją. Wsiadam do samolotu, nadal się trzęsą. Nigdy to się nie kończy. Co się stało z normalnością? Gdzie jest normalność?

Jakiś kwadrans później kiedy samolot zbliżał się do D-FW, Lomax siedział zapięty pasem na fotelu obrotowym i chrupał palone orzeszki. Ludzie nadal tańczyli. Zerknął na Richiego Armbristera. Kiedy samolot schodził nad pas lotniska, ten przybrał bezpieczną pozycję. Nie miał na nogach butów. Pomiedzy zapięty pas a żołądek wcisnął sobie poduszkę. Druga poduszka leżała na kolanach. Oparł na niej głowę, pochylając korpus mocno do przodu. Kościste ręce zakleszczył pod kolanami.

Nadine przeciągnęła się w poprzek motelowego łóżka i sięgając nad Selvym, skierowała cylindryczną lampkę do czytania prosto na jego twarz.

– Kim jesteś?

– W jakim sensie?

– Analizuję twoje rysy.

– To znaczy pod kątem rasy. Pod kątem typu i tak dalej.

– Kim jesteś?

– Indianinem.

– Nie wyglądasz jak Indianin.

– Ćwiczyłem, żeby inaczej wyglądać. Można wykonywać specjalne ćwiczenia. Napinanie mięśni.

– To nie są indiańskie rysy, Glen. Nie należysz do rasy indiańskiej.

– Jeżeli ćwiczysz, możesz się zmienić. Zaczynasz od lustra. I jest podobnie jak ze wszystkim. Liczy się jakość. Kupujesz sobie lustro dobrej jakości.

– Jeżeli jesteś Indianinem, to nazwisko, które przez te wszystkie lata podajesz ludziom, nie jest twoim nazwiskiem. Jak naprawdę się nazywasz jako Indianin?

– Łańcuchowy Pies – odparł.

III

Marathon Mines

1

Van nie mógł jeszcze przyjmować niepełnych pokarmów. Odżywiał się koktajlem mlecznym i zupą. Cao zauważył, że nigdy nie narzekał, wydawał się jedynie bardziej niż zwykle skoncentrowany. A to było gorsze od narzekań.

Słuchali muzyki country, jadąc bez zatrzymania się przez Lexington, Bowling Green, Memphis, Little Rock, Dallas, San Angelo w kierunku punktu na mapie o nazwie Ozona.

Znaki drogowe zbijały Cao z tropu. Okolica stawała się dzika, pusta i rozległa. Chciał zawrócić. To, że jechali dalej, było dziełem Vana. Policzek miał jeszcze mocno posiniaczony. Górna warga była spuchnięta i sina. Kiedy nie prowadził, co chwila patrzył na mapę.

W Ozonie, samotnym miasteczku rozległego okręgu, zobaczyli toyotę taką jak ta, której szukali. Stała zaparkowana obok stacji benzynowej, z dala od pomp. Na błotniku siedziała młoda kobieta i piła colę. Cao wziął lornetkę i sprawdził rejestrację. District Columbia. Numery się zgadzały.

Komandosi zaparkowali na głównym placu. Van pokazał partnerowi mapę, wskazując z podnieceniem na wyrysowaną przez siebie linię z Nowego Jorku, skąd wyruszyli. Przebiegała przez punkt styczny z zakrętem rzeki Ohio w pobliżu Huntington, gdzie wpadli w zasadzkę i zostali upokorzeni, a potem biegła w dół przez cztery stany do Meksyku. Linia była prosta i przebiegała niedaleko Ozony.

Cao był szczęśliwy, ponieważ Van był szczęśliwy. Postanowili, że Van zatelefonuje do Earla Mudgera. Van znał nazwy miejscowości i łatwiej mu było je wymawiać.

Moll siedziała na tylnym siedzeniu taksówki, myśląc, że to niewątpliwie najlepsza pora roku – jesień rześka i wyrazista. Kierowca ciągle spóźniał się na światłach, mamrocząc pod nosem.

Na jednym ze świateł z prawej strony pojawił się samochód, srebrny chrysler. Kątem oka Moll obserwowała, jak opuszcza się szybka po stronie kierowcy. Stopniowo nikły odbicia w szybie, pojawiła się natomiast uśmiechnięta twarz Earla Mudgera.

– Dzwoniłem.
– Raz.
– Rozumiem – powiedział. – Prowadzisz punktację.
– Zostawiłeś numer?
– Rzeczywiście istnieje punktacja. Więc straciłem punkty.
– Chyba nie zostawiłeś numeru.
– Dzwoniłem tylko raz i nie zostawiłem numeru. Już po mnie. Przepa-
dłem. Trudno o gorszą punktację.

Zmieniło się światło. Kierowca poderwał taksówkę do przodu. Mudger jechał w takim tempie, żeby jego przednie drzwi zrównały się z tylnymi taksówki.

– Twój samochód czy mój? – zapytał.
– Odpowiada mi to, co jest.
– Coś ci powiem.

Trąbiły klaksony. Kierowca taksówki znowu mamrotał. Jechali po Central Park West. Mudger nagle docisnął do dechy. Przez ułamek sekundy słycać było pisk opon, po czym chrysler wyrwał do przodu. W połowie przecznicy Mudger zwolnił, by zawrócić, i wjechał na parking. Otworzył drzwi, wysiadł bez pośpiechu, wszedł na przejście dla pieszych, gdy nadjeżdżała taksówka. Nie zatrzymał się, zmuszając w ten sposób kierowcę do zahamowania, obszedł samochód i wszedł tylnymi drzwiami. Moll przesunęła się na siedzeniu. Dźwięki klaksonów z tyłu robiły się coraz bardziej natarczywe. Mudger zamknął drzwi.

– Do parku – polecił kierowcy. – Proszę skręcić przy najbliższej okazji i zrobimy parę okrążeń w parku.

Popatrzył na Moll.

– Masz słabość do starych taksówek.
– Mają charakter.
– Nie umiem z tobą rozmawiać. Wiesz o tym? Chyba dlatego tu jestem. Żeby się nauczyć z tobą rozmawiać.
– Sądziłam, że nasza pogawędka wypadła całkiem niezłe.
– Ustawiłaś mnie w pozycji obronnej – powiedział.
– To było na twoim terytorium.
– Nie wiesz, jak się do mnie zwracać, prawda? Mamy pewne kłopoty z imionami.

– To było na twoim terytorium. Ty kierowałeś ruchem.
– Jest między nami pewne napięcie.

Byli już w Central Parku, zmierzając na północ w kierunku skrzyżo-

wania z Osiemdziesiątą Szóstą Ulicą.

– Podobno jesteś tu w interesach?

– Zbieram klientów.

– Do czego?

– Do końcówki Mudgera.

– A tak, pamiętam, twój wynalazek.

– Stal – dodał.

Zmierzając na wschód, minęli boiska siatkówki, gdzie grywała w tenisa z Selvym. Przekląć dranie. Kim byli i czego chcieli?

– To twoje terytorium – rzekł. – Co oznacza, że nie mam najmniejszych szans.

– Ale dalej decydujesz o przyjazdach.

– Tylko o swoim własnym.

– Dokonujesz rekwizycji taksówek. Ten starszy człowieczek jest przerażony.

– Jak już trochę pojeździmy i odwalimy ten cały dialog, powinniśmy pójść na kolację.

– Zarzuciłam to – powiedziała.

– Co jeszcze zarzuciłaś?

– Sam zgadłeś.

– Ale jakże to możliwe?

– Ulotnił się z tego humor. Zasadniczo jest to zabawny sposób spędzania czasu, ale śmiech pojawia się coraz rzadziej.

– Dwa mity na temat kobiet. Dostrzegają humor w seksie i potrafią docenić takie nastawienie u mężczyzn. Kobietom znacznie bardziej zależy na czułości niż na samym akcie, łącznie ze wszystkimi akcesoriami – techniką, proporcjami i tak dalej.

– Kto mówi o seksie? Mnie chodzi o filmy. O chodzenie do kina.

– Przecież powiedziałem. Nie mam szans. Po prostu zapało mi dech.

– Dlaczego nasze potyczki i utarczki sprawiają ci taką przyjemność?

– To się rzuca w oczy? Nie wiedziałem.

– Chyba nosi to nazwę kretyńskiego uśmiešku.

– To mój uśmiech wojskowy. Jakoś nie mogę się go pozbyć.

– Wszyscy czytaliśmy o tym, jak trudne jest to przejście dla frontowych weteranów. Pewnego dnia znajdujecie się w lokalnym ośrodku przesłuchań, nadzorując torturowanie jakiegoś wieśniaka.

– Lepiej trochę zwolnij – zaproponował.

– A następnego dnia z powrotem w Stanach, rozglądacie się wokół

lekkoszołomieni. Więc nic dziwnego, że ciągle uśmiechasz się tak samo. Wiem, że ten wieśniak był niebezpieczny. Wróg czaił się wszędzie.

– Wychodzisz chyba poza swoje terytorium.

– Fakt – przyznała. – To przesada i zarozumiałość, żeby cywil krytykował Tych, Którzy Tam Byli. Rozumiem. Jednak zawsze uważałam, że najlepsze jest spojrzenie obiektywne, a odległość czasem nadaje mu ostrości i precyzji. Te tysiące kilometrów. Cierpienie, które obserwujemy po każdej ze stron, może okazać się kłamstwem. Ale generalnie masz rację. Śmieszne dążenie do sprawiedliwości sprawia, że wyraźnie dostrzegam twój punkt widzenia. Zgadza się też, że wykraczam daleko poza swoje terytorium. Trzymajmy się więc bliżej domu. Tego, co słyszałam i widziałam.

Taksówka jechała zachodnim skrajem parku w kierunku śródmieścia.

– Ty i senator gonicie za tym samym. Wiem, co to jest, choć nie mogę powiedzieć, że do końca pojmuję rozmaite motywacje. Nie szkodzi. Ważne, że z tego powodu zabito człowieka.

– Sądzisz, że to ważne?

– Zasluguje na uwagę.

– Moim zdaniem nie jest aż tak istotne.

Był zbyt blisko, lewą rękę przesunął po oparciu siedzenia.

– Uczysz się, jak ze mną rozmawiać? – zapytała.

– Co?

– Powiedziałaś, że nie wiesz, jak ze mną rozmawiać. Podobno dlatego tu jesteś.

– Czegoś się uczę. Tylko nie bardzo wiem czego. Uważasz, że to ważne. Zabito człowieka. Czy uważasz, że było to ważne przed dziesięciu laty? W czasach twojego eksperta od rozbiórki?

– A więc wiesz o nim. Mogłam się tego domyślać.

– Oczywiście wiem. Wielki, nieżyjący Gary Penner. I ty, dziewczyneczka w żakieciku z epoletami. Ile osób Gary umieścił na orbicie, wykonując swój zawód? Powinnaś to wiedzieć. Żyjąc z tym człowiekiem. Bo żyłaś z nim. Kilku nocnych stróżów. Kilku przechodniów. Jakaś ręka, jakaś noga.

Wyjrzała przez okno.

– Nie brałaś w tym bezpośredniego udziału. Zabawne było samo przyglądanie się z boku. Ale wydorowałaś, prawda? Terror nie jest już artykułem erotycznym jak niegdyś. Za dużo wiemy. Za dużo widzieliśmy.

Przerzucamy się na ekologiczne ogrodnictwo.

– Uważasz, że wydorosłałam?

– Poniekąd. Do pewnego stopnia. Na tyle, by wyznaczyć granicę.

Uśmiech. Przechylenie głowy w prawo.

– Mówię ci wyraźnie, że wcale nie dzieje się tak, jak myślisz. Dalej obowiązują te alianse, które kiedyś dla ciebie porozplątywałem. Sama widzisz. Znowu stawiasz mnie w pozycji obronnej.

– W kontaktach osobistych potrafisz być przekonujący. Pierwsza to przyznaję.

– Istnieje to napięcie. W powietrzu trochę iskrzy. Ale może nie powinienem się tym przejmować. Może to dobry znak. Niewykluczone, że źle to interpretuję. Czasami należy podtrzymywać napięcie. Bo ono czasami bywa cholernym stymulatorem, to nie ulega kwestii. Widzisz, w domu wszystko jest tak bezproblemowe, tak spokojne, że człowieka łatwo się wypłoszy byle kpiną w takim miejscu jak Nowy Jork. Wszystkie te strzały z bata, ostre kanty. Stosunki osobiste działają jak urządzenie mechaniczne. W atmosferze naprężona struna. Ludzie wiedzą, czego chcą. W rozmowach prowadzonych w restauracjach czy sklepach słychać zgrzytliwe skamlenie maszyny. Pod powiekami kobiet przez cały czas przesuwają się cyfry. Zastanawiam się, co one widzą. Mam wrażenie, że kobiety w Nowym Jorku zawsze coś trzymają w zapasie, zawsze coś ukrywają, zostawiają jakieś nadwyżki. Dla kogo, dla kogo? Dla swoich analityków. Dlatego właśnie łysi Żydzi zawsze wyglądają na szczęśliwych. Nikt nie ma tajemnic przed łysym Żydem. Dostaje wszystkie resztki, najbardziej interesujące kawałki, najbardziej tłuste, najbardziej wilgotne, najśłodsze i najlepsze. Pozwól, że spróbuję rozszyfrować to napięcie między nami. Ciekaw jestem, czy potrafię rozpoznać, co tak cieszy ludzi w tych niejasnych kodach, jakie wysyłają w przestrzeń, w tym całym nerwowym naprężeniu. Pewnie to napięcie stanowi silny bodziec, napęd. Wróży coś dobrego. Może w tym wszystkim jest jakieś szaleństwo? Jak sądzisz? Kto wie? Jakaś totalna ponaddźwiękowość.

Znowu zaczął przysuwać się w jej stronę. Zmierzch. Taksówka oddalała się teraz od śródmieścia. Brązowawe kamienne budynki Piątej Alei. Blask pojawiający się na twarzy Mudgera. Jego świetliste niebieskie oczy zdawały się wczepione w twarz niezależnie od jej innych rysów. Wyrażały wrażliwość i odrębność, których nie kojarzyła z Mudgerem, choć dopuszczała możliwość pomyłki. Wystarczyło jedynie przypomnieć sobie wszystkie kolejne nastroje, które zdążył stworzyć i zburzyć w sto-

sunkowo krótkim czasie, jaki razem spędzili w taksówce.

Wolałaby odłożyć ocenę, nie wykorzystywać w pełni swojej zdolności postrzegania sedna rzeczy. Podczas wcześniejszego spotkania z Mudgerem w Wirginii, siedząc pod szkarłatnymi dębami, miała wrażenie, że kontaktują się przez półprzezroczystą zasłonę czy cienki ekran w teatrze. To była jej słabość. Lubiła dryfować na obce terytorium. Tak było przez pewien czas z Selvym. Tym drugim skurwysynem. Skurwysynem zupełnie innego rodzaju.

Teraz jednak sytuacja była jaśniejsza. Potrafiła śledzić linię ataku tego mężczyzny, tamtego czy jeszcze innego, niemal do końca. Pozostawało tylko jedno istotne pytanie natury retorycznej, zawodzenie zresztą tylko dla efektu: kim są ci dranie i czego chcą?

Minęli konną dorożkę, czwórka turystów kulila się z zimna. Po drodze goniły się jakieś dzieci, co spowodowało, że kierowca znowu zaczął mamrotać. Mudger siedział z głową odchyloną do tyłu. Zauważyła skaleczenia i blizny na jego palcach, wyżartą skórę przy paznokciach kciuków.

– Z kim ostatnio sypiasz? – zapytał.

– Ojciec zadawał mi takie pytanie.

– Był zazdrosny?

– Po prostu przemądrzały i trochę głupi.

– Powinnaś była przespać się z Percivalem. On zna ciekawych ludzi. Miałabyś zmyślną zabawę. Hulankę w bród. Mogłabyś napisać książkę. Wszystko o Lloydzie. Chętnie popisywałby się kimś takim jak ty. Rozmawiam z Lloydem. Niebezpośrednio. Istnieją odpowiednie kanały. Utrzymywanie kontaktu nigdy nie zaszkodzi.

Szykował się do wygłoszenia kolejnej wyczerpującej mowy. Podczas ich pierwszego spotkania Moll zauważyła, że on stara się zastrzec sobie prawo pierwszeństwa do przekonań i poglądów, którym według niego hołdowała. Uznała, że to zabawna taktyka.

– Ludzie rodzą się konserwatystami. Muszą się nauczyć liberalizmu. W gruncie rzeczy wszyscy jesteśmy konserwatystami. Mówię o ludziach u steru. Lloyd jest tego przykładem. Powoli, zdecydowanie zmienia się. Postęp, drobne reformy, stary Lloyd wyrobił sobie nazwisko. Ale to pokłósie, przypadki, przyrosty tu i tam. W końcu wszystko to spłynie. W pewnym momencie wszystko sprowadza się do czystej biologii. – Uśmiechnął się blado, jakby przewidując żart na własny temat. – Wracasz do własnych początków. Czymże jest starość, jeśli nie rodzajem

umęczonego dzieciństwa? Zmniejszasz się fizycznie. Zaczynasz paplać. Robisz się seksualnie nijaka.

– Biedny Lloyd Percival.

– Wycofam się, zanim przydarzy mi się któraś z tych strasznych rzeczy.

– Już to mówiłeś.

– W tym kraju następstwem tajności i władzy jest litość nad sobą. Chcę tego uniknąć, jeśli się da.

Licznik wybił dwadzieścia jeden dolarów.

– Earl, to do niczego nie prowadzi.

– Przynajmniej mówisz mi po imieniu.

– To oznacza koniec napięcia. Tych wszystkich energii, które podobno wyczuwasz w powietrzu.

– Wyczuwam tylko to, co jest.

– Koniec przejażdżki.

– Szkoda.

– Twoich specjalistycznych bredni przeciw mojej zboczonej wrażliwości.

– Ona nareszcie się rozgrzewa.

– Gdyby brednie tworzyły muzykę, byłbyś orkiestrą dętą.

– Nie kończ jeszcze.

– Naprawdę już koniec.

– Co jeszcze masz?

– Nic więcej – odparła.

Mudger pochylił się w stronę kuloodpornej szyby.

– Proszę skręcić w lewo – powiedział do kierowcy.

– Skręcić w lewo, skręcić w prawo – mamrotał kierowca.

– Wygląda na to, że staruszek mnie nie lubi.

– Jego miejsce jest w archiwum – wymamrotał taksówkarz nad kierownicą.

– Malowniczy typ.

– Ustny przekaz historii. Mów dalej, poszukam muzeum.

– Powinien powozić dorożką. Powinieneś jeździć dorożką, mając tak barwną osobowość.

Mudger z uśmiechem odchylił się do tyłu. To nie było satysfakcjonujące zakończenie. Karykatury i drwiny. Moll uznała, że nie zostały docenione jej odczucia, bardzo złożone.

Lunał deszcz. Taksówka zatrzymała się przed jej domem. Mudger sie-

dział w ciemności, patrząc przed siebie. Nie odezwał się, dopóki Moll nie sięgnęła do klamki, a wtedy zaczął mówić bardzo cicho. Deszcz uderzał w dach i bagażnik samochodu, musiała więc mocno się skupić, żeby go słyszeć.

– Tylko raz widziałem cię w ruchu. Kiedy szłaś w stronę mojego domu. Wsiadłaś z limuzyny i wolno szłaś w stronę domu. Pamiętam to. Wyryło się w mojej pamięci. To twój najwyraźniejszy obraz. W ruchu. Długie nogi. Długie nogi mnie dobijają. Umarłbym dla długich nóg. Widzę, jak idziesz. Niepewna, naprawdę nie wiesz, gdzie jesteś. Urocze, wyjątkowe ciało. Wybacz bezceremonialność. To wyjątkowe ciało. Potem stoisz nieruchomo. Patrzysz na mnie w drzwiach. Chciałbym dotknąć tego ciała. To mocno powiedziane. Bezceremonialnie. Brzmi wręcz gwałtownie. Ale to właśnie chciałbym robić. Moje ręce, te nogi. Poczuć te długie nogi oplecione wokół mnie. To właśnie myślałem, stojąc w progu. Kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy. Chciałbym dotknąć rękami tego ciała. To musi się zdarzyć – pomyślałem. Musi. Pragnę tej suki. Będziemy się pieprzyć, aż się nam zakręci w głowach. Będziemy chodzić jak błędni przez dwa tygodnie. Staram się nie być prymitywny. Choć nie sądzę, żeby ci to przeszkadzało. Kobiecie takiej jak ty już nie przeszkadzają takie rzeczy. Przy takich długich nogach jak twoje nie przeszkadza ci dosadny język, odrobina prymitywu. Przy takich nogach jak twoje, przypuszczam, że nie możesz się zrażać bezceremonialnością, jakimś prostackim słowem. To jest numer dwa. Patrzę po raz drugi. Tym razem oddalasz się. Cipa. Czyż nie? Tylko tym razem odchodzisz, nie przychodzisz. Prawda? Cipa. Dziwka. Cipa.

Przez cały czas mówił miękko, niemal w zadumie, do samego końca, więc w jego słowach pobrzmiwała osobliwa melancholia, ton tęsknoty. Oczywiście, dziwne było, że wybrał taki ton głosu, zważywszy na to, co miał do powiedzenia. Brzmiało to jak oficjalna deklamacja. Coś wyuczonego na lekcję. Tak jak recytacja. Rzeczowa, nie pozbawiona urody narracja. Spokojne, cudownie zdystansowane, raczej wzruszające wyliczenie drobnych prawd.

Przeszła w deszczu do drzwi wejściowych. Na górze najpierw rzucił jej się w oczy dymiący pistolet, neonowa rzeźba, którą kupiła dla upamiętnienia ostatniego wieczoru spędzonego w Barze Tropikalnym Frankiego. Z tamtym skurwysynem. Tamtym zupełnie innym skurwysynem. To wszystko takie dziwne. Przez dłuższy czas odczuwała przygnębienie.

Telefon w samochodzie Mudgera był przymocowany za przednim siedzeniem, po stronie pasażera. Kiedy zadzwonił, Mudger położył lewą nogę na gazie, wychylił się w prawo i wyciągnął rękę za siedzenie, nie odrywając wzroku od drogi.

Jego kierowca odszedł przed tygodniem, żeby podjąć pracę w Parku Narodowym w Arizonie. Z polecenia lekarza – wyjaśnił. Suchy klimat. Mudger wiedział, że wraca do BZK/BO.

Dzwonił Lomax z Dallas.

– Earl, jest pewien postęp.

– Mianowicie?

– Nawiązałem kontakt. W istocie przyleciałem samolotem szczeniaka.

Wzięła górę tak zwana karnawałowa atmosfera.

– Jak ci się to udało?

– Bez trudu. Ale nie zlokalizowałem przedmiotu. Następny krok to magazyn. Richie jest trochę nerwowy, chyba jednak potrafi nas wprowadzić do środka.

– Rozumiem, że jest tam fosa pełna krokodyli.

– Mają psy. To znacznie bezpieczniejsze niż DC-9.

– Odzywał się Van.

– Gdzie jest?

– W południowo-zachodnim Teksasie.

– A jak tam jego twarz? Jeszcze boli?

– Znaleźli obiekt.

– Chryste! Naprawdę? To fantastyczne. Zgoda, mówięś. Załatwią to. Przyznaję, że mnie nabrali. Koniec kpin z komandosów.

W ulewnym deszczu Mudger minął mercedesa przy zjeździe na Jersey, trzymał telefon wciśnięty pomiędzy ramię a głowę.

– On chce, żeby go znaleźć.

Chwila milczenia, bo Lomax rozważał usłyszaną informację.

– Earl, wytłumacz, o co chodzi.

– Chce, żeby go znaleźć. To całe wytłumaczenie. Jak inaczej, do diabła, mogliby go znaleźć?

– Dlaczego chce, żeby go znaleźć?

– Nie wiem.

– Zatrzymali się czy jadą?

– W dalszym ciągu jadą.

– Dokąd, jak myślisz?

Mercedes pojawił się w polu widzenia po lewej. Mudger przyspieszył.

- On zmierza do Mines.
- Niewykluczone, skoro już zawłókł ich tak daleko.
- Na pewno zmierza do Mines.
- Czy Van zdaje sobie sprawę, że tamten wodzi go za nos?
- Artur, prawdę mówiąc, on był tak cholernie szczęśliwy, że nie miałem serca mu powiedzieć.

Cao odszedł od przydrożnego kiosku, jedząc taco. Wsiadł do mikrobusu, Van ruszył, najwyraźniej zniecierpliwiony. Na tablicy rozdzielczej stało zdjęcie. Cao sfotografował polaroidem swego kumpla stojącego przed pomnikiem Davy Crocketta na rynku w Ozonie.

2

Talerico oglądał rośliny ustawione na panoramicznym oknie dużego pokoju. Samochód policyjny skręcił w ulicę i powoli przejechał. Żółte krążowniki. Gliny z małymi schludnymi wąsikami jak oficerowie w filmach o pierwszej wojnie. Obserwował, jak samochód skręca i kieruje się w stronę pola golfowego. Żona za bardzo podlewa bluszcz. Musi jej to powiedzieć.

Córki ciągle pytały o konną policję. Gdzieś zobaczyły zdjęcia. Czerwone mundury i kapelusze o szerokich rondach. Słynna musicalowa jazda. Talerico nie myślał o nich jako o konnych. Dla niego byli Królewską Kanadyjską Policją Konną, kiedy jeździli na tych swoich koniach w jasnoczerwonych mundurach, ale kiedy indziej nie zawsze tak rzucali się w oczy. Uświadomiono mu także istnienie policji prowincji. Nie mówiąc już o brygadzie obyczajówki z Toronto, której funkcjonariusze lubili się zajmować konfiskatą sprzętu i druków, zamykaniem księgarń, lokalików peep show i innych placówek.

Talerico przyjechał z oddziału w Buffalo, żeby przygotować Toronto na twardą pornografię, jeśli i kiedy zostanie zalegalizowana. Tymczasem kręcił się, oscylował na granicy tego, co dozwolone, sprawdzał handel spod lady i nawiązywał kontakty z miejscowymi, których mafia może będzie chciała wykorzystać jako pracowników korporacji.

Na trawniku pojawiła się jego najmłodsza córka, która bawiła się z dziećmi. Po Buffalo, mieście płonących kanap i większych pożarów, łatwo było się tutaj zadomowić. Podobało się szczególnie dzieciakom. Żona też nie narzekała. Sam Vincent tęsknił w skrytości ducha za znajomymi twarzami i głosami. Za matką, siostrą, kuzynami, wujami, siostrzenicami.

Ale w końcu było to zaledwie dwie godziny jazdy od Buffalo i tych dymiących ruin, nieustannie polewanych sikawkami przez przepracowanych strażaków. Tutaj raz w tygodniu jechał do Pasquale Brothers przy King Street, żeby złagodzić tęsknotę za znajomymi rzeczami, i kupował ser, kluski, paprykę, kiełbasę, zimne mięsa, anchois i oliwki.

Spojrzał na zegarek. Dwie godziny różnicy. Trochę za wcześnie na te-

lefon.

Talerico miał porażone nerwy twarzy. Mniej więcej przed rokiem, kiedy wstał rano z łóżka, zobaczył, że prawa strona twarzy jakby się zapadła. Osunęła się jak góra błota. Miał trudności z zamknięciem ust, prawy kącik warg nie domykał się. Sumiaste wąsy zwisały nisko z prawej strony, a głos czasami brzmiał głucho.

Różnica była wyraźna. Lewa strona twarzy pozostała normalna. Prawa była pozbawiona czucia i osadzona niżej od lewej. Była też pozbawiona wyrazu. Kiedy kichał czy mrugał, zamykało się tylko lewe oko. Prawe tkwiło niżej nieruchomo, tępo wpatrzone. Osunięte, pozostawało pod pewnym kątem do drugiego oka. Jak oko zwierzęcia – mówili ludzie. Jastrzębia, węża, rekina. Było tajemnicze i groźne, wytrzeszczone nieruchomo, nie reagujące na to, co działo się na drugiej połowie twarzy.

Vinny Oko.

Zszedł na dół do dziupli. Telefon na dole był połączony z urządzeniem zwanym niebieską skrzynką. Miała ona z grubsza dziesięć na piętnaście centymetrów. Nakręcając nieczynne numery w sąsiednich miejscowościach i uruchamiając następnie niebieską skrzynkę, Vinnie mógł połączyć się z dowolnym miejscem w Stanach czy w Kanadzie, a rachunek płacił za połączenie lokalne. Właśnie drobiazgi zapewniają przewagę.

Tym razem międzymiastowa była do Dallas. Do mężczyzny, którego Talerico znał jedynie jako Żartownisia. Powiedziano mu, że Żartowniś ma kilka sekretarek. Po dziewiątym czy dziesiątym dzwonku telefon odebrał mężczyzna.

– Biuro Nieruchomości B i G.

– Z Żartownisiem.

– Chwileczkę, przełączę.

Pół minuty później odezwała się kobieta.

– Usługi gastronomiczne Sherman Kendall.

– Żartowniś.

– Kogo mam zaanonsować?

– Vincent Talerico.

Słyszał szepty. Jakieś pięć sekund oddechów. Słysząc było, że zadzwonił telefon i damski głos odpowiedział: „Ubiory dla Wysokich Pánów”.

Talerico usłyszał głos mężczyzny, który pierwszy odebrał telefon.

– Vinny Tal.

- Czy to Żartowniś?
 - Przy telefonie.
 - Czy my się znamy?
 - Znasz mnie jako Shermana Kantrowitza. Albo Shermana Kaye.
 - Jasne – zgodził się Talerico.
 - Ty jesteś ten z okiem? Czy to Paul?
 - To ja.
 - Znałem cię przed tym okiem. W Lockport z Bobbym i Moniką. Rozumiem, że go zwinęli.
 - Został włożony do bębna.
 - Gdzie?
 - To chyba nieistotne, prawda?
 - Rozumiem, Tal, nie chcesz wspominać. Domyślam się, że to międzymiastowa.
 - Dzwonię w sprawie niejakiego Richiego Armbristera. Sporo stamtąd wywozi.
 - Preview Distributions. To trzon. Ma około dwustu samolotów na papierze. A na dodatek absolutnie wodoszczelny system księgowania.
 - To ten.
 - O co chodzi, chcesz wejść?
 - Aktualnie interesuje mnie jeden określony towar. Chcę rozwinąć szczeniaka. Przekonać go do innego podejścia.
 - Sprawa osobista?
 - Powinienem się spotkać – wyjaśnił Talerico. – Zjeść obiad.
 - Kto z tutejszych wie, że przyjeżdżasz?
 - Nikt.
 - Nie masz ochoty nikomu powiedzieć?
 - Ty jesteś moim agentem na miejscu. Miej na oku tego Richiego. Zobacz, czy uda ci się dostać do jego fortecy. Niedługo przyjadę. Oprowadzisz mnie po okolicy.
 - Nie powinieneś czegoś powiedzieć? To przyjęty zwyczaj. Mówisz komuś, że przyjeżdżasz.
 - Znany jestem z działań nietypowych. Dzięki temu stałem się legendą.
- Żona Talerica Annette oglądała w kuchni film z Richardem Conte'em na kanale 25 po francusku. Richard Conte był ulubionym aktorem Talerica. Wczesny Richard Conte.

Obserwował Annette pochyloną nad talerzami ze śniadania, skoncen-

trowaną na filmie. Nikt nie koncentrował się tak jak ona. Całkowicie pochłonięta. Zapytana następnego dnia, nie umiałaby nawet powiedzieć, co oglądała.

– Hej!

– Przestraszyłeś mnie – powiedziała.

– Mniej więcej za dwie minuty Richard Conte zostanie zastrzelony.

– Nie wiedziałam, że jesteś.

– Umiera na ulicy.

– Nic podobnego.

– Nalałaś za dużo wody do bluszczu. Wyjeżdżam na półtora dnia, a ty zaczynasz podlewać jak szalona. Ile razy mam ci powtarzać? Zrobić ci wykres?

– Daj mi to obejrzyć.

– Zostaje zastrzelony. Umiera na ulicy.

– Jestem dla ciebie za dobra – stwierdziła.

– Ty nie jesteś dla mnie dobra. To ja jestem dobry dla ciebie.

– Jestem za dobra. To zawsze był mój problem.

– Jestem dla ciebie dobry – przekonywał. – Nawet nie wiesz, jaki dobry.

– Ralphie zawsze mi mówił: „Jesteś za dobra dla ludzi. Nie bądź zawsze taka dobra”. I jak zwykle miał rację.

Talerico rozsmarował dżem na resztkę grzanki.

– A kto to jest Ralphie, do cholery?

– Mój brat.

– Którego wyrzucili z college’u. Który przyniósł wstyd rodzicom. Ten?

– Nie kręć się tutaj. Nie lubię, jak się tu płaczesz. Wyjdź, pobiegaj, jak Kanadyjczyk.

Ugryzł kawałek twardej grzanki.

– Kiedy podlewasz... słuchaj, Annette. Kiedy podlewasz i dajesz albo za dużo wody, albo za często, wtedy robią się małe dziurki na liściach. Wiesz, który to bluszcz. Ten zwisający. Jedyne w dużym pokoju. Ja znowu wyjeżdżam, więc uprzedzam cię, żebyś uważała. Ostrożnie. Nie spiesz się tak z opróżnianiem pojemnika. Za dużo wody i komórki pękają.

– Męczysz mnie. To przez ciebie jestem cały czas zmęczona.

– Jestem dla ciebie dobry. Nawet nie masz pojęcia, co się wyprawia tam na zewnątrz.

Selvy trzymał magnum za lufę. Pochylił się lekko, powoli wysunął rękę do tyłu, potem zręcznie machnął nią w przód i obracając rewolwerem w powietrzu, wrzucił go do Rio Grande.

Wracał polną drogą w stronę Café Sample. W pobliżu domu obok jego samochodu zaparkowana była furgonetka. Na schodach przed wejściem stała Nadine, wyglądała całkiem świeżo.

– Wreszcie się przebrałaś – powiedział.

– Postanowiłam przejść na dzinsową całość.

– Teraz kiedy jesteś w domu.

– Może nawet będę w tym spała. To zresztą realna groźba. Jest tu mój tata.

– Wiem.

Niektóre domy były opuszczone. Inne wyglądały jak widma, najwyraźniej dalej zamieszkałe, nie miały jednak okien, czasami szyby zastąpiono arkuszami miękkiego plastiku, który był podarty i szarpany przez wiatr. Piasek zdawał się wszechobecny, na twardszym podłożu wyraźnie rysowała się płaskorzeźba śladów opon niby plemienne znaki pozostawione dla wyjaśnienia lokalnej pogody i geologii.

Jej ojciec siedział przy kuchennym stole, wyciągał scyzorykiem wnętrzości oprawki neonowej świetlówki. Był starszy, niż oczekiwał Selvy, ogorzały, czerstwy, na szyi miał zawiązaną niebieską wzorzystą chustkę. Funkcjonalne – pomyślał Selvy. Przynajmniej pot nie spływa swobodnie.

– Mój tata, Jack Rademacher. Glen Selvy, przez jedno n.

Siedzieli przez chwilę, rozmawiając o pogodzie. Nadine wyszła kupić lody w jednym ze sklepów przy drodze. Zapanowało milczenie. Jej ojciec cały czas grzebał w świetlówce.

– Chyba proponowała piwo.

– Dziękuję, nie.

– Ja sam nie piję.

– Ostatnio trzymam się z dala.

– Nigdy nie piłem. Nie widziałem powodu.

– Ja piłem – przyznał Selvy. – Ale ostatnio postanowiłem trzymać się z dala. Będzie już ze dwa dni.

– Co ona robiła w Nowym Jorku?

– Grała.

Jack pokręcił głową, jednak nie z niedowierzaniem. Był to rodzaj komentarza, gorzko negatywnego. Wymamrotał coś o stateczniku przy

światłowie. Potrzebny był nowy statecznik.

– Widziała się z siostrą.

– W Little Rock – dodał Selvy.

– Tamta jest zupełnie pomyłona. Wcześniej straciliśmy wszelką nadzieję co do niej. Co ona tam, do diabła, robi?

– Nadine pojechała sama.

– Pewnie sprzedaje ramy do obrazów – powiedział Jack.

Skończył ze światłówką i poszedł na górę. Selvy widział przez okno Nadine rozmawiającą z dwiema dziewczynkami, umorusanymi małolatkami w sukienkach, z których wyrosły. Jack wrócił na dół z parą starych rękawic bokserskich i położył je przed Selvym na kuchennym stole. Były niewielkie i wypłowiałe, niezbyt grubo wyściełane, z łuszczącą się wszędzie skórą.

– Walczyłem kiedyś za pieniądze. Zanim urodziła się jej siostra. W miastach przy granicy. Ich matka chciała, żebym to rzucił. Stoczyłem ponad dwadzieścia walk.

– Czy już wtedy nie był pan za stary?

– Byłem sprawny – wyjaśnił Jack. – Nigdy nie trenowałem. Nigdy nie biegałem tak jak oni teraz. Nie widziałem sensu. Ale jej matka chodziła z pierwszym w brzuchu, więc rzuciłem to.

Odniósł rękawice na górę i po chwili wrócił. Znowu zapanowało milczenie. Nadine powiedziała coś, co rozśmieszyło obydwie dziewczynki. Jedna z nich kilkakrotnie podskoczyła. Śmiała się, trzymając w ustach końce trzech palców.

– Zna pan ten ośrodek szkoleniowy – powiedział Selvy. – Trzeba jechać na zachód do Marathon, a stamtąd na południowy wschód, niedaleko miejsca, gdzie była kopalnia srebra, w bok polnym traktem.

– Mulak, gołąb i przepiórka.

– Czy to jeszcze istnieje?

– Wycofali się stamtąd w lipcu.

– Dokąd?

– Nie powiedzieli. Niech pan poszuka w Ameryce Środkowej.

– Czy wszystko zabrali?

– Zostawili jakieś baraki. Było tam ze dwanaście takich długich baraków. Teraz są dwa, może trzy.

– Dochodziły mnie słuchy, że mogą się wynieść.

– Nie potrafię panu powiedzieć dlaczego. Nigdy nie szafowali zbyt wiele informacjami, prawda? Zawsze było to miejsce dość tajemnicze. Pewnie

mieli swoje powody.

– Owszem.

– Gdyby nie mieli powodów, nie lokowaliby się w takiej głuszy.

Selvy podjechał samochodem na punkt widokowy nad rzekę. Wrócił do domu piechotą.

Wieczorem siedział na połowym łóżku w niemal pustym pokoju przy kuchni. Temperatura spadała. Słyszał, jak łopocą na wietrze plastiki w oknach pobliskich domów.

Dziewczyna weszła do pokoju.

– Jakie plany?

– Żadne.

– Niedługo wyjeżdżamy, prawda?

– Sądziłem, że będziesz chciała zostać na jakiś czas. On wydaje się zadowolony z twojego powrotu. Przecież chcesz zostać?

– Czy w tym swetrze wyglądam, jakbym miała krowie wymiona?

– Nie wiem. Zdejmij go.

– Chcesz jechać sam, tak? Nie szkodzi. Ja tego nie powiedziałam.

– Zdejmij sweter. Wtedy ci powiem.

Delikatnie zamknęła nogą drzwi. Zdjęła sweter, buty i dżinsy, stała w majtkach. Poniżej gumki wyhaftowane były słowa: *Nie dzisiaj – boli mnie głowa*. Selvy odchylił się do tyłu, podgiął kolana, żeby rozsznurować buty.

– Zaczynam podejrzewać, że mnie w to wmanewrowałeś.

– Ale po co? – zapytał.

– Żeby mnie z kimś zostawić. W ten sposób nie będziesz musiał wymykać się rankiem, porzucając mnie głęboko uśpioną w jakimś motelu. Chcesz mnie zostawić z nim.

Selvy zdjął koszulę.

– Gdyby chodziło o manewry, zostawiłbym cię u siostry. A przecież pojawiłem się po wizycie u siostry.

– To co innego.

– Z jakiego powodu?

– To koniec drogi – powiedziała.

Uśmiechnął się, zdejmując spodnie. Nadine też się uśmiechnęła, podeszła bliżej i żartobliwie uderzyła go w ramię. Próbowali kochać się spokojnie. Łóżko było stare, skrzypiało, Jack kręcił się gdzieś w pobliżu. Nie przestawała się uśmiechać, choć miała zamknięte oczy. Kiedy byli razem w łóżku, zdawała się promieniować zdrowiem. To go niepokoiło.

Tak jakby uważała, że seks jest absolutną pełnią.

Nigdy jej nie zrozumie. Tym bardziej należy myśleć o niej jako o dziewczynie. Zaczynał jednak rozumieć coś innego. Czarna limuzyna. Pewne rzeczy stawały się jasne.

Kiedy Nadine poszła do swojego pokoju, usłyszał, jak Jack zszedł po schodach i zapukał do drzwi. Pokazał Selvy'emu zdjęcie trzech mężczyzn, z którymi chodził na ryby. Stali przed furgonetką w ochronnych kamizelkach i gumowych butach.

– To jest Jack Brady. Ma takie imię jak ja. To jest Vernon Floyd. A to Buck Floyd.

Selvy skinął głową.

– Ta furgonetka. Skręciłem gwałtownie, żeby uniknąć olbrzymiej dziury, i tylne koła wymknęły się spod kontroli. Nie wiadomo było, gdzie przód, gdzie tył. Vernon obrzucił mnie wyzwiskami. A brat Buck tak się śmiał, że nie mógł słowa powiedzieć.

Popatrzył na Selvy'ego, który znów skinął głową. Potem zabrał zdjęcie z powrotem na górę. Selvy przysłuchiwał się łopotowi plastiku na wietrze.

Wszystko się wyjaśniało. Zaczynał rozumieć, co to miało znaczyć. Te wszystkie testy. Wykrywacz kłamstw. Badania medyczne. Półtajność. Te wszystkie tygodnie w Mines. Elektronika. Rozszyfrowywanie kodów. Waluty. Broń. Przeżycie.

Wszystkie sesje paramilitarne. Niewielkie dawki geopolityki. Psychologia terroryzmu. Podstawy działań antypowstańczych.

Co to znaczyło. Pełna tajność. Czytanie. Rutyna. Podwójne życie. Jego prywatna dyscyplina. Krótka broń. Zwracanie uwagi na ostrożność. Na to, jak pracuje umysł. Ograniczanie wyborów. Kim się jest. Wreszcie stało się jasne. Wszystko.

Przez cały czas przygotowywał się do śmierci.

To był kurs umierania. Jak umrzeć gwałtowną śmiercią. Jak zostać zabitym przez swoich, w tajemnicy, bez urazy. Przygotowywali go. Zauważyli jego możliwości, jego zdolność odpowiedniego rozwoju. Przez cały czas. To były rytualne przygotowania.

Uczymy cię, jak umrzeć gwałtowną śmiercią. To jedyna śmierć, jaka się liczy, stal, ołów czy stop wolframu, śmierć od twardego metalu, skryta. Aby zapewnić powodzenie kursu, zabijemy cię sami.

Leżał w ciemności, paląc papierosa.

Jasne. Im twardsze próby, tym większą masz pewność, że przygoto-

wują cię do śmierci. Potrzebują okazji doskonałych, nie tylko fizycznie. Jeśli masz skazy, oddźwięk jest mniejszy.

Tak. Teraz będzie już mógł spać. Dobrze.

Każda konspiracja zaczyna się od indywidualnego samoograniczenia. Zauważyli jego potencjał. Zaznaczył odpowiednie cyfry na skomplikowanych wykresach. Podobał im się jego styl w rozmowach. Komputery go zaaprobowały.

Czarna limuzyna.

Oczywiście. Wszystko się zgadzało. Przez cały czas szykowali go na cmentarz. Skokami. Etapami. Teraz już wiedział. Wreszcie mógł spać. Dobrze.

Nasłuchiwał. Odgłosy wiatru były nieznośne, jak regularnie powtarzające się krzyki, jednakowe i wyraźne. Zmienił się kierunek wiatru, wzrosła jego szybkość. Odgłosy zmieniły się. Wiatr napotykał trzeszczące przeszkody, uderzał w pobliskie kadłuby widmowych budowli z powyrywaniem oknami, z nieszczelnymi drzwiami, gdzie zielsko wyrastało między płytkami podłogi.

Dziewczyna przysłała do niego przed świtem, oświetlona księżycem i błąda, o rozmarzonych brązowych oczach. Przechodząc przez pokój, przewróciła krzesło. Wsunęła się pod koc. Był lodowaty ziąb, dygotali oboje, chichocząc z zimna i tuląc się do siebie w ciemności.

W dzień było dwadzieścia cztery stopnie Celsjusza. Szli krętą polną drogą do samochodu zaparkowanego w pobliżu rzeki. Nadine usiadła na błotniku. Selvy usadowił się z przodu na dachu, z nogami na masce. Niebo było szklisto niebieskie, przekreślone pojedynczą linią gazów pozostawioną przez przelatujący samolot.

– Jesteś równie ospały jak ja?

– Nie – odpowiedział.

– To moje biorytmy. Całkiem dziś rozregulowane.

– Czuję się doskonale, w pełni dostrojony.

– Ja biorytmicznie czuję się strasznie.

– Popływaj – poradził.

Rzeka w tym miejscu nie była szeroka. Po stronie meksykańskiej ściana skał przechodziła od szarości do miedzi, zależnie od linii cienia. Tutaj, gdzie nie widać było żadnych budynków ani ludzi, istniały tylko skały i niebo. Równoległe do linii klifu, przebiegającej prosto na długości pięćdziesięciu metrów, przeleciał jastrząb. Selvy obserwował Nadine schodzącą ostrożnie na sam brzeg, ześlizgnęła się na siedzeniu z ostatniego

piaszczystego wzniesienia, używając nóg jako hamulców.

Odezwała się głosem cichym, choć zadziwiająco wyraźnym.

– Kamyk uderzył mnie prosto w usta.

Rozebrała się do majtek i weszła do wody. Rzeka w tym miejscu skręcała. Ze swojej grędy Selvy widział dno w miejscach oświetlonych słońcem. Cząsteczki minerałów, brązowawy osad. Zanurzyła się w wodzie, pływała pieskiem w kółko.

– Niezbyt zimna. Myślałam, że będzie zimniejsza. Nie robiłam tego od pięciu lat.

Głos jej się zmieniał, kiedy skręcała w stronę przeciwległego brzegu i znowu zakręcała w jego kierunku. Zobaczył, jak przy brzegu dotknęła dna i stanęła wyprostowana, przeczesując włosy dłońmi. Kiedy znów się odezwała, czysty ton jej głosu wskazywał, że patrzy w górę na niego.

– Hej, zejź na dół, zamocz się trochę.

Selvy patrzył na szczyt skalnej ściany na drugim brzegu. Na linii horyzontu pojawiły się dwie postacie. Najpierw jeden, a potem drugi komandos ARVN. Odczuł ukłucie żalu na myśl o swojej broni. Trudno nie poznać tego, którego poturbował. Wąsy. Nie odrywał wzroku od Selvy'ego. Drugi, ten od noża, ten, który czekał bez ruchu w mikrobusie, rzucał okiem na Nadine.

Idąc za wzrokiem Selvy'ego, popatrzyła w tamtą stronę. Potem znów odwróciła się do samochodu. Mówiła bardzo cicho.

– Nie mam pojęcia, co to za jedni.

Selvy siedział na dachu samochodu, obserwując ich.

– Trudno ich uznać za miejscowych – powiedział. – Zostań jeszcze chwilę na dole. Możesz włożyć bluzkę.

Dwaj mężczyźni dłuższą chwilę stali na szczycie klifu. Kapelusze z szerokim rondem, okulary słoneczne, obcisłe drelichowe spodnie. Za nimi tylko czyste niebo. Cofnęli się w końcu. Ponieważ byli znacznie wyżej, wystarczyły dwa kroki, by zniknęli z pola widzenia Selvy'ego.

Dziewczyna włożyła dzinsy i wdrapała się na punkt widokowy.

– Robi się z tego western – zauważyła.

– A przedtem było co?

– Nie wiem, co było przedtem. Ale teraz to przypomina western.

– Nie majak pływanie – rzekł. – Powinnaś się czuć lepiej.

Selvy wsiadł do samochodu i uruchomił silnik. Nadine ciągle patrzyła na meksykański brzeg. Kiedy samochód mszył, szła za nim, otworzyła drzwiczki i wsiadła. Selvy podjechał pod pocztę. Sto metrów dalej tury-

ści wysiadali z autobusu.

Selvy wysiadł z samochodu i poszedł pogadać z kierowcą autobusu. Nad zaokrągloną osłoną szyby, w miejscu gdzie podaje się stację docelową, widniały słowa: *Dziki Zachód i Meksyk*. Nadine obserwowała, jak na jej dżinsach stopniowo pojawiał się zarys mokrej bielizny.

Selvy wrócił do samochodu i oparł się o drzwiczki z jej strony. Kilku turystów szło w tym kierunku, zmierzali do sklepu, fotografowali się wzajemnie.

- Zostawiam samochód u ciebie.
- Chcesz, żebym ci go przechowała.
- Chcę, żebyś go zatrzymała.
- Tak po prostu.
- Zgadza się.

Turyści powoli rozpierzchali się po miasteczku, byli to głównie starsi ludzie, a także ośmioro czy dziewięcioro Japończyków. Selvy podszedł do domu. Przez szybę samochodu widziała, że rozmawia z jej ojcem. Wrócił z puszką piwa i z jakimś bezalkoholowym napojem, też w puszcze. Przytrzymał puszki jedną ręką na biodrze.

Nadine nie wysiadła z samochodu, popijając piwo. Selvy oparł się o drzwiczki. Jakiś mężczyzna zapytał, czy mógłby kawałek odjechać. Chciał sfotografować żonę w drzwiach poczty. Samochód mu przeszkadzał. Selvy odmówił.

Pary i grupki turystów w końcu zebrały się przy autobusie. Pojawił się kierowca, odpakowywał gumę do żucia. Nikt nie wsiadał, dopóki nie usiadł za kierownicą.

Selvy rzucił pustą puszkę na tylne siedzenie samochodu. Dżinsy dziewczyny były mokre, wyraźnie rysowała się bielizna. Na bluzce mokre plamy. Wyjęła ze schowka mapę, rozłożyła ją powoli na tablicy rozdzielczej i na szybie. Selvy podszedł do autobusu i wsiadł. Drzwi zamknęły się za nim z sykiem sprężonego powietrza. Zanim zdążył usiąść, zauważył, że ludzie w autobusie są dziwni, a może jakoś dziwnie siedzą, nie był pewny, o co chodzi.

Dopiero kiedy wyruszyli, zmierzając na zachód po drodze federalnej 90, odwrócił się, by się dokładniej przyjrzeć. Chodziło o Japończyków. Rozprzestrzenili się po całym autobusie, pojedynczo lub parami, cała dziewczątka i wszyscy spali. Pozostali turyści rozmawiali, pokazywali sobie pocztówki, wyglądali przez okna. Tak jakby Japończycy w sekrecie, dzięki jakimś wrodzonym zdolnościom, potrafili przekazać sobie to spo-

kojne polecenie: spać.

Znowu spoglądał w kierunku jazdy. Usnęli natychmiast i spali mimo hałasu i ruchu. Zawsze interesowała go w Azjatach owa osobność. To niemal wyzywające poczucie spokoju. Pozostawało mu jedynie przekonać się, czy obudzą się jednocześnie, podnosząc głowy unisono.

Wszystkie okna były zamknięte. Rolety spuszczone. Lightborne zamknął drzwi galerii na dwa zamki. Potem odwrócił się do Odella i pokazał gestem, wyciągając przed siebie ręce dłońmi do góry: co my tu mamy?

Odell podniósł wzrok znad albumu sztychów. Był starszy niż Richie, ale niewiele, miał pełniejszą twarz, choć z równie wystającymi zębami. Książka miała tytuł: *Pozaziemskie pozycje seksualne*.

Szesnaście milimetrów – powiedział. Często używana szerokość filmu amatorskiego w czasie, gdy to nakręcono. Ani standardowej ścieżki dźwiękowej, ani optycznego zapisu dźwięku. Jeśli już, to trzeba będzie dodać zapis magnetyczny. Będą problemy z niektórymi projektorami. Możliwe problemy z dostosowaniem taśmy szesnastomilimetrowej do sal kinowych. Szkoły, kościoły, tak, TV, tak.

– Wspaniale! – wykrzyknął Lightborne. – Szkoły i kościoły, to wspaniale.

Musiał się trochę wysilić, żeby usłyszeć słowa Odella. Odell mówił szybko, chwilami niewyraźnie, ze znacznie silniejszym południowym akcentem niż jego kuzyn – śpiewnym językiem Georgii, często przyspieszał, inaczej niż Richie, który miał głos przenikliwy, z lekkim nosowym brzmieniem.

Lightborne obszedł stół z projektorem przyniesionym przez Odella. Film będą mogli zobaczyć dopiero następnego dnia. Odell odkrył, że w projektorze nie działa jakaś część, a była już dziesiąta, za późno, żeby ją wymienić.

Dziwne, ale Lightborne nie czuł rozczarowania. Zorientował się, że wcale mu się nie spieszy do obejrzenia tej taśmy. W głębi podświadomości obawiał się tego doświadczenia. Uświadomił sobie, że obawiał się tego przez cały czas. Jego zaangażowanie podszyte było strachem.

Moll Robbins miała obejrzeć taśmę razem z nim. Potrzebna mu była obecność niezaangażowanej inteligencji. Ale i czegoś więcej. Pragnął towarzystwa. Ludzkiego ciepła. Tłumacza znaczenia swojego strachu.

To wszystko było tak realne. Miało taką wagę. Przedmioty były tym, czym się wydawały. Historia była prawdziwa.

Odell powiedział, że rozmawiał z Richiem przez telefon. Richie zaba-rykadował się w magazynie. Karmił psy nieregularnie, żeby były bardziej drapieżne. Od miesięcy już towarzyszyło mu to uczucie – powiedział Odell. Ktoś na niego czyhał. Jakaś ciemna siła. Gdzieś czaił się strzelec wyborowy, czekając na odpowiedni moment. Siedział na łóżku w jakimś pensjonacie, czyszcząc wizjer rewolweru. Miał kulkę z wypisanym imieniem Richiego. Dallas – mówił Richie. – Co ja robię w Dallas?

– Mówi tylko o Johnie F. Kidneyu, o Bobbym Kidneyu, o Martinie Lutherze Kangu, o Jawsie Wallasie.

– Co takiego? – spytał Lightborne.

– Powtarzam mu, co Rose Kidney powiedziała do Tiddy’ego Kidneya.

Długie milczenie.

– Co mu powiedziała?

– To był Harry Truman.

– Jeśli nie znosisz upału – wtrącił Lightborne.

– To powiedział Harry S. Truman, prawda?

Odell mówił dalej.

Richie miał obsesję nie tylko na punkcie zbliżającego się zabójstwa, ale także sprzecznych doniesień, jakie ono spowoduje. Został zastrzelony przez jednego białego mężczyznę, przez dwóch białych, przez jednego białego mężczyznę i nieletniego Mulata. Na broni nie było odcisków palców, były liczne odciski, aktualnie sprawdzane, były liczne odciski przypadkowo starte przez policję.

Szczególną obsesję miał na punkcie odcisków palców przypadkowo startych przez policję – twierdził Odell.

Lightborne przeszedł za przepierzenie do części mieszkalnej. Odkręcił obydwie krany nad umywalnią w nadziei, że Odell uzna to za odgłosy golenia. Potem usiadł w nogach połowego łóżka i wpatrywał się w czarną zasłonę okna oddaloną o półtora metra.

Historia jest prawdziwa.

Selvy’ego podwiózł furgonetką jakiś człowiek na południe od Marathon. Miał z siedemdziesiąt pięć lat. Z tyłu szoferki wisiała na kołku strzelba myśliwska. Cztery godziny do zapadnięcia zmroku. Pustynia.

Zobaczył to jako wspomnienie. Głębokie wąwozy pod kątem prostym do drogi. Migające światła ostrzegawcze. Wystająca z piasku łądyga jukki i ocotillo. Rzeczy na ogół nie mogą zaistnieć na nowo dokładnie tak,

jak je pamiętamy. Iglice, szczyty, wieżyczki, ślady erozji, z prawej i z lewej, łuszcząca się rdza i miedź, piaskowy brąz. Daleko w przodzie rysowała się falista forma, niewyraźna sylweta gór Chisos, najbledszy łupek, ułożony na płaszczyźnie tak równej, że mógł być ledwie przypadkowym światłem, nastrojem, wymysłem.

W końcu samochód zbliżył się i przejechał dalej. Potem znowu nic. Myszołów na płocie. Pojedynczy wiatrak w oddali. Tutaj wszystko było w oddali. Dal była uderzającą rzeczywistością. Nawet jeśli osiągało się jakiś punkt, było się zanurzonym w dali. Kończyła się dopiero w górach, a tak daleko nie jechał.

Zatrzymali się po benzynę w starym nadgranicznym sklepie, budowli z suszonych na słońcu cegieł, z jedyną pompą i resztkami niewielkiego krytego wozu od frontu. Selvy wszedł do środka. Szeroki kontuar zajmowały kawałki skał na sprzedaż. Wzdłuż jednej ściany właściciel wyeksponował kolekcję z drutu kolczastego. W gablotach pełno było różnaitości. W jednej z nich Selvy dostrzegł przedmiot określony jako maczeta filipińskich powstańców, zwana bolo.

Sklepiarz na jego prośbę wyjął maczetę. Długi ciężki nóż o jednym, szerokim ostrzu. Plamki rdzy. Drobnutkie szczyrby w ostrzu. Piętnaście dolarów.

– Zawsze myślałem, że bolo mają zakrzywione ostrza.

– Rodzina maczet – wyjaśnił właściciel. – Rośliny, trzcina cukrowa.

– Chyba przyszło mi to do głowy w związku z cięciem bolo. Sierp z zakolem. Ma pan coś do ostrzenia?

– Może się znajdzie.

– Chyba wśród tych wszystkich kamieni znajdzie się jeden doskonale prostokątny, grubości półtora centymetra?

– Jeśli chce pan osełkę, to pamiętam, że gdzieś miałem kilka takich plemienia Washita.

Selvy kupił jeszcze menażkę, napełnił ją wodą, zapłacił i wyszedł. Nastolatka czyściła przednią szybę samochodu. Kiedy skończyła, wrócili na drogę.

– Chce pan dotrzeć, zanim się ściemni?

– Jest dużo czasu – rzekł Selvy.

– Mam wątpliwości.

– Już prawie dojeżdżamy. Powiedziałbym: niecałe pięć minut i będziemy na miejscu.

– Nie chce pan zapomnieć, jak się chodzi.

– Jestem przygotowany – odparł Selvy. – Spacer to drobnostka. Przez drogę przebiegł kojot i zniknął w krzakach nad wąwozem.

– Co pan tu ma?

– Bolo filipińskich powstańców.

– A gdzie pańska dżungla?

– Kupiłem z powodu nazwy.

– Nie było warto, jeśli nie dodano dżungli.

– Podoba mi się nazwa – wyjaśnił staremu człowiekowi. – Jest romantyczna.

Wzdłuż lekkiego wzniesienia szosy wypatrzył prymitywną drogę, która prowadziła do Mines. Mężczyzna zatrzymał furgonetkę, Selvy wyskoczył i ruszył w kierunku wschodnim. Wzbijał kurz, jedynie w niektórych miejscach na utwardzonym błocie dostrzegał stare ślady opon ciężarówek, bardzo ciężkich.

Menażkę przytwierdził do paska przy lewym boku. Bolo z drugiej strony pod kątem czterdziestu pięciu stopni do nogi, ostrzem do góry.

Zaczął biec. Menażka obijała się o udo. Biegł dwadzieścia minut. Czuł się dobrze. Czuł się lepiej z każdą chwilą. Kłująca opuncja i mesquite. Powracająca pamięć. Szedł godzinę, potem biegł przez piętnaście minut. Po prawej kręcił się powietrzny wir. Tutaj pogoda się zmieniała, dotyczyło to nie tylko przelotnych wirów. Coś budowało się nad górami.

Po dziewięćdziesięciu minutach zobaczył baraki, dwa, otoczone najróżniejszymi pozostałościami, wyposażeniem kuchennym i kanalizacyjnym, rozprutym jeepem, bezużytecznym wiatrakiem, nierozpoznawalnymi rupieciami. To nagromadzenie zwykłych przedmiotów przez moment wydało mu się wzruszające. Znaki zamieszkania i opuszczenia. Oświetlone smutnym światłem. Obecność ludzka. W czerwieni i złocie zachodu słońca.

Piec na drewno dalej stał w podłużnym baraku. W szafce Selvy znalazł puszki z jedzeniem. W mniejszym budynku pod ścianą zobaczył dwanaście łóżek polowych. Wywłókł jedno z nich do długiego baraku i ustawił w pobliżu piecyka.

Po jedzeniu wyszedł na zewnątrz owinięty w koc. W tym rejonie było jeszcze jasno, wyraźna drabina gwiazd. Nie więcej jak zero stopni, coraz zimniej. Suchy ziąb. Czysty stan. Podniecający stan zimna. Nie pogoda. To była nie tyle pogoda, ile pamięć. Kategoria istnienia.

Temperatura dalej opadała, ale to nie oznaczało zmiany. Oznaczało intensywność. Oznaczało koncentrację zdolności wspomnienia. Nie-

zmienność obrazu. Bez zbłąkanego światła.

W górach padał śnieg.

Teraz wszystko już za nim. Miasta, budynki, ludzie, systemy. Wszystkie relacje i więzi. Plan, wykonanie, ciąg dalszy. Teraz mógł o tym zapomnieć. Przeżył wydarzenie. Przejechał wzdłuż całej prostej białej linii.

Uświadomił sobie, że wcale nie potrzebuje koca, w który się owinał. Zimno nie docierało do niego w ten sposób. W sposób wymagający izolacji. Było to zimno doskonałe. Temperatura, w której rzeczy toczą się w skali absolutnej.

Cała ta niezborność. Selekcja, elekcja, opcja, alternatywa. Teraz wszystko poza nim. Kody i formaty. Kierunki działania. Wartości, uprzedzenia, predylekcje.

Wybór to subtelna forma choroby.

Kiedy się obudził, było jeszcze ciemno. Szary popiół w piecyku. Podszedł do okna, nagi, popatrzył na wschód, na olbrzymi łuk nieba przed świtem. Przykucnął przy oknie. Skrzyżował ręce na kolanach i pochylił głowę. Całkowicie nieruchomo czekał, aż światło zapłonie na piasku, na krawędzi skał i na martwych drzewach.

Sprzed frontu magazynu w centrum Dallas bieżyły szyny na wschód i na zachód. Był to pięciopiętrowy budynek o drzwiach z blachy falistej, ze ścian fasady obłaziła farba. Na froncie była też rampa załadunkowa. Niewielki napis: *Preview Distributions*. Wszystkie okna zabite deskami. Wewnątrz Richie Armbrister, siedząc przy długim stole, stukał w klawiaturę kieszonkowego kalkulatora. Przy jego łokciu paliła się lampa. Niedaleko spały trzy psy. W ciemnej głębi pomieszczenia rysowała się sylwetka ochroniarza Richiego, Daryla Shimmera, który leżał na starej sofie. Obok sofy spały dwa kolejne psy. Dalej, już w kompletnej ciemności, stały wózki widłowe, palety i liczne cylindry transportowe olbrzymich rozmiarów.

Daryl robił się coraz bardziej ponury i niekomunikatywny. Fizycznie oddalony. Richie zauważał, jak stopniowo oddala się coraz bardziej. Z punktu widzenia Daryla sofa reprezentowała krok w tył. Cały wieczór spędził, siedząc w ciemności na wózku widłowym, trzydzieści metrów dalej. Musiał przenieść się na sofę, jeśli chciał spać.

Wszyscy inni poszli. Wychodzili pojedynczo, parami, niewielkimi grupkami w ciągu dwudziestu czterech godzin, z szacunkiem wymykali się przez północne drzwi. Po raz pierwszy, odkąd Richie kupił ten magazyn, panował w nim spokój.

Były telefony od człowieka, który przedstawiał się jako Sherman Kramer. Daryl rozpoznał nazwisko. Żartowniś. Drobna płotka. Ale z powiązaniem. Wielkimi powiązaniem.

Jakiś człowiek spędzał bardzo dużo czasu na parkingu po drugiej stronie ulicy. Richie obserwował go przez szparę między dwiema deskami, którymi zabito jedno z okien. Mężczyznę przeważnie widać było u wylotu Alei Ross, czyli w miejscu najbardziej oddalonym od magazynu. Opierał się o samochód. Albo chodził w tę i z powrotem. Richie przypuszczał, że mógł to być mężczyzna, którego zastał w swojej saunie na pokładzie DC-9. Trudno powiedzieć na odległość, patrząc przez usmarowaną szybę.

Telefon Lightborne'a był wyłączony. Bez numeru kontaktowego. Ri-

chie chciał porozmawiać z Odellem. Ufał Odellowi. Odell należał do rodziny. Do prawdziwej rodziny. A w Nowym Jorku mógł się porozumieć z Odellem tylko na numer Lightborne'a. Wyłączony.

Próbował skoncentrować się na cyfrach. Aleje handlowe. Tylko to go interesowało. Problemy wyższej natury. Demografia. Zasady dystrybucji. Manewry prawne i szczegóły techniczne. Subtelność księgowania. Nigdy nawet nie zapytał Lightborne'a, co miało być na tej taśmie.

Nawiedzały go wizje spapanego śledztwa. Nie uda im się odnaleźć właściciela karabinu. Zgubią wyniki jego sekcji zwłok. Świadcowie wyniosą się za granice stanu i słuch o nich zaginie. Jego pogrzeb. Zamknięta trumna.

Zadzwoił telefon. Obserwował, jak Daryl zabiera się do wstania. Telefon znowu zadzwonił. Daryl podszedł do stołu, przy którym siedział Richie. Podniósł słuchawkę ruchem wprost mistrzowsko niechętnym, na jego twarzy malowała się mieszanina niezadowolenia i resztek poczucia obowiązku. W drodze z lotniska Richie podwoił jego wynagrodzenie i obiecał mu na urodziny samochód plażowy z chromowanymi rurami wydechowymi. W zamian za przysięgę lojalności, w każdej sytuacji.

– To znowu Żartowniś.

– Czego chce? – spytał Richie. – Nie będę z nim rozmawiał.

– Tego samego. Spotkania.

– Nie mam żadnej puszki z żadnym filmem. Nic więcej nie powiem. Ot i całe spotkanie. Właśnie się odbyło.

– On nie ma pojęcia o żadnych puszkach z filmami – wyjaśnił Daryl.

– Chce tylko zorganizować rozmowy. Ktoś przyjeżdża.

– Nie tutaj. Tutaj nie przyjdą. Powiedz mu o psach.

– Mówi, że może być na zewnątrz. Kogoś przyprowadzi. Jutro po ósmej. Na zewnątrz, wewnątrz, nie ma różnicy.

– Co mamy zrobić?

– Zapytaj, kogo przyprowadza.

– Zapytaj – powtórzył Richie.

– Mówi, że teraz nie może wymieniać nazwisk. Człowiek szanowany w branży.

– Zapytaj, w jakiej branży.

– Za późno – powiedział Daryl. – Odłożył słuchawkę.

Richie ugryzł jeden z herbatników przywiezionych z Nowego Jorku. Przesunął pojemnik z herbatnikami w stronę Daryla, który odmówił machnięciem ręki i powoli zmierzał w stronę sofy, jego smukła sylwetka

była mocno przygarbiona. Jeden z psów poruszył się nieznacznie, gdy Daryl opadł na sofę. Richie uważał, że były to dobre psy. Owczarki niemieckie. Tresowane w warunkach symulowanej walki.

To na wypadek włamania. Działanie na bliską odległość. A co z większym dystansem? Teraz istniały kule, które przechodziły przez beton. Po drugiej stronie parkingu i Alei Ross stał budynek General Center. Idealne miejsce dla wyborowego Strzelca. Doskonałe miejsce. Mógł stać na dachu i strzelać, nie tylko przez zabite deskami okna Richiego, ale również przez ścianę z cegieł. Zostawi potem karabin na dachu i zniknie, pewny, że policja rozmaże jego odciski palców.

To było obłądne przyjęcie. Głośne. Senator lubił hałas na swoich przyjęciach. Przeważnie młodzi. Lubiał mieć wokół siebie młodych ludzi.

Szedł przez salon, od grupki do grupki, uśmiechał się, rzucał powitania, ścisnął mężczyzn za rękę powyżej łokcia, kobiety chwycił w talii. Manewrując wokół stołu z koktajlami, napotkał kobietę, która przypominała mu akt Vestiera widziany w prywatnej kolekcji w Paryżu – szerokie biodra, zadowolona z siebie, nastawiona na karierę. Sekretarka dyrektora.

Obok niej stała młodsza kobieta, nie tak monumentalna. Usiłując włączyć się do rozmowy, Percival bynajmniej się nie zdziwił, widząc, jak nagle się uaktywniła – oczy, uśmiech, napięcie, nadzieja, uroczysty zachwyt. Bycie rozpoznawanym nigdy nie przestanie stanowić jednej z duchowych rekompensat służby publicznej.

– Jest pani – powiedział.

Poruszenie warg.

– Muzeum. Fascynujące, jak sądzę.

Hałas, muzyka, śmiech.

Oczywiście oczekiwał, że będzie rozpoznawany. To jego dom i jego przyjęcie. A jednak zawsze interesujące jest obserwować, jak ludzie uwalniają tę swoją drugą jaźń. Szczególnie kobiety. Jak stają się błyszczącą kapsułką kosmiczną z receptorami wysokiej energii. Percival uważał, że sława jest zjawiskiem związanym z mistycyzmem religijnym. Reklama różokrzyżowców: JAKĄ TAJEMNĄ WŁADZĄ DYSPONUJE TEN MĘŻCZYZNA? Sława wydobywa z ludzi potencjał kosmiczny. A to może być tylko dobre. Jakie to słowo? Zbawienne. To może być tylko zbawienne.

Starsza z kobiet, ta z Vestiera, patrzyła, jak Percival prowadzi to ła-

godne dziecko do krótkich schodów w drugim końcu salonu. Usiedli tam, na przedostatnim stopniu, serdeczni kumple, z kieliszkami w ręku.

– Może teraz będziemy mogli porozmawiać.

– To naprawdę najładniejszy dom.

– Mówiła pani. Muzeum. Wspomniała pani.

– Tam, gdzie pracuję.

– Współpracuje pani z muzeum? Ja się tym pasjonuję. Skarby, skarby.

– Z Muzeum Medycznym Instytutu Patologii Sił Zbrojnych.

– Jezusie najśłodszy!

– Kto urządzał panu wnętrze? – spytała.

– Ja.

– Jest zrobione z takim ciepłem.

Uświadomił sobie, że jest na pół wlana. Niemal tak jak on. Jakiś Pakistańczyk oparł rękę na czwartym stopniu, pochylił się po przekątnej w stronę Percivala, żeby uścisnąć mu dłoń. Zdaniem senatora mógł to być Peter Sellers.

– Naprawdę podoba mi się pański program – powiedziała młoda kobieta.

– Niech pomyślę. Jest pani Renoira? Wydaje mi się pani bardziej stonowca. Wenus Tycjana. Nie całkiem jeszcze zmiękczona.

– Jestem po prostu oczarowana całą sytuacją.

– Chciałbym zapytać. Ważne pytanie. Ale osobiste. Wymaga absolutnej prywatności. Proszę powtórzyć za mną. To pytanie...

– To pytanie...

– Wymaga...

– Kto kładł tapety?

– Jakiś Irlandczyk z twarzą oszusta. Sam wybrałem wzory.

– Coś podobnego! Widać w nich wyraźnie tyle miłości i troski.

– Ważne, ważne pytanie. Chwileczkę. Musimy się skryć. Bo to ten rodzaj pytania.

– Ho, ho.

– Właśnie. Proszę iść za mną. A jak pani drink?

– Mój drink w porządku, señor.

Zaprowadził ją do sypialni. Cała zmiękła w zachwycie. Łoże z baldachimem, szafa, miniaturowa komoda, ława z ciosanego drewna, lampa stołowa w kształcie liścia koniczyny, potężny dębowy fotel bujany.

– Siadaj, siadaj, siadaj.

Przyłapał się na myśli o Lightbornie. Może to na widok telefonu. Usi-

łował zadzwonić do Lightborne'a, który obiecał mu projekcję. Dwukrotnie rozmawiali przez telefon, Percival zmieniał głos, za każdym razem na inny. Próbował wymyślić, jak załatwić tę projekcję. Lightborne zapewniał, że będzie to prywatny pokaz. Ale przecież w absolutnej bliskości będzie musiał być operator projektora, a sam Lightborne pewnie też zechce w tym uczestniczyć. Jak obejrzeć tę taśmę, nie zostając rozpoznany? Jednak wcześniej trzeba było skontaktować się z Lightborne'em. Percival dzwonił od dwóch dni. Za każdym razem telefon wyłączony. Brak numeru kontaktowego.

Usiadł na skraju łóżka, obserwując, jak ona buja się w fotelu.

– Senatorze, miał pan pytanie.

– Mów mi Lloyd.

– Jestem tym naprawdę oczarowana.

– Masz wyjątkowo ekspresyjne usta.

– Wiem.

– Po angielsku ekspresyjne.

– Chciałabym zapytać, w zaufaniu. Czy myśli pan o prezydenturze? O kandydowaniu? Bo słyszałam coś o tym. Młodych ludzi wyjątkowo pociąga pański program.

– Nie, nie, nie. Prezydentura to ślepy zaułek.

– Sądzę, że znajdzie pan wielkie poparcie młodych ludzi.

Obserwował, jak ona pije.

– Mam wielki problem z tym Tycjanem – przyznał. Twoje usta są takie angielskie. Czy znasz Sussex?

– Taki wysoki? Nosi koszule w paski z białymi kołnierzykami?

– Mów do mnie Lloyd – poprosił.

Wstał i zamknął drzwi. Stał za fotelem, położył ręce na oparciu i kołysał ją powoli w przód i w tył.

– Tyle że będzie problem ze stanami południowo-zachodnimi – zastrzegła. – Tam nie znajdzie pan oparcia.

Zadzwonił telefon. Percival szybko podszedł do skraju łóżka, uświadamiając sobie poniewczasie, że to nie mógł być Lightborne, bo przecież nie wiedział, kim on jest, a już na pewno nie wiedział, jak się z nim skontaktować. To dzwoniła żona, z domu. Przed oczyma natychmiast pojawił się obraz. Siedziała na łóżku, a twarz jej błyszczała od jakiegoś regenerującego mazidła. W całym pokoju walały się tomy Raportu Warrena i notesy pełne „danych uzupełniających”. Ona w jasnoniebieskiej lizesce z puchatego pikowanego materiału.

– Czego chcesz? – spytał.
– Jestem ciekawa, jak się masz.
– Wynoś się.
– Dokąd? Jestem dość daleko.
– Mam akurat głośne, bardzo głośne przyjęcie i jestem zachwycony.
– Nic nie słyszę – powiedziała.
– Bo jestem w sypialni, a drzwi są zamknięte.
– A kto jest z tobą?
– Oswald był samotnym mordercą. Kiedy wreszcie dotrze to do twojej tępej głowy?

– Ktoś tam z tobą jest, ale gównu mnie to obchodzi. Taka jest prawda.

– Dziewczyna o połyskliwych włosach.

– A jak inaczej? Chryste, jak mogłoby być inaczej?

– Dam ci ją do telefonu.

Przyniósł telefon do bujanego fotela i poprosił młodą kobietę, żeby powiedziała jego żonie, gdzie pracuje.

– Muzeum Medyczne Instytutu Patologu Sił Zbrojnych. Percival wziął od niej słuchawkę i przeszedł przez pokój.

Tym razem, zwracając się do żony, zaczął szeptać gorączkowo:

– Widzisz, co mi zrobiłaś?

– Ja? Ja ci zrobiłam?

– Nie mam cierpliwości do takich rzeczy.

– Lloyd, to nie ma sensu.

– Wszystko ze mnie wyciągnęłaś.

– Co mianowicie?

– Jestem kompletnie odsączony – przyznał.

Zszedł na dół, krótko pokręcił się między gośćmi i wrócił na górę z dwoma pełnymi kieliszkami. Stanął za jej fotelem, bujając go.

– Senatorze, miał pan pytanie.

– To wszystko zaczęło się od pytania.

– Ja w każdym razie czekam.

– Tak, tak, tak.

Przekręcił fotel trochę w prawo, żeby mogła patrzeć na niego i vice versa, w lustrze nad komódką. Czuł się zupełnie trzeźwy. Myślał zadziwiająco jasno.

– Jak bym wyglądał z brodą? – zapytał.

Nie zwracając uwagi na lustro, spojrzała przez ramię, jakby tylko rzeczywisty, trójwymiarowy senator Percival mógł służyć za podstawę doj-

rzależ odpowiedzi. Odczuł satysfakcję, widząc, że potraktowała to pytanie z należytą uwagą, na jaką jego zdaniem zasługiwało.

– Czy rozpoznałabyś we mnie Lloyda Percivala, gdybyś mnie zobaczyła z brodą? Powiedzmy, w ciemnych okularach i z brodą. Gdybyś mnie zobaczyła w nieprawdopodobnym miejscu. W jakiejś nędznej dzielnicy. Z dala od splendoru Kapitolu.

Talerico szedł przez salę przylotów. Miał na sobie zamszowy garnitur z kamizelką, na rękę niósł trencz Burberry.

Zobaczył Żartownisia czekającego przy odbiorze bagaży. Absolutnie typowy. Oni jednak tworzyli określony typ, ci ludzie z dziewięcioma numerami telefonów i odrębnym nazwiskiem na każdy dzień tygodnia. Mężczyzna, który wygląda tak, jakby nie dostawało mu czasu i pieniędzy. Mężczyzna, który działa w stanie permanentnego wyczerpania. Prawdopodobnie nie miał więcej niż trzydzieści lat. Szkoda. Teraz jego żywiołem było zmęczenie. Potrzebował go, żeby żyć.

– Vinny Tal, jak się masz?

– Reszka wygrywa.

– Dwadzieścia minut spóźnienia. Ale nie ma sprawy. Jedziemy od razu tam. Pogadasz z tym Richiem. Spokojnie i bez przeszkód.

– Załatwione.

– Mniej więcej – powiedział Żartowniś.

Wyszli na zewnątrz i wsiedli do lewego camaro Żartownisia. Włączył silnik, światła i ruszyli.

– Vinny, chciałbym cię zapytać. Szczerze. Co się stało z twoją twarzą? Od czego to się zrobiło?

– Ta kobieta, którą znałem jakiś rok temu, oblała mnie ługiem.

– To straszne. Straszne.

– Ługiem.

– Po co? Dlaczego?

– Byłem tak cholernie przystojny, że nie mogła tego znieść.

Żartowniś trzasnął w kierownicę kantem prawej dłoni.

– Cholera, dałeś mi do myślenia.

– Samo patrzenie na mnie doprowadzało ją do szaleństwa. Stale była napalona. To jej rujnowało życie.

– Nabrałeś mnie, Vin.

– Wszyscy na to reagują. Na ług. To ma taki wpływ na ludzi. Ług.

Skrzypnęły drzwiczki po stronie Talerica. Coś grzechotało w bagażni-

ku. Żałował, że nie zorganizował sobie wynajmu samochodu. Sam miał oldsa cutlass supreme. Był przyzwyczajony do pewnego komfortu. Czuł się jak w dzbanku do kawy.

– Mn, pozwól, że zapytam. Byłeś tu kiedy? Tutaj każdy ma dwa imiona.

– Oglądam TY.

– To na wypadek, gdybyś zapomniał jedno z nich. A nie są szczególnie błyskotliwe, przynajmniej niektóre.

– Jestem tu pierwszy raz.

– Szczerze powiem, że to lubię. To takie ludzkie. Ludzie sobie chodzą. Żyją.

– Już dojeżdżamy czy jak?

– Ciągłe jesteście na lotnisku – wyjaśnił Żartowniś. – To lotnisko.

Samochód przypomniał Talerico czasy młodości. Sześciu czy siedmiu chłopaków stłoczonych w starym chevrolecie. Zrzutka na benzynę. Przygnębiająca była myśl, że Żartowniś jeździł takim właśnie typem samochodu. Ten Żartowniś.

– A jak tam w Kanadzie? Gnębią ludzi?

– TV masz FBI, a ja RCMP.

– Co oznacza?

– Co oznacza, że mogą zapukać do moich drzwi o każdej porze dnia i nocy.

– To Rosja.

– Akurat, Rosja. Istnieje coś takiego jak polecenie zajęcia towarów. Z tym poleceniem kłębią się wszędzie. Wcale nie musi być na nim mojego nazwiska ani adresu, ani niczego, co jest przedmiotem ich poszukiwań. Jest in blanco. Najpierw wtargną drzwiami i oknami. A potem wypełniają puste rubryki.

– Pewno przyjemnie jest znaleźć się z powrotem w Stanach – rzekł Żartowniś.

– Wzruszenie chwytą mnie za gardło.

– Wyjechaliśmy z lotniska. Właśnie opuściliśmy lotnisko.

– Tak trzymaj.

– To była granica lotniska. Opuściliśmy je definitywnie.

– Gadałeś z tym Richiem?

– Gadałem z gówniarzem, który odbiera jego telefony.

– Czyli nie dotarłeś do magazynu.

– Tak, to tylko magazyn. Nic szczególnego. Powiedziałeś, że chcesz

rozwinąć szczeniaka. Co za różnica gdzie? Ty gadasz. Tłumaczysz swoje.

– Powiem ci, czego się dowiedziałem, zasięgając języka. Jego psy nie szczekają. Są tak wytresowane. Rzucają się bez ostrzeżenia.

– Widzisz? – powiedział Żartowniś. – Dobrze, że nie próbowałem wejść do środka. Powinieneś uprzedzić mnie o tym. A gdybym tak próbował wejść do środka?

– Wypadają jednym skokiem z ciemności – wyjaśnił Talerico. – Wytresowane, by rzucać się do gardła. Ale po cichu. Nawet nie warczą.

– A czego ty właściwie szukasz?

– Filmu porno, czego by innego? Za gorący dla tego Richiego. Wyświadczam szczeniakowi przysługę.

– Jak się o tym dowiedziałeś?

– Miałem telefon z Nowego Jorku.

– Krewni. Zawsze chodzi o krewnych.

– Zadzwoił Paulie. Co? Dziesięć dni temu.

– Nigdy go nie poznałem – powiedział Żartowniś. – Wiem, jaką ma opinię.

– On do mnie zadzwonił. Tak się dowiedziałem.

– A skąd wiedział?

– Zadzwoił do niego jakiś Lightborne. Znienacka. Powiedział, że chętni stoją w kolejce. Chciał wiedzieć, czy Paula też interesuje ta licytacja.

– Czy go interesuje licytacja? – powtórzył Żartowniś.

– Wyobrażasz sobie?

– Czy go interesuje licytacja?

Próbowali namówić dziewczyny, żeby wsiadły z nimi do samochodu. Siedmiu chłopaków w samochodzie, niewiele dziewczyn się godziło. Na ogół rzadko spotyka się dziewczyny aż tak ciekawskie. Pod siedzeniem kierowcy trzymali rewolwer własnej roboty. Nie jeździli nigdzie bez broni. Ten Żartowniś. To dokładnie jego poziom. Jego życie seksualne ogranicza się pewnie do zajść na tylnym siedzeniu samochodu. W schowku pod tablicą rozdzielczą trzyma latarkę.

– Wiesz, na co mam ochotę – rzekł Talerico. – Na żywkę.

– Co to jest?

– Żydowska dziwka.

– Musiałem zapytać.

– Wszyscy na to reagują. Żywka. Ludziom się podoba ten dźwięk.

– Widzisz te światła? – spytał Żartowniś.

Dwadzieścia minut później samochód wjechał na ciemny parking na wprost torów przed magazynem. Na torach stał jeden wagon towarowy. *Odwieź to na Frisco!* Żartowniś zgasił światła, siedzieli, patrząc na magazyn. Było zimno. Talerico wysiadł z samochodu, żeby włożyć trencz, i znowu wślizgnął się na siedzenie. Nie tak to sobie wyobrażał.

Pół godziny później zobaczyli jakąś postać wyłaniającą się spod wagonu towarowego, prostującą się z pozycji na czworakach. Szczupły młody mężczyzna. Czarny. Ubrany w gruby sweter. Z latarką w ręku.

– To Daryl Shimmer. Pilnuje szczeniaka.

– A kto jego pilnuje?

Daryl podchodził do samochodu, rozglądając się co parę kroków. W odległości półtora metra sięgnął lewą ręką pod sweter i wyciągnął zza paska niewielki rewolwer. Podszedł od strony kierowcy.

– Cholera – powiedział Talerico znużonym głosem.

Daryl przytknął rewolwer do twarzy Żartownisia. Automat, kaliber 25. Talerico przeczytał napis *Hartford Ct. USA* tuż nad długim ciemnym palcem Daryla wyciągniętym wzdłuż lufy.

– Wiem, że szukacie jakiegoś filmu. Nie mamy pojęcia, gdzie on jest. Tak naciskacie, że Richie może najwyżej wyszczać się do nocnika. Mówimy: Wycofajcie się. Nie wiemy, gdzie to jest. Nie chcemy wiedzieć. Odchodzimy. Już koniec, mówimy. Znajdziecie ten film, tym lepiej dla was. Nawet nie chcemy o tym wiedzieć.

– Posłuchaj no, twardzielu – zaczął Żartowniś.

Daryl przygryzł dolną wargę.

– Zabieraj to od mojej twarzy. To w bardzo złym guście, wycelowana broń. Bardzo nieładne.

– Do kogo gadasz?

– Do wszarza.

– Nacisnę te pieprzoną pukawkę.

– Bracie, najbardziej nie znoszę wycelowanej broni.

Zachodzący na siebie dialog. Coraz głośniejszy.

– Powinieneś oblec te gnaty w mięso – rzekł spokojnie Talerico. – Jesteś przeraźliwie chudy. Nie cierpię takiego widoku.

– Zamknijcie się.

– Jedz więcej tego murzyńskiego żarcia.

– Zabieraj ten rewolwer – ostrzegł Żartowniś. – Bo jeśli nie zabierzesz, to wyceluj sobie tam.

– Do kogo gadasz?

– Do gówna, ty twardzielu.

Daryl wciąż trzymał rewolwer przy policzku Żartownisia i znowu przygryzał dolną wargę. Żartowniś wrzeszczał na niego, wykrzykując epitety, jakich Talerico nie słyszał od lat.

– Powinieneś więcej czasu spędzać z ludźmi – powiedział miękko Talerico. – Za dużo jesteś sam. To mi się nie podoba. To niezdrowe. Spójrz na siebie. Nie umiesz się zachować wśród ludzi. Powinieneś więcej wychodzić. I więcej jeść. Oblec trochę mięsem te gnaty.

Pojawiła się nowa postać. Tym razem z boku wagonu towarowego. Zmierzała w kierunku camaro. Daryl, nie odejmując rewolweru od twarzy Żartownisia, oświetlił latarką wnętrze samochodu.

– Richie, są gotowi słuchać.

– Słyszałem te wrzaski. Tego nam tu nie trzeba. Wrzasków.

– To twój kłopot – skomentował Żartowniś. – Tylko twój.

– Wyszedłem, żeby pokazać, że nie mamy niczego do ukrycia. Wyszedłem w dobrej wierze. Nic nie wiem o obiekcie, którego szukacie. Przestańcie cisnąć. To denerwujące.

– Naciski rodzą się w twojej głowie – rzekł Talerico.

– Nawet nie wziąłem psów, żeby udowodnić moją dobrą wiarę. Żeby się pojawić. Sądziłem, że to zmniejszy tajemniczość. Jeśli mnie zobaczycie, nie będziecie tak bardzo nalegać, żeby wejść do środka, jak się przekonacie, że nie ma tu nic szczególnego, a ja nie mam tego obiektu.

– Chce, żeby mu wepchnąć do środka te królicze zęby – wyjaśnił Żartownisiowi Talerico.

– To twoje! – nie przestawał wykrzykiwać Żartowniś. – Cały czas na ciebie patrzę!

Richie miał na sobie za dużą wełnianą kurtkę. Ręce trzymał głęboko w kieszeniach. Skinął głową w kierunku Talerico. Ten gest był przeznaczony dla Daryla: skieruj światło na tamtego.

Talerico odwrócił w stronę światła prawą stronę twarzy. Martwą stronę. Tę z mrożonym mięsem. Straszne oko patrzyło bez wyrazu.

– Nawet mnie tu nie ma! – wrzeszczał Żartowniś. – Wszystko skończone!

– On chce zeżreć ten rewolwer – powiedział Daryl.

– Wy głupie dranie! Pieprzone cipy! Nawet nie wiecie, na czym stoicie!

Talerico słyszał już kiedyś ten rodzaj nie powiązanych okrzyków.

Przypomniały mu kuzyna Paula. Kiedy Paul znalazł się w kłopotach, tracił panowanie, robił się straszny. I czasami wykrzykiwał rzeczy, które bardzo luźno wiązały się z sytuacją, jeśli w ogóle miały z nią jakiś związek. Talerico widział, jak kuzyn terroryzował ludzi, i to nie raz – gliny, mężczyzn z bronią – po prostu demonstrując wściekłość graniczącą z szaleństwem. Najwyraźniej był nawiedzony. Zbyt realny, by się z nim mierzyć. Skoro się zorientują, że ktoś nie boi się śmierci, są w poważnym kłopotcie i mają tego świadomość.

W sumie ta cecha Żartownisia zrobiła na Talerico wrażenie. Żartowniś był twardy. Nie dał sobie wciskać kitu. Wrzeszczał i bredził. Im bardziej zbliżał się do śmierci, tym bardziej wydawał się panować nad sytuacją. Tym bardziej onieśmielał przeciwnika.

I nie był to blef. To nie ulegało wątpliwości. Było to autentyczne oburzenie, wściekłość i furia. Żartowniś zdecydowanie robił na nim wrażenie. Nie przypuszczał, że człowiek tak wyczerpany może się zdobyć na tyle szaleństwa.

– Chciałbym złożyć coś jak oświadczenie – oznajmił Talerico.

– Chętnie wysłuchamy – rzekł Richie. – Jeśli możemy wymienić jakiegokolwiek poglądy, to znaczy, że sytuacja się poprawia.

– Umarłeś pięć minut temu. Od całych pięciu minut jesteś już martwy. Jesteś tak martwy, że czuję smród. To moje oświadczenie.

– Nie chcę wiedzieć, kim on jest – powiedział Richie do swojego ochroniarza.

– Popatrz na oko – poradził Talerico.

– Jeśli wiesz, kim jest, nawet mi nie mów – uprzedził Richie.

Odwrócił się i ruszył w kierunku magazynu, obszedł wagon towarowy i zniknął z pola widzenia.

– Żryj i zjeżdżaj! – wrzasnął Żartowniś.

– Odjeżdżacie, co? – spytał Daryl.

– Patrzę prosto na nich.

– Odjeżdżacie. Chcecie odjechać.

– Nie znają słów. Są zupełnie gdzie indziej.

Daryl przygryzł dolną wargę. Nacisnął spust, a Talerico rzucił się na drzwi, odskoczył, znalazł klamkę i otworzył drzwi. Szedł szybko z pochyloną głową, w uszach mu dzwoniło. Minął magazyn i skręcił w lewo. Były tam banki, sklepy, hotele. Bardzo mały ruch. Nie było taksówek. Będzie musiał zadzwonić po taksówkę.

Skręcił w prawo i zobaczył hotel Southland. Dochodziła dziesiąta

wieczorem. Zupełnie martwo w sercu miasta. Weźmie taksówkę na lotnisko. Odleci pierwszym samolotem. Nowy Jork, Chicago, Toronto. Jego torba podróżna leżała na tylnym siedzeniu samochodu Żartownisia. Przebiegł w myślach jej zawartość. Nic, co mogłoby naprowadzić na jego ślad. Nawet koszuli z monogramem.

Kiedy Talerico się zbliżał, pod hotel podjeżdżała taksówka.

Wcześniej czy później w tego typu pracy – w akwizycji – człowiek musiał się znaleźć w sytuacji stresowej, zwłaszcza kiedy interesy wymagały odwiedzenia tej części Stanów, gdzie każdy ma taką czy inną broń, w takim czy innym celu.

Kowboje.

Earl Mudger stał przed wietnamską restauracją Lien, usytuowaną powyżej Riverwalk w San Antonio. Zatrzymał się tutaj, zamiast lecieć bezpośrednio do Dallas, żeby zjeść kolację ze starym kumplem z frontu, George'em Barberem, który był teraz przydzielony do Powietrznych Sił Bezpieczeństwa stacjonujących w Kelly.

Był zadowolony, że przyszło mu to do głowy. Cieszyli się swoim towarzystwem zgodnie z tradycją. Uczucia, sentymenty, niesprecyzowany żal. Czekał, aż George przyprowadzi samochód z pobliskiego parkingu, żeby odwieźć go na lotnisko na krótki lot do Dallas.

George poinformował Mudgera o najnowszym wyposażeniu. Z bardzo złożonymi odczuciami słuchał znowu tego specyficznego języka, naszpikowanego nowymi terminami. Przypomniało to Mudgerowi Wietnam, oczywiście. Nazwy firmowe. Pocięgę, jaką znajdowali ludzie w żargonie dotyczącym broni.

Przypomniało mu to także surrealistyczną rozmowę międzymiastową z Vanem, chwilę przed wyjściem z domu w drodze tutaj. Tran Le przy dodatkowej słuchawce, tłumacząca w razie potrzeby, i Mudger słuchający, kiedy Van wyjaśniał, że chciałby dotrzeć do obiektu drogą powietrzną. Zlokalizowali obiekt w starym obozie gdzieś pomiędzy drogą federalną 385 a Rio Grande, w miejscu, gdzie rzeka biegnie zakolem na północ powyżej Stillman. Van nie ograniczył się do stwierdzenia, że potrzebny mu helikopter. Usiłował sprecyzować typ, wielkość, markę, numer modelu i dane techniczne.

To całe nazewnictwo, które zresztą nawet nie było angielskie, w końcu pokonało Vana. Oznajmił, że zgodzi się na to, co uda się Mudgerowi załatwić. Głównie dzięki wysiłkom George'a Barbera udało się Mudgerowi załatwić dwumiejscowy helikopter patrolowy, Hughes 200, jeden z

typów używanych przez amerykańskich celników do kontrolowania przemytu. Na koniec Mudger zapytał George'a, czy do tego typu helikoptera można przymocować na zewnątrz kosz z noszami. Można.

Tran Le chciała wiedzieć, o jaki obiekt chodzi.

Podjechał George i Mudger wsiadł do samochodu. Wojna w Wietnamie pod wieloma względami opierała się na mieszanym żargonie. Mudger potrafił jednak zrozumieć jego znaczenie na najbardziej podstawowym poziomie, na poziomie pomruków, na którym funkcjonowali walczący mężczyźni. Tam żargon techniczny stanowił często jedyny element precyzji, jedyne prawdziwe piękno, które można było zabrać do królestwa dwuznaczności.

Kaliber, naboje, nazwy specjalnych akcesoriów. Korespondenci szpikowali tym swoje doniesienia, posługując się nazwami jak elementami narracji, usiłując przekazać oddziaływanie brutalnej akcji za pomocą powiązania liter i cyfr. Mudger uwielbiał to, zarówno z ironicznego punktu widzenia, jak i całkiem zwyczajnego. Te cyfry-słowa i zbitki wypowiediane przez spoconych mężczyzn umazanych dla kamuflażu smarem miały nieodparty wdzięk rygorystycznego metrum wiersza.

Broń nazywano, przezywano, chrzczono, tytułowano, dubbingowano. Środki ochronne. Składniki spektaklu doskonałego. Recytowanie tych nazw było żołnierską poezją, antyżargonem śmierci.

– Chyba muszę przyduścić, bo się spóźnisz na samolot – powiedział George.

Mudgerowi niezbyt na tym zależało. Ta akcja była fuszerką. Może to prawda, co ludzie zdawali się podejrzewać. Bez poparcia BZK/BO wszystko się wymykało. Niewątpliwie sam BZK/BO wspomagał ten proces upadku. Ta cała sprawa powinna już być załatwiona, nie powinna w ogóle wymagać jego obecności. A druga rzecz, Van, Cao i przemontowanie, to jeszcze większa fuszerka, przynajmniej potencjalnie, przy z góry założonym charakterze czegoś w rodzaju klasycznej epepei, na tyle zmodernizowanej, by włączyć helikopter. Ale to on pozwoli na jej kontynuację. To było głupie. W tej chwili pragnął się znaleźć w swoim warsztacie w suterenie, walić w rozgrzany kawałek stali dwustronnym młotem.

Ludzie pierwotni przemierzający tundrę. Trzeba nazwać swoją broń, zanim można użyć jej do zabijania.

Lomax trwał bez ruchu w budce kasjera.

Przyszło mu do głowy, że wkrótce miejsca takie jak to będą stanowić

bezpieczne dowody zapomnianego stylu życia. Handel i wymiana. Stare miasto. Plac targowy. Śródmieście.

Co robimy z naszymi lasami, jeziorami, z dzielnicami magazynów? Tak to ma być. Co robimy z dzielnicami magazynów, stacjami przeładunkowymi, parkingami?

Był zmęczony, głodny, zmarznięty. Człowiek, który wydawał bilety i zbierał pieniądze, zostawił stosik krakersów na kawałku pergaminu. Lomax przysunął je łokciem. Jedzenie innych ludzi. Lodówki innych ludzi. Zawsze był lekko zde gustowany tym, co zdarzało mu się zobaczyć w lodówkach innych ludzi.

Usłyszał, że krzyczy jakiś mężczyzna. Krzyk miał tonację obelgi. Przez chwilę widać było czyjąś głowę nad dachem samochodu zaparkowanego w odległości pięćdziesięciu metrów. Znowu głos wykrzykujący obelgi. Pojawiła się druga postać, zmierzająca w stronę samochodu.

Lomax wstrzymał oddech i wydobyl automat z kabury przy pasku. Położył lewą rękę na klamce drzwi, gotów otworzyć je w razie konieczności. Niewykluczone, że jego sylwetkę da się zauważyć w bardzo słabym świetle pobliskiej latarni. Przez kilka minut trwał w bezruchu. Znowu kilka krzyków. Nikogo więcej nie ma. Stare miasto. Opuszczone serce.

Druga postać poruszyła się, w kierunku magazynu. Lomax otworzył drzwi budki. Rozległ się strzał. Przebiegł szybko do najbliższego samochodu, przycupnął za nim. W odległości dwudziestu metrów ktoś przeszedł szybkim krokiem. Był to mężczyzna z opuszczoną głową, jakby poruszał się na silnym wietrze. Lomax popatrzył nad bagażnikiem samochodu. Ktoś szedł w przeciwnym kierunku, powoli. Też mężczyzna. Zniknął za wagonem towarowym.

Lomax nie ruszał się z miejsca przez całe trzy minuty, nasłuchując. Potem poszedł w kierunku samochodu, gdzie strzelano. Trzymał broń na biodrze. Rękę miał usztywnioną, nie poruszała się w sposób naturalny jak druga ręka. Widział siebie, jak opuszcza scenę. Przeskok w czasie. Widział siebie wysiadającego z samolotu na lotnisku National w Waszyngtonie. Widział siebie, jak sprzedaje apartamenty w Zatoce Perskiej.

Drzwiczki z obu stron były otwarte. Na ziemi po stronie kierowcy leżał mężczyzna, oddychał ciężko. Lomax przykucnął w odległości dwóch metrów, z rewolwerem wycelowanym w głowę mężczyzny.

– Kim jesteś?

Ten sam utrudzony oddech. Ciężki oddech kogoś głęboko uspiętego.

- Kim jesteś? – pytał Lomax.
- Odpieprz się, jestem trafiony.
- Wiem, że jesteś trafiony.
- Mam kulę w gardle. Czuję coś.

Lomax pochylił się w prawo, żeby lepiej widzieć. Mężczyzna został postrzelony w lewą stronę twarzy, poniżej kości policzkowej. Drzwi były otwarte, więc w środku samochodu paliło się światło, Lomax widział ślady prochu wokół dziury w policzku mężczyzny. Wokół ust było pełno krwi.

- Jak się nazywasz? Kim jesteś?
 - Nie twoja sprawa. Pozwól mi oddychać.
 - Mogę zawołać karetkę. Chcesz?
 - Jak zacznę się dusić, wsadź mi palec w gardło. Będę ci wdzięczny.
- Nie znoszę uczucia duszenia. Cholernie się tego boję.

- Nic nie obiecuję, jeśli nie powiesz, kim jesteś.
- Jestem Sherman Kantrowitz.
- Kim jesteś, Sherman? Kim są tamci ludzie?
- Jestem synem Sophie i Nata.
- Kim są tamci ludzie?

Ten sam nierówny, głęboki oddech. Poszukiwanie rytmu.

- Sherman, dla kogo pracujesz?
- Chciałbym przełknąć, ale się boję.

Lomax widział siebie, jak gra dziennie osiemnaście dołków. Słońce świeci. Od Zatoki wieje słodka bryza.

Tran Le.

Pola były brązowawe i rozległe. Trzy czwarte koła i więcej. W powietrzu czysty alkohol zimy.

Tran Le stojąca przy oknie.

Jej oczy były duże i ciemne, miały osobliwą głębię, wyraz skruchy, jak u dziecka, nad którym przez cały czas wisi kara. Bez tej zmiękczającej głębi jej twarz mogłaby mieć zbyt mocne kontury. Linie kości policzkowych i szczęk były zdecydowane i wyraźne, usta pełne, szerokie, srebrnoróżowe i zmysłowe, trochę zachłanne w pewnym oświetleniu, trochę ordynarne. Znowu przeciwwaga. Kpiły z dziecinnych oczu.

Teraz chodziła od okna do okna. Niewielkie lampy kołysały się na patio. Pod drzewem stało wiklinowe krzesło. Z jednej ze stajni wystawał koniec czerwonego canoe. Przeszła na drugą stronę pokoju. Liście wolno

kręciły się w sadzawce. Czerwony bluszcz zwisał nad dachem niewielkiej szopy. Panował spokój, minuty przed zachodem słońca, przyćmione światło na polach. Patrzyła, jak pasą się konie.

Wypisanie rachunku zajęło kierowcy taksówki około sześćdziesięciu sekund. Moll obserwowała dwójkę właścicieli psów, którzy podeszli bliżej krawężnika, żeby umożliwić swoim pupilom wzajemne obwąchanie się. Milutkie. Wzięła rachunek i weszła po schodkach w drzwi wejściowe kamienicy z czerwonego piaskowca.

W westybulu nacisnęła dzwonek i czekała, aż Grace Delaney ją wpuści. Nic się jednak nie działo. Zadzwoiła jeszcze raz. Było już po jedenastej, ale w poniedziałki Grace siedziała zwykle do północy lub dłużej.

Moll miała klucze. Zanim otworzyła, zajrzała przez szybę w drzwiach, ale widok zasłaniała metalowa siatka po drugiej stronie szklanej tafli.

Weszła do budynku i ruszyła po schodach na trzecie piętro. Szła z głową podniesioną do góry i lekko odchyloną w lewo, żeby widzieć podest i następny zakręt schodów.

Obydwie pary drzwi na trzecim piętrze były zamknięte. Weszła na ostatni odcinek schodów. Dwa klucze do zewnętrznych drzwi biura. Po drugiej próbie udało się dopasować je do odpowiednich zamków. Zamknięty był tylko jeden.

Pałyły się wszystkie światła. Weszła niepewnie, wołając Grace po imieniu. Przeszła przez pierwsze pomieszczenie do biura Grace. Zwykły nieporządek. Korekty, korespondencja, zdjęcia. Na stoliku do kawy butelka balsamu do rąk. Papierowy kubek wypełniony niemal po brzegi zupą jarzynową.

Stała na środku pokoju pełna ponurych przeczuć. Coś się wydarzy. Ktoś się pojawi. Podniosła słuchawkę i wykręciła domowy numer Grace, choćby po to, by zburzyć nastrój. Odezwało się nagranie, nagłośnione i posępne: *Tu Grace Delaney. Nie ma mnie akurat w domu. Nikogo nie ma. Po usłyszeniu sygnału proszę zostawić nazwisko i numer...*

Oczywiście. Nikogo nie ma tam, gdzie powinien być. Moll uświadomiła sobie, jak bardzo się myliła, odczuwając niepokój. Akcja toczyła się gdzie indziej, obejmowała wszystkich prócz niej. Odmawiając seksualnego aliansu z Earlem Mudgerem, odcięła się od reszty. Taki był rezultat,

zamierzony czy nie. Tu nie czekało żadne zagrożenie. Nikt już nie obserwował ani nie słuchał. Bezpieczeństwo. Dlaczego czuła się taka zawiedziona?

Zamknęła na obydwie zamki, powoli zeszła po schodach i wyszła z budynku.

Grace Delaney siedziała w pobliżu gigantycznej wiktoriańskiej klatki dla ptaków w hallu hotelu Barclay, przy przecznicy Park Avenue. Kilka razy spoglądała na zegarek, w końcu podeszła do jednego z telefonów. Odebrał mężczyzna.

– Sprawdzam wentylację w łazience.

– Najpierw mnie tu ściągasz – skarciła go Grace – a potem każesz mi czekać.

– Jestem w trakcie sprawdzania wentylacji.

– Jadę na górę.

– Chcemy mieć pewność, że pokój jest absolutnie czysty. Prawda?

– Prawda.

– Oczywiście, że tak – powiedział.

Piętnaście minut później wysiadła z windy na dwunastym piętrze. Pokój znajdował się w głównym korytarzu. Lomax wpuścił ją do środka. Zastony były zaciągnięte. Paliło się tylko jedno światło, niewielka lampka stołowa – którą umieścił na podłodze, najwyraźniej po to, by uzyskać jak najmniej ostre oświetlenie. Pomógł jej zdjąć palto i powiesił je w szafie.

– Świetna suknia.

– Prastara. Po prostu relikw.

– Umiesz się ubrać. Rzeczy dobrze na tobie leżą. Doskonale wiesz, co dobrze wygląda.

Usiadł na brzegu łóżka i zdjął buty.

– Jesteś kobietą z Nowego Jorku – rzekł. – Klasyczną.

– Zamknij się, Artur, dobra?

– Naprawdę, w najlepszym znaczeniu.

Zdjęła suknię i powiesiła ją na oparciu krzesła.

– Nigdy nie myślałam, że znajdę się w łóżku z mężczyzną, który nosi buty Wallabees Clarka.

– Nie noszę ich w łóżku.

– I tak dobrze, że to nie zamszaki – skomentowała. – Chryste, to by dopiero było.

Lomax wstał, żeby zdjąć spodnie.

– Dlaczego nie podobają ci się Wallabees Clarka? To bardzo dobre buty.

Dwie pokojówki przeszły pod drzwiami, rozmawiając i śmiejąc się.

– Gracie, a może byśmy coś zamówili do pokoju? Szkocką, burbona? Dzisiaj pogoda na szkocką. Taka pora.

– Mam piersiówkę.

Usiadła przed lustrem w staniku, w majtkach, w pończochach i w pasku do podwiązek. Trzymała w ustach szpilkę, bo poprawiała włosy. Lomax przez chwilę stał nagi, potem wszedł pod koc, patrząc na nią.

– Musiałaś coś odwołać?

– Tylko Moll – odparła.

– Mój program jest cholerny.

– Tyle że nie odwołałam, po prostu wyszłam. Artur, chciałam cię zapytać. Kim był ten jej przyjaciel? O jakim przyjacielu mówiła?

– Masz na myśli kolekcję.

– Mówiłam ci, że miała kogoś, kto mógł jej ułatwić dostęp do kolekcji Percivala.

– Dajmy sobie z nim spokój.

– Byli kochankami?

– Jak najbardziej.

– Gdzie on jest?

– To nieważne – powiedział Lomax. – Daleko.

– Wtedy wydawałeś się dość zainteresowany.

– Po prostu zbierałem fakty.

– I jakie są te fakty?

– Może ułatwił jej dostęp, a może nie. Ostatnio nie myślałem o tym. Do przodu i w górę.

Grace podeszła do łóżka z jego strony. Na dłuższą chwilę położył ręce na jej piersiach, na staniku. Zdawało się to częścią ustalonego programu. Potem poszła do łazienki, zostawiając otwarte drzwi.

– Artur, co się wydarzyło w Dallas?

Nie odpowiedział. Wyszła, trzymając w ręku torebkę. Wyjęła z niej srebrną piersiówkę i podeszła do łóżka z drugiej strony. Usiadła i zdjęła pończochy.

– Co ta lampa robi na podłodze?

– Odrobinę nastroju.

– Jesteś pewien, że nie ma w niej pluskwy?

- Chyba już potrafię sprawdzić pokój.
- Rozsądnie.
- Dranie, można się tego po nich spodziewać.

Patrzyła na niego, wsparta na kołdrze, piersiówka znalazła się pomiędzy nimi.

- Jacy dranie?
- BZK/BO.
- Czy to nie twój dranie? Czyż nie masz dalej kanału?
- Tak ci powiedziałem?

– Byle nie byli to ci od podatków – powiedziała. – Bylebyś trzymał poborców podatkowych z dala od moich drzwi.

Lomax nachylił się, by polizać jej pępek. Na korytarzu ktoś pchał stół z tacą.

– To dalej aktualne – oznajmił. – Muszę stale robić uniki. Przesłstwo podatkowe to nie żarty.

- Kutasy.
- Celowe pominięcie.
- Nie ma przepisu o przedawnieniu?
- Nie za oszustwo – odparł.
- To już tyle lat.

– Byłaś polityczna. Oni uwielbiają politycznych i ważnych mafiosów. Uwielbiają też wytaczać im sprawy w lutym albo w marcu. To napędza stracha podatnikom. Kiedy zobaczą zdjęcia swego ulubionego mafiosa schodzącego ze schodów w sądzie. Koniec lutego, początek marca.

– Dlaczego nie zadowolą się zajęciem mojego konta w banku, samochodu czy czegokolwiek?

– W takich przypadkach jak twój wolą drogę sądową. Oczywiście zależy to od wysokości sumy. Brałaś udział w bardzo radykalnych awanturach, Gracie. Obracałaś wielkimi sumami pieniędzy. Celowe przeoczenie. Wielorakie systemy księgowania. Bardzo psotna dziewczynka.

- Ruch był czymś żywym – zauważyła sucho.
- Pokażę ci coś żywego.
- Kiwanie systemu było obowiązkiem.
- Chcesz coś żywego?
- A co oni mają, konkretnie?

– Widziałem twój dokument. Trzymają go. Najrozmaitsze dane z komputera. Ale trzymają to. Są wyraźne ślady oszustwa. Jak mówię, stosowałem uniki. Na szczęście dla ciebie, istnieje cały łańcuch powiąza-

nych interesów.

Grace przesunęła końcem palca wskazującego po wargach. Napiła się z piersiówki i podała ją Lomaxowi. Odgłosy ulicy były ledwie słyszalne. Lomax pociągnął niewielki łyk, zaskoczony.

– To nie jest szkocka.

– To wódka.

– Pogoda jest na szkocką.

– Wód-ka.

– Czy mam zamówić? – powiedział sam do siebie. – Ale musiałbym się ubrać.

– Artur, opowiedz mi o Dallas.

– Zimno i ciemno.

– Puszczalesz drobne aluzje.

– Przez ciebie robię różne rzeczy. To nie do wiary, do czego ty mnie skłaniasz.

– Do czego skłaniamy się nawzajem.

– To dlatego, że straciłem wiarę.

– Nic cię to nie obchodzi. Rozumiem, skarbie.

– Zdejmij górę, dlaczego nie zdejmujesz?

– W odpowiednim czasie, skarbie.

– Nie wierzę. Kiedyś wierzyłem, a teraz nie wierzę.

– Rozumiem, najmilszy.

Odwróciła się do niego, przysunęła się bliżej, piersiówkę, którą trzymała lewą ręką, oparła na jego torsie.

– Szczerze mówiąc, było paskudnie.

– Opowiadasz takie urocze historie.

– Czyż to nie jest prawda?

– Pozwól mi się ułożyć, wygodnie i przytulnie.

– Wydarzyło się to, że różni ludzie manewrowali, żeby zająć odpowiednią pozycję. To standard. Ja ustawiłem się zgodnie z planem, czekając na Earla. To może być zajęcie pełnoetatowe. Tak to z nim jest. Gwałtowne entuzjazmy. Wypalona ziemia na mile wokół. A kiedy indziej gdzie jest? Mówi to i tamto, ale nie ma go tam, gdzie powinien być, jest w Arabii Saudyjskiej, załatwia jakieś interesy dzierżawne. A tymczasem ja znajduję się twarzą w twarz z facetem, który ma kulę w gardle. Jest bardzo ciemno. Co się dzieje? Po długich badaniach dowiaduję się, że on pracuje z wolnej stopy dla Talerico, Vincenta, średniej klasy mafiosa. Wszystkim chodzi o to samo. Wiedzieliśmy o zainteresowaniu senatora.

Wiedzieliśmy o zainteresowaniu Richiego, tego szczeniaka Armbristera. A teraz mamy jeszcze mafię w całym renesansowym blasku. I co się wtedy dzieje, zza rogu nadjeżdża samochód, a ja przyskam z pola widzenia. Siedzę pod furgonetką, wyglądam stamtąd, czując, że to początek kryzysu wieku średniego.

– Ciemna noc duszy – wtrąciła Grace.

– Czego czy kogo?

– Kiedy księża przestają wierzyć, co to oznacza?

– Oczywiście był to Mudger. Siedział na tylnym siedzeniu zwyczajnej taksówki. Wyczołgałem się spod furgonetki i podszedłem do niego. Powiedziałem, co wiedziałem. On zaproponował, żebym wsiadł, tak też zrobiłem i odjechaliśmy.

– Zostawiając człowieka z kulą w gardle.

– To się zdarza, Gracie.

– Nie mów do mnie Gracie.

– Chcesz, żebym mówił do ciebie tak, jak cię nazywa Earl?

– To znaczy?

– Nieważne – odparł.

– To jak Earl mnie nazywa?

– Zdejmij górę.

– Nie ma mowy, gołąbku.

Napiła się z piersiówki i ułożyła się z powrotem.

– Mam kontynuować?

– Jesteś w taksówce – powiedziała.

– W każdym razie Earl mówi mi, że stracił złudzenia. Chce kupić gdzieś dużo ziemi i stworzyć coś w rodzaju parku safari. Zwierzęta na wolności, ludzie z aparatami, czy ja wiem. Po części zoo, po części naturalne środowisko. Nie był zbyt precyzyjny w szczegółach. Wpadł na ten pomysł dopiero w samolocie z San Antonio. To część jego nostalgii za Wietnamem. Tam miał zoo.

– Ciekawe, czybym go polubiła – zastanowiła się Grace. Moll lubi go i nie lubi.

– Ty nikogo nie lubisz. No, kogo lubisz?

– Napisała interesujący kawałek. Bardzo nierówny i cholernie niespójny. Ale naprawdę to jej najlepszy tekst. Byłam autentycznie przygnębiona.

– Earl nazywa cię DPD.

– Co to znaczy?

– To żartobliwa nazwa. Nic nie znaczy. Earl to wymyślił. Właściwie zrobiliśmy to obaj.

– Chyba nie polubiłabym go.

– Nie polubiłabyś też senatora. Ty nikogo nie lubisz.

– Jestem stara i zmęczona.

– Senator też już wypadł z trasy. Zajął się czym innym. Bardziej tradycyjnym.

– Kogo to obchodzi? Czy wyglądam na to, że mnie obchodzi?

– Jeszcze jesteś młoda – zaoponował Lomax. – To ja jestem stary. Czuję się stary.

– Arturze, jesteś młodszy ode mnie, ale nawet to mnie nie obchodzi.

– Czuję się staro. To ja jestem stary. Gdybym był psem, chronologicznie rzecz biorąc, miałbym dopiero sześć lat, ale czuję się dojrzały do rzeźni.

Grace zdjęła stanik i leżała twarzą do sufitu. Lomax położył piersiówkę na stoliczku przy łóżku. Jego radiopager zaczął bzyczyć. Było to niewielkie urządzenie, które od niedawna wszędzie zabierał. Teraz znajdowało się w szafie, w kieszeni płaszcza. W przeciwieństwie do powszechnie używanych pagerów działało w promieniu półtora tysiąca kilometrów od sygnału nadawcy. Urządzenie uruchamiane przez komputer pozwalało Earlowi Mudgerowi skontaktować się z Lomaxem, bez względu na to, gdzie był i co robił, w promieniu półtora tysiąca kilometrów. Kiedy pager zaczynał bzyczyć, Lomax miał zadzwonić pod określony numer, by otrzymać instrukcje, jakie dla niego przygotowano.

Po piętnastu długich sekundach dźwięk umilkł. Grace popatrzyła na Lomaxa, oczekując na jakąś reakcję.

– Powiem ci, kogo doceniam – powiedział Lomax.

Złożył ręce pod głowę.

– Kim są ci, którzy jako jedyni wierzą w to, co robią? Jedyni, którzy nie poprawiają bez przerwy, nie wahają się – w tę stronę, w tamtą stronę, nie ulegają naciskom ani przymusom zmiany.

– Mafijne rodziny – skomentowała.

– Dranie są poważni. Absolutnie zaangażowani. Tylko oni. Widzą jasno, środek tarczy, prosto przed siebie. Wiedzą, do czego należą. Nie kwestionują zasady.

– Dalej biorą udział w wyścigu?

– Oni tworzą wyścig – kontynuował Lomax. – Jest ten stary kretyn, handlarz sztuki, który pewnie sam siedzi na tym pudle z taśmą i uważa,

że wystarczy, jak zorganizuje aukcję.

– Co znaczy DPD?

Lomax spojrział na nią, na jego twarzy malował się ślad cierpkiego rozbawienia.

– Na pewno chcesz wiedzieć? – spytał.

– Tak, powiedz mi, jestem ciekawa.

Wyciągnął prawą rękę spod głowy, środkowym palcem pocesał najpierw jeden baczek, potem drugi.

– Dziwka Płaska jak Deska – powiedział.

Zacisnęła usta. Z pozycji na wznak przewróciła się na prawy bok, zamachnęła się lewą ręką, by wymierzyć okrągły cios tuż powyżej jego prawego oka. Zwinął się dziwnie, jakby dostał w pachwinę. Zakrywając prawe oko obydwoma rękami, odwrócił się od niej, napięty, przesunął się na sam brzeg łóżka.

– Nazywamy cię tak dla żartu – wyjaśnił.

Drugi cios, lewy sierp jak młot trafił go za uchem. Radiopager znowu zaczął bzyczeć.

– To nic nie znaczy – zapewnił Lomax. – Tak się porozumiewamy, skrótami, czasami szyfrem. Każdemu nadajemy inne imię. Niektóre o wiele gorsze od twojego.

Grace leżała na łóżku, słuchając, jak pager emituje zaprogramowaną serię dźwięków. Usta miała dalej zaciśnięte, ale oddychała normalnie, jakby przemoc była w jej życiu czymś zwyczajnym.

Moll siedziała w wannie, starając się tak przewracać strony wczesnego wydania „Timesa”, żeby ich nie zamoczyć.

Interesująca notatka w pobliżu nekrologów.

Doniesiono dzisiaj, że senator Lloyd Percival ożenił się w czwartek w Bethesda, stan Maryland, kilka godzin po otrzymaniu rozwodu.

Panna młoda to Dayton (DeDe) Baker, 20 lat, stażystka w Muzeum Medycznym Instytutu Patologii Sił Zbrojnych w Waszyngtonie.

Zabawne, ale zadziwiające.

Ceremonia odbyła się w apartamencie medytacji Stone Hollow Country Club, a ślubu udzielił wielebny Penny W. Parker, założyciel Misji Humanistycznej.

Jezus.

Tekst pośród typograficznego chaosu cytował słowa senatora, sześć-

dziesiąt jeden lat, że czuje się „odrodzony, ożywiony, gotów podejmować nowe śmiałe wyczyny”. Przeprowadzono wywiad z nim i z małżonką, zanim młoda para udała się na lotnisko, by odlecieć w nie ujawnionym kierunku.

Następnego dnia w biurze Moll, kierowana impulsem, sprawdziła tę historię w ostatnim wydaniu. Przekonała się, że we wcześniejszej wersji opuszczono jeden akapit. Resztę uzupełniła w kartotekach redakcyjnych na końcu korytarza.

Ojcem panny młodej był nieżyjący już Freeman Red Barker, znany autorytet w dziedzinie sztuki i kultury perskiej. A także główny bohater skandalu przed piętnastu laty, związanego ze zniknięciem rzadkich okazów starożytnej sztuki erotycznej – dywanów, tkanin, rzeźb w metalu – z legendarnej prywatnej kolekcji w Isfahanie.

Zaczynam rozumieć.

W czasie rzekomej kradzieży doktor Baker był specjalnym kuratorem tak zwanych Zakazanych Komnat, czyli tej części zbiorów, do której dostęp był ograniczony.

Bardzo seksowny materiał.

Doktor Baker zmarł śmiercią naturalną przed trzema laty we wschodniej Turcji, ciągle jednak w atmosferze podejrzeń. Skarbów nie odzyskano.

Po powrocie do swojego boksu Moll zastanawiała się, czy Lightborne widział ten artykuł. Jeśli tak, to żegna się w myślach z Lloydem Percivalem. Senator najwyraźniej porzucił fortecę Berlin, nazistów w ruchu, i wybrał pewność pustynnego spokoju. Sztukę mistyków i nomadów. Staroświeckie radości.

6

Selvy znalazł pas typu Sam Browne w czyjejs szafce w długim baraku. Włożył go. Nieźle dopasowany. Lubił czuć pasek naramienny, który przebiegał ukośnie przez tors. Sądził, że wymyśli jakiś sposób, żeby przymocować bolo, wiedział bowiem, że oryginalny pas zaprojektował jednoręki brytyjski generał do podtrzymywania szpady.

Stał przed barakiem. Jasny dzień. Od czasu do czasu w okolicy tworzyły się wiry powietrzne. Wspomnienie. Odtworzenie. Obserwował kruka szybującego na wietrze w stronę gór; ptak najpierw unosił się stopniowo, ruchem stałym i znajomym, a potem spazmatycznymi skokami, gwałtownie się wznosił szczególnymi etapami, zupełnie bez wysiłku, na pozór przekraczając granice tego, co możliwe w świecie fizycznym – niedostrzegalne przejścia, które zmuszały obserwatora do prób odnalezienia brakujących segmentów czasu i przestrzeni.

Olbrzymie szybujące ptaki były tu jedynymi istotami, które żyły bez odniesienia do wycucia odległości. W każdym razie tak to sobie wyobrażał Selvy. Raz wymienił spojrzenia z odległości kilku metrów z jastrzębiem o czerwonym ogonie, który przysiadł na pniu drzewa na skraju opuszczonego rancza, może trzydzieści kilometrów stąd, podczas porannych ćwiczeń z ostrą amunicją. W ten sposób zaczął wierzyć w transcendentne piękno drapieżników.

Dzień był wtedy taki jak dziś. Poranek wyjątkowej jasności. Widoczność bez mylącego blasku. Niebo przesączone światłem. Wszystko było kolorem.

Znajdował się dwadzieścia metrów od baraku, kiedy uświadomił sobie, że dwa koty kręcą mu się koło nóg. Przystanął i odwrócił się. Trzy kolejne koty zmierzały w tym kierunku. Wiedział, co to oznacza. Spod baraku wyszły jeszcze następne koty. Szły za nim, miaucząc, plątały się pod nogami. Teraz zbliżały się koty także z innej strony, od wiatraka. Rozwijający się obraz. Po dziesięciu krokach przykucnął, a koty były wszędzie, drapały, miauczały, co najmniej piętnaście kotów i kociaków. Pozwalały się głaskać i dotykać albo po prostu wyciągały się na słońcu, mrucząc, albo wachały jego ubranie, a wszystkie wyglądały na zdrowe i

dobrze odżywione.

Był tu Levi Blackwater.

Wtedy, w Mines, był niepożądanym gościem w większości męskich zbiorowisk. Zwyczajny chłopak z Ohio, o imieniu z Księgi Rodzaju, służył jako doradca techniczny w siłach ARVN na stosunkowo wczesnym etapie zaangażowania Stanów Zjednoczonych. Podczas patrolu zwiadowczego został schwytany przez Wietkong, torturowany. Pokochał swoich strażników. Osiem miesięcy w budynku więzienia na terenie bazy Wietkongu w gęstym zagajniku mangrowym. Głowy rybie i ryż. Wieszali go za stopy. Trzymali mu głowę pod wodą. Obcięli mu dwa palce.

Im bardziej go torturowali, tym bardziej ich kochał. Pomagali mu. Traktował to jako pomoc.

W Mines gotował, pracował w pralni, wykonywał wszystkie prace pomocnicze. Ludzie znali jego historię i trzymali się od niego z daleka. Selvy był wyjątkiem. Chodził do Leviego na lekcje medytacji.

Moll odnosiła się podejrzliwie do poszukiwań. Jej zdaniem na dnie wszelkich długich i obsesyjnych dociekań krył się jakiś zasadniczy defekt poszukującego, ubóstwo ducha.

Siedziała w ciemności, słuchając, jak Odell szarpie się z projektorem.

Bardziej przygnębiające od charakteru określonego poszukiwania okazywały się jego prawdopodobne rezultaty. Bez względu na to, czy ludzie poszukiwali jakiegoś przedmiotu, możliwości płynącej z wnętrza, odpowiedzi czy stanu istnienia, niemal zawsze przynosiło to rozczarowanie. W końcu spotykali się jedynie z sobą. Jedynie sami z sobą. Oczywiście byli tacy, którzy wierzyli, że liczy się sam proces poszukiwania. Sam ten proces jest korzyścią.

Lightborne by się z tym nie zgodził. Jemu chodziło o produkt rynkowy, co do tego nie miała wątpliwości. Nie zajmował się tym dla egzystencjalnego uniesienia.

Odell zapalił lampę i podszedł do ekranu, aby się upewnić, że jest równoległy do taśmy poruszającej się w ramce projektora. Kiedy się tym zajmował, Moll zerknęła na Lightborne'a.

– Jaka była pogoda, kiedy pani przyszła? – spytał. – Deszcz czy deszcz ze śniegiem? Potrzebne mi nowe buty. Chciałbym w tym roku znaleźć jakieś ocieplane. Mówi się, że to zły rok, w dłuższej perspektywie.

Od chwili przyjścia Moll prowadził takie błahe, nerwowe rozmówki.

Już dwukrotnie Odell zapalił światło, żeby dokonać jakichś ostatnich poprawek. Za każdym razem Lightborne natychmiast zaczynał rozmowę. W ciemności milczał. W ciemności przygryzał kłykcie.

Odell jeszcze raz zgasił lampę. Moll ogarnęło owo znane jej od dzieciństwa poczucie oczekiwania – życie w kinie. Było to oczekiwanie przyjemności nie dające się z niczym porównać. Proste tajemnice przenikają najgłębiej. Co to oznaczało, ta absolutnie bezpieczna ucieczka, ta ufność w sercu? I jak to możliwe, że nawet niedobre, okropne, naprawdę straszne filmy nigdy nie zaprzeczały temu uniesieniu i ufności, jakie odczuwała na sekundę przedtem, nim rozświetlił się ekran? To oczekiwanie nie miało związku z tym, co następowało potem. Było stale odnawianym poczuciem wolności od wszystkich zobowiązań i warunków pozakinowego świata.

Czuła to nawet tutaj, siedząc na twardym krześle z prostym oparciem w obskurnej galerii przed małym ekranem. Czuła to pomimo znajomości najróżniejszych układów, procedur i technik związanych ze zdobyciem tego filmu.

Dwuwymiarowe miasto zmaterializuje się w ciemności, zawieszony w różnych wymiarach czasu, całkowicie odmienny od systemu, w którym zachodzą prawdziwe wydarzenia. A jednak rozumiemy je tak ochoczo i dobrze. Wszystkie przestrzenne i czasowe kody tego miasta przemawiają do nas, jakby chodziło o miejsce wcześniej nam znane.

– Wyłączyłem telefon – powiedział Lightborne. – Tymczasowo. Aby wyciszyć dźwięk niektórych głosów.

Zaczął mówić coś jeszcze, ale jego głos ucichł, słychać było jedynie dźwięk taśmy filmowej przesuwanej mechanizmem transmisyjnym w czarnym projektorze.

Pusty pokój/czarno-biały.

Tynk popękany w wielu miejscach. Na kawałkach ściany w ogóle brak tynku. Światła w pokoju mrugają.

Pojawia się trójka dzieci. Dziewczynka, może jedenastoletnia, niesie krzesło. Dwoje młodszych dzieci, chłopiec i bardzo mała dziewczynka, wspólnymi siłami ciągnie drugie krzesło.

Dzieci stawiają krzesła na podłodze i znikają z pola widzenia kamery.

Jakieś zakłócenie. Obraz skacze, jakby kamerę szarpnięto gwałtownym ruchem.

Pusty ekran.

Znowu pokój. Takie samo ustawienie kamery.

Pojawia się czwarte dziecko, dziewczynka. Przechodzi przez pokój, wspina się na jedno z krzesel, siada wyprostowana, usiłuje zapanować nad nieśmiałym uśmiechem.

Chłopiec i starsza dziewczynka wnoszą dwa kolejne krzesła. Pojawia się kobieta, bardzo wymizerowana, idzie w kierunku dziecka siedzącego na krześle. Światła mrugają. Pojawia się kolejna dziewczynka, zauważa kamerę i szybko wychodzi z jej zasięgu.

Chłopiec i starsza dziewczynka wnoszą kolejne dwa krzesła.

Kamera jest nieruchoma. Nie wybiera. Ludzie pojawiają się w jej zasięgu i znikają.

Kobieta siada obok małej dziewczynki, machinalnie głaszcząc rękę dziecka. Jest atrakcyjną blondynką, najwyraźniej nie czuje się dobrze. Wydaje się osłabiona. Można by nawet powiedzieć, że ma problemy emocjonalne. Najstarsza dziewczynka staje obok niej, coś mówi. Kobieta powoli kiwa głową.

Chłopiec wnosi jeszcze jedno krzesło. Pojawia się jeszcze trójka dorosłych, mężczyzna i dwie kobiety. Stoją niezręcznie, mężczyzna usiłuje jakoś wszystkich posadzić. Chłopiec i najstarsza dziewczynka wnoszą jeszcze dwa krzesła.

Pusty niedawno pokój zatłoczony jest krzesłami i ludźmi.

Nad głowami mrugają światła.

– Co pani o tym myśli? – spytał Lightborne.

– Nie wiem, co myśleć.

– Wie pani, kto to może być? Magda Goebbels.

– Ta pierwsza kobieta? – pyta Moll.

– To mogą być jej dzieci. Mówię „mogą”. Staram się dopasować tożsamości. Nadać temu jakiś sens.

– Myśli pan, że to jest w bunkrze?

– Może to być dawny pokój doktora. Psychiatrze Hitlera pozwolono wyjść. Goebbels zajął jego pokój.

– A tamta trójka? – pyta Moll.

– Nie wiem. Kobiety to może sekretarki. A mężczyźni, trudno zgadnąć. Szofer, stenograf, pokojowiec, ochroniarz.

– Myśli pan, że to Magda Goebbels.

– Mówię „może”. Nie tego się spodziewałem. Nie szukałem czegoś podobnego.

Dotychczas nic szczególnego się nie zdarzyło, ale Moll czuła się zafascynowana oglądaną taśmą. Nie przypominało to filmu fabularnego ani dokumentu, nie przypominało wiadomości telewizyjnych. Było prymitywne i autentyczne, ale hipnotyzujące, nie pozbawione przy tym elementu tajemniczości.

Twarze i ubrania natychmiast dawały się rozpoznać jako należące do innej epoki. Wrażenie to pogłębiała jeszcze jakość samego filmu, kręconego w naturalnym oświetleniu. Wypłowiwała szarość, chwilami zamazana. Brak ścieżki dźwiękowej. Światło przedostaje się do kamery, powodując błyski na ekranie. Taśma obrazowała trudne czasy – posępne oczy i skrzywione usta, ciężkie garnitury, suknie ze sztukowanych materiałów, gwałtowność i oficjalność ruchów.

Ekran wypełnia czworo dorosłych i pięcioro dzieci, wszyscy w pozycji siedzącej. Patrzą prosto w kamerę.

Czas płynie.

– Co to za skok?

– Może być pocisk – mówi Lightborne.

– To już drugi raz.

– Rosjanie są w odległości pół kilometra. Ostrzał nękający. Przy bombardowaniu na pełną skalę nie dałoby się filmować. Poza ciągłymi wstrząsami pełno byłoby dymu i kurzu.

Blondynka powoli wstaje i wychodzi z zasięgu kamery.

– Wie, co się dzieje.

– Co pan ma na myśli? – pyta Moll.

– Dzieci.

– Co się stało?

– Goebbels kazał je otruć.

Inny pokój. Jest co prawda nieduży i wąski, wygląda na nie wykończony, ale stoi w nim biurko, sofa i krzesła. Ściany obite boazerią. Nad biurkiem obraz w owalnej ramie.

Na jednym z krzesel siedzi kobieta twarzą do otwartych drzwi prowadzących do drugiego pokoju. Przewraca kartki czasopisma. Robi to w sposób wskazujący na pewne skrępowanie. W końcu decyduje się spoj-

rzeń prosto w kamerę, uśmiecha się miło. Dzięki temu zaczyna się czuć swobodnie.

Z jej kolejnej reakcji wynika, że w przyległym pokoju ktoś do niej mówi.

Siedzi z nogą na nogę, nie zwracając uwagi na kartki czasopisma, które dalej przewraca. Kobieta o jasnych włosach, po trzydziestce, ubrana w ciemny kostium, bransoletkę, w buty sprawiające wrażenie drogich. Ma niewielkie zatroskane usta (nawet w tej chwili dobrego humoru) i raczej bezkształtny nos. Dwie wyraźne linie sińców sprawiają, że policzki wydają się podpuchnięte.

Robi ręką gest w stronę otwartych drzwi.

– Gdzie jesteśmy? – pyta Moll.

– Jeszcze w bunkrze. Te dwa pokoje to nie brak konsekwencji. Widzi pani ten obraz nad biurkiem? Gdyby dało się go zobaczyć pod korzystniejszym kątem, niewykluczone, że okazałby się malowanym przez niego portretem Fryderyka Wielkiego, zważywszy, że jest w owalnej ramie. Co znaczyłoby, że ten pokój to jego salon.

– Czyj salon?

– To całkiem możliwe. A za tymi otwartymi drzwiami jego sypialnia. Być może ktoś, kto kręcił ten film, kręcił w jednym pokoju, przerywał i szedł do drugiego pokoju.

– Montaż za pomocą kamery – powiedziała Moll.

– Dostajemy wszystko. Co pani myśli? Jedno jedyne ujęcie każdej sceny.

– Niewątpliwie jest to nieprofesjonalne. Ale mnie to nie przeszkadza.

– Dzieci i tamci ludzie siedzą w pierwszym pokoju i czekają na powrót kamery. Może dlatego wydaje się to takie prawdziwe. Realne. Dzieje się. Wcale się tego nie spodziewałem.

Do pokoju wchodzi inna kobieta. Blondynka z pierwszej sekwencji. Magda Goebbels, jeśli słuszne są domysły Lightborne 'a.

Podaje kwiat młodszej kobiecie. Wyraz zaskoczenia i zachwytu. To biały kwiat do butonierki. Kobieta wynosi go do drugiego pokoju.

Obraz nieruchomy. Migawkowe ujęcia.

– Co oglądamy?

– Nie wiem – odparł Lightborne.

- Jeśli tam stoi Frau Goebbels, to kim jest kobieta, która wyszła?
- Odpowiedź na to nie powinna być trudna.
- Chciałabym ją od pana usłyszeć.
- Wie pani równie dobrze jak ja.
- Kim ona jest?
- To jest prawdziwe – powiedział Lightborne. – Wierzę w to. To o n i .

Rutyna nie uległa zmianie.

W słońcu późnego poranka Selvy położył bolo na ławce w zaśmieconym obozie. Sam usadowił się na odwróconej skrzynce i zaczął obrabiać podstawę ostrza smarem i osełką. W pobliżu biały kot tarzał się po ziemi. Bezpośrednio w polu widzenia rozległa równina ciągnęła się aż do stóp olbrzymiego wzgórza, którego stoki zasypane były piargami.

Zobaczył to jako wspomnienie, odtworzenie. Granicę widzialnego. Wewnątrz jest doskonały kolor, poczucie topografii jako etycznego schematu. Krajobraz jest prawdą.

Kiedy po dziesięciu minutach ostrzenia podniósł głowę, zobaczył, że od południowego wschodu zbliża się Levi Blackwater. To musiał być on. Zawsze było w Levim jakieś fizyczne wykrzywienie. Nic tak wyraźnego jak utykanie czy nierówny krok. Prawe ramię było troszkę niższe. Może to była przyczyna. I głowa przekrzywiona. Prawa ręka zwisająca troszkę niżej. Wszystko wyraźnie widoczne, kiedy podchodził bliżej.

Był wysokim mężczyzną, łysiejącym, miał na sobie tę samą starą czapkę połową z dziurkami wentylacyjnymi. Był blady, chorobliwie biały, jak zwykle. Delikatna, niemowleca skóra. Trochę przypominająca skórę przeszczepioną z innego miejsca ciała. Teraz stał i uśmiechał się. Tym wiedzącym uśmiechem. Pięćdziesiąt, sześćdziesiąt metrów dalej kręciły się wiry powietrzne.

- Przeszedłem nakarmić koty.

Tylko Levi mógł użyć słowa „przeszedłem”, mówiąc o podróży do tego zagubionego miejsca.

- A gdzie jesteś, kiedy cię tu nie ma?

Levi nie przestawał się uśmiechać, stał bokiem, obrócił głowę w lewo, w kierunku najbardziej pustego odcinka pustym. Podszedł bliżej, by podać znajomemu rękę. To była prawa ręka, u której brakowało dwu palców odciętych, kiedy wzięli go do niewoli. Selvy zapomniał, z jaką bezpośredniością Levi patrzy na ludzi.

- Glen, zawsze wiedziałem, że jeśli ktokolwiek tu wróci, to będziesz

ty.

- Niewiele zostało, co?
- Wszystko, co będzie ci potrzebne.
- Levi, nie będę tu długo.

Ludzie posługują się imionami jak informacją, Selvy wierzył, że użycie imienia Glen wskazywało na to, że Levi bardzo się ucieszył na jego widok i chciał zasugerować w ten sposób nowy poziom powagi. W przeszłości często nazywał Selvy'ego jego pierwszym, rzadko używanym imieniem, które brzmiało Howard. Przekorna intymność. Leviego to bawiło. Wpatrywał się w twarz Selvy'ego. To nieruchome spojrzenie, ciekawe i szczere zarazem, było dla Selvy'ego jeszcze bardziej irytujące niż imię Howard. Nigdy jednak się nie poskarżył, uważając, że to by ich od siebie oddaliło.

Levi był torturowany, spędził długie okresy w ciemnym pomieszczeniu niewiele większym od szafy, więc w konsekwencji miał co przekazać, miał wiedzę, którą mógł się podzielić, nie tylko praktyczną. Odkrył stopnie tolerancji, sposoby radzenia sobie z tym, co w końcu sprowadzało się do dźwięku własnego głosu. Wyszedł stamtąd silniejszy, w każdym razie tak uważał, przetrwał ból i zamknięcie, machinę samego siebie.

- A więc to przystanek? W dłuższej podróży?
- Można tak to określić.
- Stacja przydrożna – powiedział Levi.

Chyba spodobało mu się to określenie. Wilgotne oczy wyglądały z cienia rzuconego przez daszek czapki. Miał na sobie poplamioną, miejscami podartą, kurtkę od munduru.

- Widzę, że przyniosłeś jakiś metal.
- Antyk – wyjaśnił Selvy.
- Dopiero zaczynaliśmy, kiedy wyjechałeś.
- Wiem.
- Myślę, że dopiero zaczynaliśmy dostrzegać rezultaty, Cieszę się, że wróciłeś, choćby na chwilę. To satysfakcjonujące. Dobrze wyglądasz, Glen.

- Na trochę rzuciłem picie.
- Powinieneś zostać, wiesz. Możesz się tu nauczyć pewnych rzeczy.
- Fakt. Wierzę w to.
- Glen, im jest mniej, tym większa pokusa, by znaleźć to, co istnieje. Wewnątrz i na zewnątrz. To tak działa. Jeśli ograniczysz się do najwęż-

szego tematu, zmuszasz się do takiej koncentracji, że możesz się bardzo wiele nauczyć. Już dużo wiesz. Przekonujesz się, że wiesz już znacznie więcej, niż sobie wyobrażałeś.

– Wierzę.

– Kiedy nie ma ograniczeń, błądasz się w tę i z powrotem. Od początku jesteś przegrany.

– Dlatego właśnie tu jesteś, Levi.

– Jesteśmy obydwaj.

– Coraz wyraźniejsze granice.

– Żeby się nauczyć. Przekonać się, co wiemy. Kiedy odjechałeś, dopiero zaczynaliśmy. Cholerna szkoda, że nie zostałeś przez jakiś czas. Tyle się nauczyłem. O wszystkim.

Kucnął przy końcu ławki, gdzie leżał nóż na kilku starych gazetach, jedynej rzeczy do wchłaniania smaru, jaką udało się Selvy'emu znaleźć. Levi powoli wypuszczał na ziemię pełną garść piachu. Na niebie zachodziły zasadnicze zmiany. Unosił się pył wzniecany wiatrem. Przez południowo-zachodni krąg ładu wślizgiwała się ciemność.

– Rodzę się przez cały czas – powiedział Levi. – Pamiętam inne życia. Nieruchomy wzrok.

– Istota nieodłączna od krajobrazu.

Uśmiech.

– Mistyka gringo.

Wiatr unosił olbrzymie, szepczące masy pyłu. Góry po stronie meksykańskiej zostały zasłonięte w ciągu paru sekund. Średnio oddalone wzgórza ukazywało się czasami jako plamy koloru, krzaki na stoku i błysk minerałów na piarżysku.

– Czuję, że się rodzę. Tutaj wyrosłem. Tyle wiem. Gotów jestem się tym podzielić, Glen.

– W tej chwili jestem na innym kursie.

– Robiłeś prawdziwe postępy.

– Levi, jestem gotów.

– Tak, widzę to.

– Jestem nastrojony, gotowy.

– Nie godzę się z tym.

– Wiesz, jak to się kończy.

– Nie rozumiem.

– Wiesz, co robić, Levi.

– Czy rozmawialiśmy już o czymś takim?

Przez teren obozu smagneło piachem. Zbijał się w wirujące chmury dookoła nich i nad głowami. Rosła siła wiatru, świszczący, piaszczysty dźwięk. Levi zdjął czapkę i wepchnął ją do kieszeni. Do kurtki miał przyczepiony kaptur, ciasno dopasowany, z zaciąganiem wokół twarzy sznurkiem i z zapięciem błyskawicznym, które zakrywało usta. Levi zaciągnął dolną część jedynie pod brodę.

Selvy rozpoznał dźwięk, który nie był szumem wiatru. Stał i zdjął pas typu Sam Browne. Rzucił go w piach. Idiotyczny pomysł. Musiał przyznać, że poczuł nieokreśloną satysfakcję na widok pomieszania we wzroku swego towarzysza.

– Glen, nie ma wyjścia. W tym kierunku nie ma dla ciebie zielonego światła. Nie uwolnisz się tak po prostu od doświadczenia.

– Umieranie jest na Wschodzie sztuką.

– Tak, bohaterskie, zwycięstwo duchowe.

– Ty mnie na to nastawiłeś, Levi.

– Tybet. Czy to Wschód? To poza Wschodem, prawda?

– Człowiek wybiera miejsce.

– Ale to jest część, zaledwie część, dłuższego, znacznie dłuższego procesu. Dopiero zaczynaliśmy rozumieć. A idzie o znacznie więcej. Wydaje ci się, że zaczynasz dochodzić do jakiejś ostatecznej prawdy. Prawda jest rozczarowaniem. Będziesz jedynie rozczarowany.

Selvy wszedł do długiego baraku i zaczął drzeć prześcieradło, żeby zrobić coś w rodzaju maski chroniącej przed tumanami piasku.

Levi wszedł za nim. Selvy patrzył, jak odczepia kaptur od kurtki. Podszedł i założył go na głowę Selvy'emu, powoli zaciągając sznurek. W jego oczach, zawsze lekko przyćmionych wyrazem zrozumienia, pojawiły się iskry głębokiej, smutnej i złożonej wiedzy. Podciągnął suwak w dolnej części kaptura. Selvy czuł się głupio, odwrócił się w stronę drzwi.

Po wyjściu z baraku podszedł do ławki i podniósł bolo. Znowu usłyszał ten dźwięk. Pokazała się plama koloru, czarna i jaskrawoczerwona, niewielki helikopter zmierzał w tę stronę, wydawał się przepychać pod wiatr.

Dranie muszą brać to całkiem serio, jeśli lecą w taką pogodę.

Wyszedł jakieś sto metrów poza teren obozu. Piasek kłuł w oczy. Ciągle słyszał silnik, ale tracił z oczu helikopter. Zobaczył go znowu, po lewej stronie, w zasięgu krzyku, lądował przy wąwozie, równo, widoczny wyraźnie wśród mrocznych podmuchów, wirujące łopatki śmigła zatrzymywały się powoli.

Film kręcił się hałaśliwie we wnętrzu projektora.

Pierwszy pokój.

Teraz jest w nim sześcioro dzieci i pięcioro dorosłych, wszyscy siedzą, patrząc w obiektyw. Pośród dorosłych są dwie kobiety z sekwencji z kwiatem w umeblowanym pokoju.

Mniejsze dzieci są niespokojne. Niektórzy dorośli uśmiechają się sztucznie, robią wrażenie ofiar przedłużających się formalności. Dwoje dzieci zamienia się miejscami. Kobieta zniża głos do szeptu.

Po raz pierwszy kamera się porusza.

Długi, powolny ruch w bok i w końcu skupia się na postaci stojącej tuż za drzwiami. Mężczyzna w garniturze. Drobne zakłócenie i obiektyw najeżdża na stopy mężczyzny, powoli przesuwa się w górę.

Za duże buty, z lekko zadartymi nosami.

Workowate spodnie.

Kamizelka i dopasowany żakiet.

Ciemny, wąski krawat.

Przekrzywiony kołnierzyk.

Zniszczony melonik.

Biały kwiat w butonierce żakietu.

Laseczka zawieszona na nadgarstku.

Film ma tajemniczą aurę wydarzenia, które jest ponadczasowe. Dzieje się tak dlatego, że mężczyzna stojący za drzwiami jeszcze nie jest widoczny dla znajdującego się obok audytorium złożonego z dorosłych i dzieci. Inne audytorium, oglądające film w ciemnym pokoju w Nowym Jorku w latach siedemdziesiątych, jest tego świadome i ma dziwne poczucie pierwszeństwa. Widzą mężczyznę „pierwsiego”.

– To jest? – spytała Moll.

– Możliwe.

– Jezus, to niemal czarujące.

– Ale czy ja tego chcę?

– On wygląda tak bardzo staro.

– Czy mnie to potrzebne? – mówi Lightborne.

Kamera zatrzymuje się na twarzy mężczyzny. Rusza się znowu, półzbliżenie.

Oczy bez wyrazu.

Wokół uszu niemal kompletny brak włosów.

Twarz blada i pobrużdżona.

Zwiotczałe wargi.

Wyraźnie zarysowana szczęka.

Słynne wąsiki.

Kręci głową, zauważa obecność kamery. Kamera się cofa. Mężczyzna posuwa się do przodu, krokiem chwiejnym, mechanicznym. Kamera przejeżdża po audytorium. Kiedy mężczyzna wchodzi do pokoju, dorośli okazują przesadny zachwyty, najwyraźniej mający zachęcić dzieci, które niekoniecznie muszą znać Charlie Chaplina.

Znów skierowana na aktora kamera cofa się w kąt pokoju, udostępniając jakby widok zza kulis.

Mężczyzna jest stosunkowo niski, ma wąskie ramiona i szerokie biodra. Teraz nie ulega wątpliwości, że jego pantomimiczne środki wyrazu, oczywiście w zamierzeniu chaplinowskie, są przesadne i zniekształcone przez nieświadome poruszenia – drżenie ręki, skinienia głowy, niepewny chód.

– Może mi pani powie, co to ma być?

– Wie pan, on nie jest zły – mówi Moll. – Mimo chwiejności i tak dalej. Całkiem nieźle sobie radzi.

– To jeden z jej domowych filmów.

– Czyich?

– Widzieliśmy ją wcześniej.

– Chodzi o Ewę Braun.

– To jej pomysł. Była maniaczką amatorskich filmów. Kazała kręcić filmy o sobie, jak pływa, chodzi na spacer do lasu, stoi obok niego. On jest na niektórych taśmach.

– Jest na tej.

– Ale jeśli dobrze pamiętam, on nie lubił Chaplina. Chyba zostało to odnotowane, że nie był wielbicielem Chaplina.

– Sądzę, że z wzajemnością.

– Ale z drugiej strony był utalentowanym mimem. Robił parodie.

– Kto robił parodie? Niech pan to powie.

– Istniały podobieństwa nie tylko fizyczne. Między nim a Charliem.

Postać zbliża się do kamery, machając laseczką. W głębi, w rogu ekranu, jedna z dziewczynek wpatruje się z powagą.

Na krótko mężczyznę oblewa światło – wypłowiły i bezbarwny rezultat prześwietlenia. Kiedy wraca minimum zarysu i kontrastu, jest bardzo blisko kamery, a w martwych oczach pojawia się ślad płomienia, najdrobniejszy z błysków. Efekt profesjonalny, jakby ten błysk był odbiciem najbliższego reflektora.

Wreszcie na jego twarzy pojawia się ekspresja – słodki, bezpłciowy, pełen winy uśmiezek. Uśmiech Charliego. Dokładna kopia.

– Urodzili się w tym samym tygodniu, tego samego miesiąca, tego samego roku.

– Czy to ma znaczenie?

– Dzielili ich zaledwie dni.

– Ale czy to ma jakieś znaczenie?

– To fakt. Prawda. Historia.

– Zbyttno się pan podnieca, panie Lightborne.

– Choć wcale nie jestem przekonany, że to on. To nie on. On nie odzyskiwał najmniejszej wspólnoty z postacią włóczęgi. Dlaczego to robi?

– Prawdopodobnie dla dzieci.

– Komu ja to sprzedam?

Ujęcie w planie amerykańskim. Początkowo wydaje się, że on mówi do najmłodszego z dzieci, do dziewczynki mniej więcej trzyletniej. Po chwili nie ulega wątpliwości, że jedynie porusza ustami — aluzja do kina niemego. Widać, jak uśmiecha się jedna z kobiet.

– Hitler ucłowieczony.

– To obrzydliwe – mówi Lightborne. – Co ja zrobię z czymś podobnym? Komu to potrzebne?

– Sądzę, że to ma znaczną wartość.

– Historyczną. Wartość historyczną.

– To niemal wzruszające.

– To musi być jeden z jej amatorskich filmów. Tej dziwki. Co ona głupia czy co? Lecą pociski artyleryjskie, a ona kręci filmy. Ta cała banda, oni mieli bzika na punkcie kina.

– Jest pan pewien co do dzieci?

– Cyjanek.

– No proszę.

– Spodziewałem się czegoś ostrego. Czegoś mrocznego i silnego. Sza-

leństwa u kresu. Perwersji, seksu. Proszę popatrzeć, on kręci laseczką. Kłęska.

Migawkowe ujęcia.

– Wprowadziłem rzeczy w ruch.

Nowe ustawienie kamery.

To jest jedyna próba „artystyczna”. Kamera skierowana wprost na audytorium. Widzowie próbują udawać, że chaplinowska postać w dalszym ciągu gra dokładnie za kamerą.

Pozostaje dwójka dorosłych, nie zidentyfikowany mężczyzna i kobieta. Obydwoje posłusznie patrzą poza kamerę z wymuszonymi uśmiechami. Z szóstki dzieci tylko troje wydaje się zainteresowanych iluzją. Jedno z pozostałych klęczy na krześle, tyłem do „akcji”, jedno patrzy prosto w obiektyw. Najmniejsze usiłuje zejść z krzesła.

Nagle wszyscy przenoszą wzrok gdzie indziej. Niewątpliwie ktoś ich poucza spoza kadru.

– Wprowadziłem w ruch potężne siły.

W milczeniu oklaskują maskaradę.

Wiatr co chwila zwiewał im z głów kaptury od narciarskich kurtek. Zobaczył jaskrawopomarańczową podszewkę.

Wydał okrzyk powitalny. Hej. Głośniej. Jeszcze raz. Zobaczył, jak komandos z lewej pochylił się i dotknął ręki drugiego. Teraz obydwaj mieli go w polu widzenia. Obrócili się do wiatru, który wiał mu w plecy.

Szli w jego kierunku jak narciarze podczas biegu przełajowego, w skupieniu rozkładając siły, pochyleni pod naporem wiatru. Każdy krok był wyważony, niemal rytualny. Marsz z kijkami w skos stoku.

Nasunął sobie dolny brzeg kaptura aż na nos, tak że widać było tylko oczy. Co chwila widział mignięcia jasnej nylonowej podszewki. Stopy zaparł mocno w ziemię, żeby utrzymać równowagę. Wyłaniali się z wirów pyłu, po jednym kroku znowu znikali.

Trzymał długi nóż w poprzek brzucha. Rękojeść w prawej dłoni. Ostry koniec lekko oparty na lewej. Kołysał nim wiatr. Dźwięk nabierał intensywności.

Poruszając się powoli, jakby bez wysiłku, wyłonili się znowu, nadal z pustymi rękami, jak zauważył. Jeden z nich rozsuwał zamek w kurtce, zniknął, potem zniknął drugi, teraz pierwszy wyłonił się odmieniony, jak zjawą, balon jasnego nylonu, ukazał się drugi, rozpiął kurtkę, która też wypełniła się wiatrem. Szli teraz szybciej, wiatr rozdymał pomarańczowe podszewki, metal przy paskach. Nieoczekiwane wybuchy koloru. Piękno drapieźców.

Silne poczucie, że coś się rozgrywa. Wspomnienie, film. Przypływ młodzieńczych marzeń. Przechodził to w myślach setki razy, choć nigdy do końca.

Nadchodzili, ukazując myśliwskie noże zakończone jak dzidy. Jeden z nich usunął się na bok. Tak jakby myślał, że jeśli będzie się poruszał wystarczająco wolno, Selvy o nim zapomni. Drugi, wyraźnie widoczny, jakby po namyśle, zarzucił manewry, żeby zdjąć kurtkę. Selvy miał ochotę zapytać go, co do cholery robi.

Kiedy się zbliżyli, Selvy zastosował cięcie bakhandem. Tylko ruch. Dla wywołania reakcji. Odwrócił się na spotkanie mężczyzny nadchodzącego na wprost, nadchodzącego zbyt szybko, odrzucającego wszelkie inne wyjścia. Ukłękł na jedno kolano, zakłócając krok mężczyzny. Na twarzy komandosa odbiła się świadomość błędu. Selvy wolną ręką odepchnął się od ziemi, dało mu to dodatkową siłę odbicia. Zatrzymany oddech. Znalazł środek tułowia, uświadomił sobie, że użył zbyt dużej siły.

Był teraz złączony z człowiekiem, którego zasztyletował. Odepchnął się lewą ręką od piersi komandosa, naciskał, usiłując jednocześnie wyrwać nóż. Mężczyzna osunął się na ziemię, bezwładny, Selvy osunął się za nim. Kiedy się obrócił, wstając z nożem w ręku, było za późno, drugi komandos już rzucił się na niego, błyskając białkami oczu, krzywiąc się przy każdym pchnięciu.

Widział piasek na rzęsach mężczyzny. Przez chwilę trzymali się w uścisku. Napięcie zniknęło z twarzy Selvy'ego, ustępując miejsca głębokiej koncentracji.

Miał ochotę na drinka.

Van zwalniał chwyt etapami, pozwalając ciału osunąć się na ziemię. Podszedł do Cao, który miał szeroko otwarte usta. Piasek przesuwiał się po ziemi szerokimi płaskimi ławicami.

Rozwiewany wiatrem pył, stanowiący część wszystkiego, nieodłączną część wydarzeń, odsunął się teraz o całą przestrzeń, również krajobraz, pogoda, ostre drobiny uderzające w twarz i ręce Vana. Sięgnął po swoją

kurtkę i włożył ją z powrotem.

Schował nóż myśliwski do pochwy. Podwinął dżinsy i wydobył drugi, mniejszy nóż, przyczepiony na zewnątrz do buta. Posługując się ostrożnie tym użytecznym narzędziem, przecinał sznurek w kapturze Selvy'ego. Potem przeciął materiał wzdłuż suwaka. Odłożył nóż. Używając obydwu rąk, otworzył kaptur i zdjął go z głowy przeciwnika.

Uklęknął, dalej ciężko oddychając. Siła wiatru słabła. Uświadomił sobie, że patrzy prosto na helikopter, przez chwilę widoczny był kadłub. Na czworakach szukał powstańczego noża bolo. Nóż leżał w odległości półtora metra, niemal zagrzebany. Wyciągnął go z piachu i posłużył się nim, by odciąć głowę obiektu.

Robił to już kiedyś i widział, jak robili to inni. Głowy na palach w południe w błocie ryżowych pól. Nieprzyjemność zarezerwowana dla duchów szczególnych nieprzyjaciół.

Zaciągnął trupa Cao do helikoptera. Pogoda poprawiała się, zobaczył wzgórze, w które o mało nie wleciał przed lądowaniem. Wrócił po głowę tamtego mężczyzny, wypróżniwszy najpierw płócienny worek, żeby ją zapakować.

Pomyślał, że może Earl będzie chciał ją mieć. Jako dowód, że jednak doszło do przemontowania.

– Jest jeszcze jedna szpula – powiedział Odell. – Dokąd wszyscy idą?

Moll zmierzała w kierunku drzwi. Lightborne chodził, zapalając lampy. Na moment zatrzymał się przy półtorametrowej figurze płodności – z drewna i końskiego włosa.

– Wiedziałem, że to nie będzie dobre. Dokument, z gestami. Zawsze byłem głównym sceptykiem. Mówiłem wszystkim. Ale czy posłuchali? Czy przestali dzwonić? Międzymiastowe, miejscowe, z samolotów. Handluję drobiazgami. Nie powinni mnie zmuszać do wyłączenia telefonu, żeby unikać wysłuchiwania różnych rzeczy.

Podszedł do kontaktu na ścianie, przeciągając ręką po żółtawych włosach nad prawym uchem. Po zapaleniu światła wślizgnął się za przepięrzenie do części mieszkalnej. Tam zapalił kolejne światła. Potem usiadł na swoim łóżku i wpatrywał się w czarną zasłonę na oknie.

Odell wstał z miejsca przy projektorze, żeby otworzyć drzwi Moll Robbins. Był w białych bawełnianych rękawiczkach, niezbędnych przy dotykaniu oryginalnej taśmy filmu. Kiedy wychodziła, wskazał gestem na ekran.

– Kim są ci ludzie? – zapytał.

Lightborne słyszał, jak Odell zamknął drzwi galerii i podszedł do projektora. Najwyraźniej szykował się do puszczenia następnej szpuli. Chwilę później światła w galerii zgasły, po kolei. Lightborne pozostał na swoim łóżku. Z odległości metra czy dwóch zdawał się dochodzić jakiś hałas. Podniósł zasłonę w oknie. Było wpół do drugiej po południu. Na schodkach przeciwpożarowych siedział mężczyzna w przyciemnionych okularach.

Był to Augie Mysz. Siedział twarzą do okna, oparty plecami o pionowe barierki, z podciągniętymi kolanami, z rękami w kieszeniach długiego, ciemnego płaszcza z wielkimi guzikami jak u rabina. Miał drobną twarz, ostre rysy, włosy ciemne, potargane. Pociągał nosem, za każdym razem przechylając głowę na lewo, jakby chciał wytrzeć nos w zniszczoną klapę płaszcza. Nie mógł jednak dosięgnąć, ciągle więc pocierał o płaszcz brodę, co całkiem umykało jego uwadze.

– Czego chcesz?

Augie przekrzywił głowę. Okno było zamknięte, więc nie dosłyszał słów. Lightborne pomyślał, żeby uciec z pokoju. Pomyślał, żeby zawołać Odella. Ale mężczyzna po prostu siedział. Jego beztroska postawa w końcu skłoniła Lightborne'a do otwarcia okna.

– Czego chcesz?

– Nie słyszę.

– Czego chcesz?

– Masz przywidzenia. Nikogo tu nie ma.

– Biały dzień – powiedział Lightborne, nie bardzo wiedząc, co ma na myśli.

Wydawało się, że Augie przyjął tę uwagę jak komplement.

– Ludzie mogą nas zobaczyć z tamtych okien.

– Ciebie mogą zobaczyć. Mnie tu nie ma. Mogą zobaczyć jakiegoś starca poruszającego ustami.

– To nowa melina dla lumpów? Ulice już nie wystarczają. Czy mam wyciągnąć takie wnioski?

– Widzisz, jakie mam okulary?

– Mogę zawołać kolegę, który jest w sąsiednim pokoju.

– To się nazywają okulary strzeleckie – wyjaśnił Augie.

W dole na Houston Street Moll obserwowała stadko gołębi fruujące nad dwupiętrowym budynkiem w boczne uhce. Kilka sekund później Lightborne zobaczył, jak te same gołębie wykonują skręt, spiesząc na po-

bliski dach.

– Czy ja mam coś dla ciebie?

– Zaczynam słyszeć – rzekł Augie.

– Czy ktoś cię wysłał, żebyś coś ode mnie wziął? O to chodzi? Jakiś przedmiot?

– Nabieram formy.

– Coś, co mieści się w okrągłej puszcze?

– Zaczynasz mnie dostrzegać – powiedział Augie. – Dopiero przyjechałem z mojej wsi.

Lightborne usłyszał coś za sobą. To Odell przeszedł na tę stronę przepierzenia. Augie nie wydawał się zaniepokojony widokiem drugiej osoby. Siedział, pociągając nosem, a ręce ciągle trzymał w kieszeniach.

– I co dalej? – spytał Lightborne. – Mam powiedzieć koledze, żeby po to poszedł, a sam mam pozostać jako zabezpieczenie? On zna procedurę przekazywania. O to chodzi?

– Nie.

– Więc o co?

– Zaprosisz mnie do środka.

– To możliwe – powiedział Lightborne. – Możemy to zrobić w środku. Oczywiście, dlaczego nie? Ale to wszystko pod warunkiem, że mi powiesz, kto cię przysłał.

– Hej, nie jestem tu na przesłuchaniu.

– Rozstanie się z tym przedmiotem nie sprawi mi zbytniej przykrości. Wolałbym jednak znać odbiorcę.

Augie przechylił głowę na bok, zamykając jednocześnie oczy. Rozczarowanie pełne znużenia. Wydawał się myśleć: Przychodzę tu wykonać prostą robotę, a oni zaczynają swoje komplikacje, idiotyczne uwagi. Otworzył oczy i odczekał dłuższą chwilę, zanim wyprostował głowę.

– Może zauważyłeś, jak głęboko w kieszeniach trzymam ręce. Wchodzi tam ręka do łokcia. Jest to możliwe dzięki praktycznemu posunięciu: całkowitemu wypruciu kieszeni. To, co tam trzymam, jeśli mam ci dać wskazówkę co do wielkości, wymaga trzymania obiema rękami. Przy czym nie mówię o kutasie. Wiesz, co to kutas?

– Wiem – rzekł Lightborne z westchnieniem.

– Nie trzymam kutasa.

Zaprosił Augiego do środka. Zdumiewające, ale Odell chyba pojmował istotę sytuacji i nie powiedział ani słowa. Wszyscy trzej przeszli do galerii. Wyświetlano właśnie drugą taśmę. Jedna z kobiet z poprzedniego

filmu – nie zidentyfikowana – uczyła najstarszą dziewczynkę walca, prowadząc ją sztywno przez pokój. Na krótko pojawiły się dwie młodsze dziewczynki, uciekające przed kamerą.

Lightborne zapalił dwie najbliższe lampy, poprosił Odella, żeby przewrwał projekcję i wszystko zapakował. Augie Mysz przechadzał się po galerii, przyglądając się wszystkiemu, wciąż z rękami w kieszeniach, trzymając ten jakiś obrzynek.

Lightborne zastanawiał się, czy będą jego obwiniać o to, co jest na filmie. Mógł jedynie zasugerować istniejące możliwości. Mogli sprzedać to którejś z sieci telewizyjnych jako specjalny dodatek do wiadomości. Mogli sprzedać to Muzeum Whitneya albo Kanadyjskiej Dyrekcji Filmów. Może zrobić listę propozycji. Co jeszcze? Czy może im powiedzieć, że ludzie lubią się przebierać? Czy może im powiedzieć, że historia jest prawdziwa?

Moll miała ochotę się przejść. Po deszczu, który wcześniej padał, dzień zrobił się cieplejszy i bardzo pogodny. Filmy po południu. Rażące zaskoczenie słońcem po wyjściu. Co to za miejsce? Dlaczego ludzie są tacy niscy i brzydzy? Patrz na twarde powierzchnie, mięsistą materię rzeczy.

Kiedy doszła do Dziesiątej Ulicy, dostrzegła zbliżającą się powoli Piątą Aleją limuzynę, która zmierzała do krawężnika. Moll uświadomiła sobie własną reakcję.

Kilka dni później, kiedy próbowała zatrzymać taksówkę przed swoim domem, widziała, jak zbliża się inny czarny samochód. Była pewna, że się zatrzyma. Czekala, aż otworzą się powoli tylne drzwi. Lekko padało, więc wycieraczki kreśliły dwa łuki na przedniej szybie.

Ale samochód nie zatrzymał się, na jego powierzchni błyszczały kropelki deszczu. Patrzyła, jak wjeżdża w przecznicę po drugiej stronie Central Park West, gdzie znika wśród drzew.

Levi Blackwater przyglądał się zwłokom z niewielkiego wzniesienia w odległości około sześćdziesięciu metrów. Pozostawał w bezruchu, przykucnięty, lekko pochylony do przodu. Lewą ręką, jakby w oderwaniu od pola swojego zainteresowania, nabrał garść ziemi.

Teren wyglądał jak powierzchnia odrapana z farby. Siła burzy, siła odnowicielska, nigdy wyraźniej się nie uwidaczniała. Niebo było bez skazy. Wszystko istniało. Dzień sprowadzał się do czystych tonów bytu i sensu.

Ostatnie porywy atmosferyczne sprawiły, że ciało zostało częściowo zakopane. Levi poznał, czyje to ciało, po kolorze spodni i jednym nadal widocznym brunatnym bucie. Wiedział także, co zrobić z ciałem. Pamiętał.

Podchodzisz do śmierci z jasnym umysłem. Wybierasz odpowiednie miejsce. Często o tym rozmawiali. Glen mówił o czystym krajobrazie. Kochał pustynię. Kiedy opuszczasz ziemski wymiar, istnieje odpowiednie miejsce i odpowiedni sposób.

Levi wiedział o Glenie wszystko, co tylko można było wiedzieć. O jego dzieciństwie i młodości w bazach wojskowych, o awansach ojca, ładniejszych domach, większych ogródkach, żalonym staczaniu się matki w znużenie, niepamięć, milczenie. Glen mówił o tych sprawach z całkowitą obojętnością, poznawał już proces odosobnienia. Obaj mężczyźni biwakowali na pustyni i rozmawiali aż do gwiazdzonego świtu.

Glen chciał, żeby zostawić go w pozycji siedzącej. Będzie miał to, co się nazywa powietrznym pochówkiem. Bez pojemnika na ciało. Bez faktycznego grzebania. Zostanie umieszczony na drewnianej ramie czy prostej platformie pomysłu Leviego. Zostawiony na powietrzu, wielkim szybującym ptakom. Często o tym rozmawiali.

Ilekcóż Glen o tym wspominał, Levi miał ochotę chichotać. To było takie uproszczenie. Pomijało tyle spraw.

Jednak robi tak, jak prosił przyjaciel. Na swój własny przesadny sposób Glen wierzył. Wierzył bez trudu i bez zastrzeżeń, biorąc się do rzeczy ze skrytym zapalem. Levi miał nadzieję utemperować tę skłonność, gdyby nadarzyła się okazja.

Wysypał ziemię z dłoni. Wstał, czapkę miał opuszczoną nisko na oczy i podszedł tym swoim nierównym krokiem do ciała, powoli. Tak, Glen będzie miał swój pogrzeb. Ale najpierw Levi usiądzie i odmówi mantrę, pokieruje ucieczką, oddzieleniem się zmarłego od ciała, tak jak uczyli władcy śnieżnego masywu.

To była funkcja lamy i dlatego wielka zarozumiałość ze strony Leviego, ale przecież znał tę mantrę i miał w sercu miłość do świata.

Był to dzień pierwotnego światła, idealny układ barw. Żaden głos tego nie wypowie. Kruk unosił się na wietrze.

Po mantrze spróbuje ustalić, czy duch rzeczywiście opuścił ciało. Nie był pewien, czy potrafi to zrobić. Wierzył jednak, że coś poczuje, coś mu powie, czy jest na właściwej drodze. Wiedział na pewno, jak trzeba zacząć. Zaczyna się od wyrwania kilku pasm włosów z głowy zmarłego.

Stany Zjednoczone. Lata siedemdziesiąte. Młoda kobieta, redaktorka pisma „Pies Łańcuchowy”, goniącego za sensacją, skandalami i aferami politycznymi, i pewien mężczyzna handlujący sztuką obsceniczną dowiadują się o istnieniu taśmy filmowej, na której rzekomo została utrwalona orgia w bunkrze Hitlera w ostatnich dniach Trzeciej Rzeszy. Rozpoczyna się szaleńczy wyścig po trofeum. Szpiegostwo, agenci, pornografia, zabójstwa, spiski – to komentarz autora do brutalnych zjawisk współczesnego świata, a taśma i jej poszukiwanie to symbol świata ludzi nieufnych, samotnych, zatracających dusze i poczucie tożsamości. Sposób opowiadania DeLillo – wartki, niejednoznaczny, ironiczny, nieco odrealniony – powoduje, że książka ta zadowoli zarówno amatorów literatury sensacyjnej, jak i miłośników refleksyjnej prozy. W obu wypadkach czeka nas i zaskoczenie, i satysfakcja.

Don DeLillo, ur.1936, wybitny pisarz amerykański, jest autorem esejów, sztuki teatralnej i jedenastu powieści, m. in.: *Americana* (1971), *Ratner's Star* (1973), *Biały szum* (1985, nagrodzonej American Book Award, wyd. pol. 1997), *Libra* (1988) i *Underworld* (1997, nominowanej do National Book Award; przekład polski ukaże się wkrótce nakładem „Świata Książki”). W roku 1999 DeLillo został laureatem Nagrody Miasta Jerozolimy przyznawanej autorom, których dzieła wyrażają ideę wolności jednostki w społeczeństwie.